

De II 1.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 154.

[BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

9, 1

1879.

1 madr

I

SERYA V.

Kwiecień.

TOM II. — ZESZYT I.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 300 —

Ukończono druk dnia 5 kwietnia 1879 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Cnota i występki. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.	1
II. Pamiętniki Kantora katedry krakowskiej. Przez Lucyana Siemieńskiego.	20
III. Syn Margrafa, tragedia z X wieku, w pięciu aktach. Przez Bronisława Grabowskiego.	52
IV. Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800—1830 r.). Przez K. Wł. Wójcickiego.	74
V. Nirwana wobec metafizyki, czyli ocena podstaw metafizycznych filozofii wyzwolenia, w związku z systematami filozoficznymi Schopenhauera i Hartmanna. Przez Seweryna Smolikowskiego.	91
VI. Kronika poznańska.	130
VII. Obrazy z zamierzchłych dziejów. I. Odczyt na rzecz osad rolnych, w wielkiej Aleksandrowskiej sali ratuszowej w Warszawie. Przez Zygmunta Glogera.	143
VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Pisma Franciszka Wężyka. Poezye z pośmiertnych rękopisów. Tom I. Tłómaczenie klasyków: Wergilego, Marona, Enejda. Kraków; nakładem rodziny autora. Skład główny w księgarni Gebethnera i spółki, 1878 r. Przez F. Jezierskiego.	155
Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik pierwszy, Toruń, nakładem Towarzystwa Naukowego 1878 r. (w 8-cu, druk J. Buszczyńskiego w Toruniu, str. 98 i trzy tablice litografowane). Przez W.	170
Teatra w Polsce, przez Estrejchera. Tom III, w Krakowie, czeinkami drukarni Czasu, 1879. (W 8-cu, str. 741). Przez W.	174
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.	176
X. Nekrologia.	183

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.





De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 21 Марта 1879 года.

CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEN O CNOCIE.

PRZEZ

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

KSIEGA PIERWSZA.

Ludy starożytnego Wschodu.

ROZDZIAŁ I.

Synowie Chama.

Obawiam się, że rzecz, o której piszę, nie będzie tak zajmującą i ciekawą, jak na to zasługuje i że nie potrafi zająć szerszego koła czytelników. Jeśli moja obawa się ziści, nie będzie to winą przedmiotu, jeno piszącego, którego pióro nie dorosło do zadania. Bo niemasz i nie może być przedmiotu tak dla wszystkich ciekawego, jak przedmiot, o którym zamierzam pisać. Przedmiot zaś ten, zawsze ważniejszy od innych, jest dziś tém bardziej na czasie, że toczy się w tój właśnie chwili spór zacięty o to: o czém tu będzie mowa.

Wiem, że tytuł, który dałem, niejednego może zastraszyć i może siać na przeszkodzie temu, by książka dostała się w ręce tych, dla których ją przeznaczam. Tytuł trąci filozofem i moralistą, a choć przywoitość każe każdemu mówić z pewnym poważaniem o filozofach, powszechném jest i dziś zdanie, na które utyskiwał już Sokrates, że dzieła filozofów to rzeczy niejasne, ciężkie i nieużyteczne. Moralisty zaś unika każdy poza kościołem, a w XIX wieku nie wstydem jeno dla wielu chluba, bywa, o nim mówić, że to nudny głupiec. Tytuł tedy mego dzieła będzie mu przeszkodą w drodze przez świat. Wiem o tém, a jednak tytułu nie zmienię i nie znieważę rzeczy poważnej kłamliwym napisem, coby się dał tylko wytłómaczyć lekceważeniem czytelnika, któremuby się wydało, że sądzę, że o tytuł książki, a nie o treść jej dba tylko i że się lęka wszystkiego, co przypomina najważniejsze zadanie życia.

Różne są i były zdania o tém, czém jest cnota; i właśnie zamierzam powtórzyć najznakomitsze z tych zdań nieprzeliczonych. Słowa tego nieużywałyby jednak różne narody przez cały ciąg dziejów, gdyby nie stanęła milcząca zgoda co do tego, że cnotą jest ów nastrój

duszy, co sprawia, że człowiek cnotliwy działa i żyje: jak żyć i działać powinien. Rzecz o cnotie tedy—rzeczą o treści naistotniejszej życia, a niemasz już pewno zagadnienia ciekawszego nad to, jakieśmy żyć powinni? Niemasz zagadnienia, coby się temu równało. Ubliżyłbym chyba tylko Polakom i Polkom, dla których niniejsza książka przeznaczona, gdybym przypuszczał, że niechętnie wezmą do rąk książkę, dlatego, że jej tytuł przypomina rzecz, o której człowiek rozumny zawsze pamiętać powinien.

Zresztą nie myślę dawać nauki życia, nie myślę wchodzić na katalnicę; chcę się tylko zastanowić nad rzeczą, o którą, jak już wspomniałem, głośny spór się toczy.

Wiedzą i u nas wszyscy o tём, że powstały w świecie naukowym dwa wielkie obozy: tych, którzy wierzą w ducha a częstokroć w podanie—i tych, którzy wierzą w ciało tylko i w głąbą grę sił mechanicznych. Z wyżyn właściwej filozofii, zesłi dziś zapaśnicy na szerokie pobojoawisko historyi i nauk przyrodniczych i politycznych nawet, i walczą o każdą piędź wiedzy. Napozór badają tylko wnątrze rośliny, skamieniałe resztki zwierząt wygasłych, albo abecadło klinowe wymarłego ludu. Napozór są zimni i przedmiotowi, a w samej rzeczy szukają tylko broni do pokonania przeciwników, omal że nie rzekłem: nieprzyjaciół. Wnątrze rośliny postuży jednym za dowód, że cielesny świat kryje w sobie wszystkie siły, które wywołują czasem zjawisko zwane myślą; podczas gdy drugi ujrzy w doskonałym ładzie i niewytłómaczonym życiu widoczną rękę Wszehwiednego i Wszehmocnego Stwórcy. Jeden będzie szukał pod ziemią zwierzęcych przodków człowieka, a drugi wyczyta w chaldejskim napisie potwierdzenie słów, przechowanych w Piśmie i staną wnet ze zdobyczą naprzeciw siebie. „Patrzaj! krzyknie jeden, oto obędę się bez Stwórcy i okażę, jako konieczność i prawo bezrozumne wytworzyły powoli z łona materyi, choćby najdoskonalsze, najmisterniejsze, pojmujące i myślące twory!” „Patrzaj, zawoła drugi, oto dowód, że, w co chrześciance wierzą, prawdą jest; że duch wiecznie prawdomowny pisał święte Księgi Objawienia, że Bóg co ludzkość stworzył, objawił się ludziom przed wiekami, że cudami bronił narodu wybranego, że czuwa nad dziejami i dał ludziom nieśmiertelność!”

Niedziw przeto, że się obydwia uczonych obozy spierają o pojęcie cnoty; dziwby był, gdyby o to jedno, o to ponoć najważniejsze, boju nie toczyli. Tak być musiało, jako jest: jedni musieli twierdzić, że cnota jedna jest dla wszystkich narodów, że jej zrozumienie zapisane ręką Bóstwa w naszej istocie ludzkiego ducha, a drudzy musieli temu przeczyć, wołając: że cnota i występki, to słowa przez ludzi dla ludzkich celów wymyślone, że cnoty jednej niema, jeno są różne i zupełnie odmienne rzeczy, które w różnych czasach i u różnych ludów bywają chwalone i ganione wedle tego, jak ustrój społeczeństwa, fizyczne otoczenie i antropologiczne znamiona, tak lub owak człowieka usposabiają.

Kto wierzy w Boga i w podobne do Boga, a nieśmiertelne dusze ludzkie, ten wierzy także, że wszystkim wspólne jedno wyobrazenie

o czynnej doskonałości, o cnocie, do której wszystkie dążyć winny, by uzupełnić swoje podobieństwo z Bogiem; ten wierzy, że sumienie, co wskazuje prawą i nieprawą drogę, jest częścią duchownej i nieśmiertelnej, a nie marną i cielesną naszą istotą, i kto wierzy w to, że pięknem i dobrą jest jedno i to samo dla wszystkich ludzi i wszystkich ludów, mimo różnic klimatu i otoczenia i mimo tak odmienną u odmiennych narodów budowę czaszy i mózgu, ten trudno, by nie przypuścił, że źródło owego ideału leży w duchu a nie w ciele i że cel jego musi się znaleźć gdzieś chyba poza tym fizycznym i tutecznym światem, w którym dlań niema pono miejsca. Przeciwnie, ten co wierzy, że krążenie soków w ciele, że ciągłe zmiany elektrycznej równowagi i ciągłe ekonomiczne przemiany, odbywające się w delikatnej tkance mózgu ludzkiego, są jedyną przyczyną wszelkich umysłowych objawów człowieka, który jest tylko zwierzęciem najdoskonalszym wyposażonym do walki o byt; kto naprawdę wierzy, że rozum i uczucie i sumienie, to tylko zbroja, dana rodzajowi ludzkiemu, mającemu zbiorowo walczyć ze zwierzęcymi tłumami i z nieruchomym narodem roślin: ten winien przypuścić, że tak jak rozum tak i poczucie cnoty i pokrewne poczucie piękna innemi będą w miarę tego, jak inny świat naród otoczy, jak inne słońce mu zaświeci, jak mózg mniejszy lub większy spocznie w podłużnej lub czworobocznej a szerokiej czaszce; i kto raz uwierzy, że w miarę różnej ciała budowy, różne u ludzi są cnoty, ten byłby nierozsądnym dziwakiem, gdyby chciał mimo to wierzyć w Boga, rozdawcę sprawiedliwości we wszechświecie i w duszę różną od ciała, a pozabawioną jednak poczucia cnoty i występku, w duszę, coby chyba była zwierzęciem jednak zmysłowych wrażeń, w którym się świat zewnętrzny ku użytkowi ciała raz wtóry powtarza, nie jako rzeczywistość już, ale jako pojęcie.

Tu tedy, jeśli gdzie, wielkie nauki i filozofii pytanie postawione na ostrzu noża. Dla cnoty i występku, trzeba pogonić na ostre i tu się bój rozstrzygnie, jeśli kiedy co położy koniec tej długiej walce, co życiem filozofii, a często jeśli niezawsze dziejów życiem.

Pytanie to wielkie, pytanie to święte. Ileżto razy ciągnęły w bóg narody, by krew wylewać o to, czy w prawo, czy w lewo prowadzi droga cnoty? Ileżto padło męczenników, świadcząc temu, co było ich wiarą i czyniąc zadość temu, co ich cnotą było? Ileżto razy zwątpiła ludzkość w cnotę dawną, by się chwycić nową i z nową odmłodnić? Nie mnie tedy się poważyć o to, bym zgóry i odrazu odpowiedział na pytanie owo i powiedzieć: „Oto moje zdanie; prawdziwem przez to, że jest moim zdaniem; uwierzcie w nie ludy, co od wieków wątpicie i szukacie.” Miewają ludzie odwagę, co im takie słowa w usta kładzie, miewają teraz nawet, gdy ludzkość jakby stara, gdy świat jeden dziejowy u wieczoru, a wiek XIX kładzie się do snu wiecznego, odmawiając niepokojne pacierze wątpienia, pacierze, z którymi na usciach tyle już wieków usnęło. Tej odwagi, tej pewności siebie ja niemam.

Ale odpowiedź dadzą dzieje, da ją doświadczenie. Toć niezawodne, to z góry pewne, że co u jednych ludzi cnotą się zowie, bywa u drugich

występkiem, że o cnotę i występki spierają się i filozofie i wiary. Przez to jednak spór nierozstrzygnięty. Wydać się może, że z góry materialistom wypada oddać palmę zwycięstwa, a jednak tak nie jest. I myśliciele przeciwnego obozu wiedzą przecie o tém, że są różne cnoty; mimo to twierdzą, że choć uczynki u jednych chwalone, u drugich bywają ganionemi; jedna jest tylko istota cnoty, jedno wspólne wszelkiej cnoty źródło i znaczenie, spoczywające w duchownej a nie w cielesnej naturze człowieka. Kto chce się tedy doświadczenia spytać o sąd w odwiecznym sporze, niech bada ostrożnie różne różnych ludów wyobrażenia o cnocie i występku, niech rozważy ich początek, podobieństwa ich i różnice i niech potem powie, czy jest zasadnicza różnica w pojęciu cnoty u różnych ludów, czy też tylko różnica w zastosowaniu i zrozumieniu jednych zasad? Czy początkiem pojęć o cnocie ciało i potrzeby ciała, czy też owa rzecz inna, którą ludzkość przezwala duszą?

Badanie takie, przeprowadzone w zupełności, musiałyby objąć całe dzieje, teologią, filozofią całą i opis obyczajów ludów dzikich, co niemają ani dziejów, ani teologii, ani filozofii; jeden człowiekby temu zadaniu nie sprostał i wielceby się zasłużyła dla wiedzy akademii, coby pierwsza spowodowała systematyczną uprawę nowej nauki, najważniejszej może z nauk opisowych i czysto ludzkich, etyki porównawczej. Po wiekach dopiero mogłoby dzieło owej akademii być gotowem, a żem jednym tylko człowiekiem i że lat kilkadziesiąt mogę w najlepszym razie pracować i że nie należę do tych, którzyby umieli drobne a ważne często fakta skrzętnie zbierać, nie myślę się zabierać do dzieła przewyższającego siły pojedynczego człowieka.

Tylko rzeczy znane już a ważne, tylko wybitnie różne wyobrażenia o cnocie, które były własnością różnych pokoleń albo głównych geniuszów, przedstawię kolejno czytelnikowi. Gdy czytelnik całe przeddzie opowiadanie, potrafi sam dać sobie odpowiedź na wielkie pytanie o naturze cnoty, a odpowiedź to będzie oparta o panieć ludzkości, jeśli nie o zmundne przejrzanie archiwów etycznych tego planety. Spytałem się kolejno wobec czytelnika wieków i narodów o to, co nazywały cnotą, a gdy usłyszę wszystkie ich odpowiedzi, wolno mi będzie zamilknąć wraz z pytanymi świadkami, zostawiając wyrok ławie słuchaczy, albo streścić raz jeszcze wszystkie świadectwa, jak to na rokach dobry sędzia czynić winien, zanim ostateczne postawi pytanie.

Więc ni mniej ni więcej, jeno mam w świadomym celu przeszukać całe dzieje; mam fakta i myślę i uczucia dziejowe w ład wprowadzić i tak uszykować, bym się z nich dowiedział jaknajwięcej o występku i cnocie, a więcej nic takiego, coby się występku i cnoty nie tyczyło. I to zawsze wielkie zadanie i podobno nad moje siły. Więc powtarzam co rzekłem na wstępie i przepraszam za to, że książka nie będzie taką, jaką być powinna, nie z winy przedmiotu, jeno z winy mojej nieudolności; jeśli tak zuchwały, żem się wziął do niniejszego zadania, to dlatego, iż sądzę, że przecież ktoś musi w każdym kierunku pierwsze

stawiać kroki i dlatego, że ogromny natłok zdarzeń dziejowych już od dawna uporządkowany ręką dziejopisów, tak, że nie potrzebują błędzić jak, po bezdrożnej puszczy, bo znam szlaki i nawet bite gościńce, po których powinienem trafić do celu.

A najpierw stoi murem wielki dziejów podział, którego trzymać się będę. Oddawna już podzielono dzieje na trzy doby wielkie: czasy starożytne, średniowieczne, nowożytne, a od niedawna przybyła doba czwarta, co tamte poprzedza i dziś wymieniamy przed starożytnością klasyczną, starożytność wschodnią zupełnie odmienną od klasycznej. I co dziwna, każda wielka doba dziejowa nie jest podobną do tej, co ją bezpośrednio poprzedziła i do tej, co bezpośrednio po niej idzie. W średnich wiekach panuje duch, co powstał w starożytnym Wschodzie, a do czasów nowszych wracają klasyczne pojęcia, jakby duchy wyszły z ruin Aten i Rzymu. Z porządku najpierw wypada zagościć wśród ludów starożytnego Wschodu.

* * *

Nil, Oksus, Jaksartes i Indus, oto cztery rzeki co tworzyły granicę Raju, kołyski rodzaju ludzkiego. Nad zatoką Perską i morzem Śródziemnym, na Wschodzie ukochanym od poetów, na Wschodzie owym, o którym prawi tęskne podanie gminne, pod cieniem cedru wieczystego i wonnego tamarysku, człowiek jest w domu, człowiek jest u siebie. Niemasz tu wrogów, z którymi gdzieindziej tak trudną jest walka, niemasz wichru zimowego: co niebo szarym płaszczem zakrywa, słońce napół zagasi, życie na ziemi zabije, łono jój w głąz zamieni, oblicze jój śniegiem zasypuje, wodę czyni szkłem, a zmusza człowieka do tego, by się wciąż trochę myślał, gdzie znajdzie schronienie przed zawieruchą, jak zbierze chleb na zimowe leże. I niemasz wielkiej spieki, co skórę czerni i ducha usypia i deszczów szalonych zwrotnikowych, co świat zamienia w wielkie trzęsawisko: nad którym rośnie las dziewiczy, wielki mur zieleni dla człowieka nieprzebyty, wśród którego kiśnie połoz o śmiertelnych splotach i gad jadowity, śmiercionośny; wśród którego się zataił, przez trzecinę napół ukryty, jak trzcina zabarwiony tygrys ludożerca, o czarnych pręgach i jaśniejszém oku. Wśród Raju dawnego, człowiek jak król stąpa. Pogoda trwa rok cały, rzeki wielkie same ziemię uprawiają, żniwa wciąż rosną, wciąż dojrzewają i ziemia Babilońska nie raz, lecz dwa razy do roku oddawała niegdyś nie dziesięciokrotne lecz stokrotne ziarno. Nad łanami, co zakryły wielką równinę, przez którą płynie rzeka szeroko i leniwie i którą aż gdzieś zdaleka okoliły poszarpane, strome, śnieżyste góry—wznoszą się to tu, to tam kity palm o smukłej łodydze i przechowują wśród wielkiego wachlarza liści nowy pokarm dla człowieka: daktyle. I w każdej takiej równinie, mogły ludy żyć zosobna od reszty świata, odcięte morzem wody słonej i morzem piasku, pustynią co się szkliła za granicznymi górami. Tu tylko mógł człowiek pierwotny być sobą, tu tylko mógł rozpocząć żywot dziejowy, czynić—co mu z natury czynić wypadało i pomyśleć o sobie i o obowiązku. Tu z początku dziejów można ponoś

poznać stan człowieka przyrodzony, a nie w jaskiniach Północy i wśród gałęzi drzew zwrotnikowych, gdzie człowiek zdziczałym wygnańcem.

Nad wielkie mrowisko pierwotne, o którym nam prawią znawcy, zamierzchłej, zapadłej starożytności nieznamy naprawdę nic dawniejszego. Bodaj nie ono wszędzie u początku. Prawda, że niedaleko powierzchni spoczęły pod prochem na całej Północy krzemienne ślady ludu dzikiego, co prawią o tym jak człowiek o mieszkalną jaskinię walczył z dużym burym niedźwiedziem, jak zwierz dziki ze zwierzem. Ale gdy to się działo, stały oddawna piramidy na majestacie i patrzyły z góry na rojne, mnogie, pracowite pokolenia Egiptu. A pono i u nas niemniej od jaskiń dawne gniazda bobrów, w których mieszkała uboższa ludność Północy zawczasu gnana na pojezierne osady przez ów instynkt, co na Południu pierwsze dźwigał grody, przez ów instynkt który sprawił to, że Arystoteles słusznie przezwał człowieka „politycznym zwierzem.” Wyśpiarz Australski dzikim jest—prawda; ale on nie wyszedł z ziemi, w której mieszka, on wspomina dawne mieszkanie, z którego przyplynał na łodzi na koralowe ostrowy, a owo mieszkanie—na wyspach południowej Azji, gdzie po dziś dzień wyglądają z popod pni i powojów i liści i kwiecica ogromne kamienne pomniki ludzkiego mrowiska. I łowiec północnej Ameryki przechowuje jeszcze tam, gdzie go nie dławi ostatnia nędza przyniesiona przez białego przybysza: księgi spisane obrazami na liściach bananu, w których zostały niezrozumiałe już dlań dzieje owych przodków co stawiali pałace Jukatana. Gdzie wieczna wiosna pozwoliła człowiekowi żyć swobodnie, jak niegdyś w Azji zachodniej; tam na wyżynach odosobnionych Ameryki, w Meksyku i Peruwii powstały państwa i grody zupełnie podobne do państw i grodów pierwotnego Wschodu, i człowiek, żyjący w swobodnych warunkach, uczynił to, co wedle natury ludzkiej uczynić winien tak koniecznie, jak bóbr swobodny stawia wśród wody osadę, jak pszczoła miodem napełni ul, jak mrówka postawi dla rodu swego i mieszkania i spichrze. Bóbr w biedzie, bóbr ścigany przez łowca, stawia zrazu coraz mniej doskonałe budowy, aż wreszcie zdziczeje i gnieździ się w norze. Człowiek pierwotny, co zabłądził w niegościnne kraje, stawiał coraz uboższe gniazda, tworzył coraz słabsze osady. Z czasem zdziczał także prawie, i albo nieruchomy wśród gałęzi czatował na zwierzynę, albo pod osłoną czerwonego ognia słucał z trwogą, jak wśród boru mruczał niedźwiedź a lew ryczał, i stał się z politycznego—drapieżnym zwierzęciem. Ale gdzie tylko mógł, tam człowiek orał ziemię, wiązał się w społeczeństwo, stawiał grody, czcił umarłych, wznosił świątynie, i gdy mu niewystarczyła mowa, co chwilę trwa, myśl głośna, co powszechnym rodzaju znamię;—stworzył mowę, co trwa wieki, pismo, co głosem nicobecnym i pamięcią, wnuków o umarłych niewidzianych nigdy dziadach.

Gdzie dziś Arabia Szcześliwa, tam mieszkał naród Adytów. Na polach stały okrągłe chaty i z pozoru podobne do ula albo domku bobra, i tworzyły nadto rozrzucone wsie, wśród których przechadzało się i było o długich rogach, i nad którymi powiewały na złotem i błęki-

tném tle nieba palmy karmicielki. Za wsią było wspólne pole. W cha-
cie każdej była niewiasta, matka rodu i pani domu, i byli mężowie jój,
bracia, co wspólnie jedną żonę obrali. By zachować wiecznie ład spo-
łeczny jak u pszczoł, zabijano nadliczbowe matki; tylko że tu niemo-
włętami nowonarodzonemi zabijano dziewczęta zbyt mnogie. Synowie
dorośli potem wspólną wybierali żonę, i rody i domy nie mnożyły się
pod wielkiem słońcem kraju Adytów. Ile było od początku osady, tyle
być miało po wiek wieków, i jak w przyrodzie tak w narodzie Adytów
zabronioną była zmiana. Jak pszczoła w roju, tak człowiek w naro-
dzie żył wiecznie, w jednej liczbie, jednym obyczajem pod rządem ma-
tek; i co ojciec czynił, to czynili po wiek wieków synowie. Jak są tro-
jakie pszczoły, i trojakie mrówki, tak pięcioracy ludzie byli; jedni z po-
kolenia na pokolenie orali ziemię pod zboże i zboże dojrziałe zbierali,
jako wieczyści rolnicy po zakonie; drudzy uprawiali mirrę; trzecia część
narodu była ogrodnikami od kadzidła; dalej był dziedziczny tłum, co
się rzemiosłem trudnił i wyrabiał odzież i narzędzia i często kosztowne
świecidła, i mury wznosił w grodzie królowej; a wreszcie najczestniej-
szymi byli kupcy, co szli na morze i z mirrą i z kadzidłem i z kunsztow-
nym wyrobem do Egiptu i Indyi, i wróciwszy z za morza przynosili
dla narodu złoto i kość słoniową i zamorskie misterne dzieła. Pośród
kupców była rodzina, co obierała z pokolenia na pokolenie narodu kró-
lowę. Gdy bracia, synowie ostatniej pani narodu, zgodzili się na wybór
wspólnej żony, stanęła wśród Adytów dożywotnia władczyni znana go-
ścinnym narodom i wiekom potomnym pod imieniem królowej Saby.
Ona odtąd pilnowała odwiecznego ładu w Sabie, wspólnych robót,
wspólnych rzemiosł, handlu wspólnego. Nikt niemiał własności innej
nad dział coroczny, który wyznaczyła królowa, i nad dom w którym
władnęła żona; nikt niemiał woli prócz obyczaju. Jak obyczaj kazał
pracowano, jak obyczaj kazał wspólną brano żonę, a niewiasty co wła-
dły wedle obyczaju, winny były poskromić i wstyd i miłość dla dziecka
które zabijano. I na tém, by trwać w półsenném przodków życiu wie-
cznie — zależała cnota.

I tak, czy podobnie, było wszędzie dokoła Perskiej zatoki i w In-
dyach w krajach Czandala i Puru, gdzie mieszkali jeszcze ludzie o czar-
nej skórze, synowie Kusza, czciciele węzów, i w Suzie i w Babilonie, i dalej
ku zachodowi w Damaszku, Fenicyi i Egipcie. Wszędzie, jakby instynkt
zwierzęcy, (pęd najmocniejszy z liczby tych co ludziom wrodzone) gnał
ich do stworzenia narodu i państwa, opartego o obyczaj niezmienny,
a słuchanie obyczaju cnotą było. Poza nim dzicz była i występki; on
tylko dawał dostatki i niósł błogosławieństwa, on dawał do syta jadła
i napoju i złościł ściany chat i wznosił niebotyczne świątynie, i zamki
królewskie co były chlubą narodu.

W Babilonie mieli ludzie własność, którą dziedziczono, i mąż każ-
dy miał żonę swoje. Cnotą mężów była obrona ojczyzny, i bogów oj-
czystych gwiazd niebieskich, co przewodziły żeglarzom na Perskiej za-
toce. Środkiem grodu była wieża Baala, piramida o ośmiu piętrach,

skarbnica bogactw Babilonu. Dla boga Baala tylko miał żyć mąż, dla niego dbał o skarby, dla niego ciągnął w bój, dla niego służyć był winien ślepo i milcząco rozkazu kapłanów, co od wieku strzegli obyczaj i pilnowali by na przyszłość było to co w przeszłości trwało. Siebie miał się każdy wyprzeć, gdy cnotliwym był, a żyć na to tylko by wspólne sprowadzić dostatki, by kupować i sprzedawać, by orać ziemię i daktylowe drzewa uprawiać, i wraże potrzeby bronić skarbów. Cicho miał mówić Babilończyk i nigdy nieokazać gniewu, i wszystko kupować tylko i sprzedawać, i nieznać innej nad zysk namiętności. Ze spuszczonej oczyma, laską w rękę, i pieczęcią na pierścieniu miał liczyć całe życie, nie gniewając się, nieunosząc, niekochając, znosząc tylko jak pszczoła dostatek do ula. Żony nieukochał nigdy mąż cnotliwy w Babilonie, upodobał ją sobie tylko i kupił. Co roku w każdej wsi, w każdej dzielnicy miasta spędzano w dzień oznaczony szesnastoletnie dziewczęta i wożny je wyprowadzał, oszacowawszy wpiers wedle wdzięku. Najpiękniejszą wyprowadzał najpierw i odbywała się o nią licytacja, a kupował młodzian najbogatszy. Kupowano tak potem i drugą i trzecią, aż wreszcie ubodzy najbrzydsze dostawali darmo. I kobieta i córka towarem tylko były, rodzina interesem. Handlarzem miał być mąż cnotliwy, a kto zysku najwięcej zdobywał dla Babilonu, ten był najlepszym. Co później i gdzieindziej cnotą nazwano, było występkiem; źle czynił, kto znał litość nad wrogiem, lub nad niewolnikiem, lub nad własnym dzieckiem, gdy rzedzypospolitej czy ulowi dziecko przeszkadzało; źle czynił kto nie na sprzedaż córkę chował, kto cześć niewieścią nad zysk przenosił, kto kochał, kto się oburzał. Jedno tylko, co my cnotą zwimy, znał cnotą kupiec narodu. Tęm było panowanie nad sobą, tēm było poświęcenie każdego dla wszystkich. Wszak Babilończyk miał taką pierś jak my, i w niej także budziła się namiętność. Podnosiła głowę, szeptała o tē, czego niechciał obyczaj, o tē, czego łaknęło ludzkie serce. A Babilończyk cnotliwy tłumiał namiętność owę tak nilitościwie, jak męczył krnąbrnego niewolnika; występny tylko jēj słuCHAŁ. A gdy wróg z Północy napadał na urodzajny kraj i bogate grody, i chciał zabrać łup zaskarbiony, zapracowany, i samych mężów co w kraju władli w łup zamienić, i zabronić im bogactwa i rozkoszy, i narzędzia z nich uczynić bogom Babilonu na hańbę; wtedy bojaźń tłumić w sobie mąż cnotliwy, i szedł bitwy toczyć i ginął dla obyczaju. Po śmierci nie było już rozkoszy, był tylko kraj mglisty piekieł, co się w siedmiu piętrach zagłębiały w ciemną otchłań, pełne prochu tylko, pyłu kości i milczenia. Dla obyczaju, dla cnoty rzucał się Babilończyk na włócznie wroga, i wypierał się sam siebie, jak wpiers się wypierał miłości i dzieci swych, i nie oczekiwał już potem żadnej nagrody, i przekładał śmierć nad dalsze używanie owoców Chanaanu, odtąd zabronione przez obyczaj niezmienny. Nikt zacięciój od kupców Babilońskich nie bronił ojczyzny.

Ale mnogie są namiętności, uczucia, popędy wrodzone człowiekowi, których się nigdy nie wyzbędzie; a gdy je obyczaj, gdy je prawo

pomija, gdy im przeczy, powstaną i zgruchoczą wszystko. Zakon synów Chama co wzniesli pierwotne grody Azji był porządkiem pracy wspólnej około ciała, i około utrzymania rodzaju; ale instynkt co stworzył ul i gromadę, nie mógł sam jeden panować wszechwładnie, musiał uznać i inne siły ukryte w piersi ludzkiej. I uznał je; i uczynił szaty pewne częścią obyczaju. Nie wiemy na pewno, jak to bywało w Babilonie, a wiemy na pamięć jak w pokrewnej i podobnej Syrii bywało, gdzie w Chanaanie i okolicy Damaszku stanęły grody, których ład spart się o zasady i obyczaj podobne do Babilońskich.

Człowiek nietylko wciąż rachować i pracować może; mimo zakony Chamowe musi kochać i nienawidzić, śmiać się i płakać. Więc by namiętność zwykle nieprzeszkadzała rachubie, wyznaczono w moźnych grodach Syrii dnie świąteczne, w których obyczaj się przemieniał, w których bezprawie stawało się prawem, w których występki powszedni był świąteczną cnotą.

Wszędzie u synów Chama bogami były siły natury i przedmioty martwe, co wydawały z siebie pożywienie, co pomagały do nabycia skarbów. I u Fenicyan i Syryjczyków były bogami te same siły: płodność ziemi, i moc rozkładu, co z śmierci nowe wyrabia życie; słońce, co płonie na niebie zarem wielkim i ziemia, co się z każdą wiosną odradza i słońce ukocha, i chuć co początkiem wszelkiego rodzaju, głuchy popęd rodny świata. Ci bogowie dawali pracy dostatek; ale oni także zamieniali się, w oczach ludu czasem w osoby jakies żądne szalu i zniszczenia, co nawoływały wszystkich do świętej orgii.

Czasem okropną ofiarą było święto wedle obyczaju. Ojcowie okupowali własną pomyślność i pomyślność grodu życiem synów pierwotnych. Byk czy raczej olbrzym o byczej głowie stał ze spizu wśród miasta. Zapalono w nim ogień wielki, aż cały poczerwieniał od żaru, a potem przynoszono dzieci i kładziono je na żarzące ramiona olbrzyma. Matka i ojciec sami kładli na gorący spiz dziecko pierwotne; krzyknęło, kapłan poruszył tajne sprężyny, i bałwan do ognia rzucił dziecko. Tu raz jeszcze dla obyczaju i zabobonu deptano po uczuciu wrodzonym, przyjmując dobrowolne nieszczęście, by uniknąć urojonej trwogi, a rodzice pod pozorem obojętności grzebali raz jeszcze żal, co mógł wybuchnąć w święto drugie.

Pragnąłbym, by ta książka mogła się dostać we wszystkie ręce; i przeto nie mogę opisać owych świąt Adonisa i wielkiej bogini, w których Azja Zachodnia szalała, w których namiętność wstawała zwyczajem, by się mścić za całoroczną zimną rachubę, za głuche panowanie roboczego obyczaju. We dnie słyhać było płacz kobiet. W nocy przy księżycu zabrzmiały surmy, zagrzmiały cymbały, i po górach i łąkach zaczynał się piasz salony, rozpasany, władła miłość bez wędzidła, śmiech się mięszał z wyciem; to huczna, skoczna wybuchła wesołość, to ktoś w szale tracąc myśl, a przypomniawszy sobie długo na trzeźwo tłumiony ból, na cześć boga, śmiejąc się i płacząc nożem krajał żywe ciało.

Dzikię to było święto pogaństwa, rozpasanie duszy i ciała po długim duszy poście. Poezya, miłość, litość, wszystko co w człowieku wyższego, po wszystkie dnię dla rachuby tłumione wyrwały się jak szalone na sobótkę. I szalona sobótką przetrwała pierwotne ule ludzkie, i przeszła się po świecie pogańskim, bijąc w bębni i śmiejąc się w głos, a potem przed krzyżem gasła powoli, aż dotrwała do dni naszych w gadce o czarownicy, co na miotłę siada, i w noc świętojańską leci na węgierską granicę odprawiać złe wesele z szatanem.

Nawskróś materyalną była wiara synów Chama, co pierwsi po synach Kaima grody stawiali na ziemi; cielesnemi były ich cele, cielesnym był obyczaj a cnota ich odbierała na tym świecie nadgrode; na tamtym świecie były wedle ich wiary śmierć tylko i trupieszenie. Pełne spichrze, sute jądło, syty żołądek, i złocidła na ścianie, i niewiasty niewolnice—pokarm dla pożądliwości oka: oto cel panowania nad sobą, oto dary dobre, które dawał obyczaj za ofiary cnoty powszedniej. A druga cnota święteczna, krótka, szalona, sama była rozkoszą, sama była nadgrodą, choć śmierć czasem niosła w szale. Może także świętym szaleem podobnym do łowczego instynktu, wściekłą zabawą była odwaga bojowa; może nie cnota jeno namiętność, jeno pycha, jeno strach przed okropną wówczas niewolą wiodły te ludy do boju; może Babilończyk i Fenicyanin walczył jak walczy zwierz obsaczony czy głodny, niewidząc poza zwycięstwem możności życia i rozkoszy; może wściekłość zwierzęca budziła się w nim zamiast męskiej odwagi.

Bądź cobądź, na ziemi i w ciele był cel cnoty, na ziemi i w ciele stawała widomie jej nadgroda. Nie potrzebował w Babilonie i w Fenicyi mąż cnotliwy wierzyć czyto we własną duszę, czy w duszę jego bogów, bryły ziemnej, fali morskiej, niemych jaśniejących gwiazd, i wszechwładnej ślepej siły co życie mnoży; nie trzeba mu było spodziewać się nadgrody za grobem, bo miał za swoją cnotę nadgrode tu w wielkiem mrowisku narodu swego.

W Egipcie było inaczej.

I Egipt synem Chama; i u niego ludzie pędzeni wrodzonym pędem stali się podobnymi do misternego tłumu owadów towarzyskich co dźwigają sobie gmachy, czyto z piasku czy z wosku. Lecz nigdzie nie sprzyjał kraj tak człowiekowi, nigdzie nie mógł się rozwinąć w takiej pełni stan człowieka przyrodzony, nigdzie nie mogło się okazać tak wyraźnie, że pośród mnogich cudów świata, człowiek najcudowniejszy.

Wszyscy wiedzą dlaczego Egipt najprzedniejszą dla narodów kołyską. Wiedzą o tem przynajmniej wszyscy, którzy niniejszą książkę czytać będą; minąłbym się tedy z zadaniem, nudziłbym, albo opisując odszedłbym daleko od rzeczy, i zmarnowałbym wiele miejsca, gdybym chciał tu prawić o owęj rzece Nilu, co płynie doliną wąską wśród pustyni, i tworzy wreszcie rodzajne żuławy, i corocznym wylewem kraj użyźnia; o owém wiecznie pogodnym niebie, o owych urodzajach, kwiatkach i zwierzętach dziwnych, które każdy zna z dziecinnęj jeszcze książki i dziecinnego obrazka. I także przypomnieć tylko wypada wszyst.

kim znajome cuda, które człowiek tam wystawił, a co prawie o tyle przewyższają dzieła pierwotnych Azyatów, o ile budowle ludzkie wytworniejsze od osady bobrów; przypomnieć tylko trzeba piramidy i obeliski z jednej bryły kute, spiczaste, świecące, pokryte tajemniczym pismem, i świątynie sparte o setki kolumn wielkich jak wieże, wieńczonych kwiatem lotusu kamiennym, i pomalowanych pstro; świątynie, przed którymi stoją u bramy dwie kwadratowe wieże, i długie rzędy sfing, lwów kamiennych o ludzkiej twarzy, i kolosy co siedzą nieruchome wśród pustyni, ogromne i milczące wizerunki i bogów i królów, na których twarzy siadł pokój wieczny, i pisma tajemnicze zawarte w zwitkach papirusu, i spichrze i słuzy Faraonowe, i lekarzy i kapłanów, i skrybów i wróżbiarzy i guślarzy królewskich, i sarkofagi wielkie, żłobione, kamienne, i naród zmarły, zasuszony, owinięty w powijacze pośmiertne, co przez wieki leżał w pokoju, aż wreszcie przyszli doń uczeni dzisiejsi świętokradzcy, co wieko trumny podnieśli, a ciało królewskie porwali, by było dziwem dla gawiedzi Północy, co patrzy się na nie nieczcząc i nierozumiejąc. Tego wszystkiego nie trzeba przypominać długo i niekonieczna prawie o tém, że to wszystko było zaraz u początku dziejów, nie wiedzieć jak dawno, nim pierwsza ludzka dziec nastąpiła na Północy, i łupała bezkształtne krzemienie. Jeden z późnych Faraonów Egiptu, mąż co się znawcy tych starych dziejów nowożytnym prawie wyda królem, Tutmozs III polował w Assyrii na mamuty; następcy jego potykali się z białymi narodami Europy, zbrojnymi tylko w kamienne łupane, a niegładzone topory, podobne do tych które archeolog u nas znachodzi w najdawniejszych grobach, które przeważano paleolitycznymi. A wiele, wiele tysięcy lat przedtém, w zawrotnej starożytności, na którą się obejrzyć strach,—kazał król Cheops kopać wkoło stolicy swój Memfis, i znalazł zapomnianą ogromną świątynię z egipskiego alabastru, stawioną jeszcze bez kolumn i hieroglifów, w której tylko poziome pięknie łupane bryły na pionowych spoczywały, i kazał tę świątynię uczonym odnowić. Dziś w lat sześć tysięcy odkopał ją francuz Mariette, i znalazł na niej napis Cheopsa, w której Faraon świadczy, że niewiē kiedy gmach ten stawiano, a wie tylko że to święte, starodawne dzieło przodków.

Pomyślcie teraz, że tysiąc lat tylko minęło od chwili owęj starodawnęj porannęj, gdy w Gnieźnie dwaj aniołowie zawitali do chaty rolnika Piasta, i pomyślcie że całe dzieje polskie z weselem swoim i rozpaczą, z krwią swoją i miłością, z królami i hetmanami, świętymi i kacerzami, z kanclerzami i hersztami hajdamaków mieszczą się w tych lat tysiącu, i pomyślcie jak to długo, a potem chciejcie zrozumieć, że Cheops żył sześć razy tak dawno i już wspominał święte starodawne przodki, a może doznacie uczucia takiego, jakbyście chcieli liczyć przestrzenie w otchłani gwieździstęj, i może się zgodzicie na to co mówię, że tak jako lis od początku nory kopie, i słowik z przyrodzenia śpiewa, tak człowiek od początku i odkąd człowiekiem jest, stawia grody i państwa gdzie to tylko czynić może, i mówi mową narodu i spisuje myśli swoje.

Najmisterniej to uczynił od początku w Egipcie; tu największe cuda doczesne spełnił, doczesny obowiązek, ale by to móżdź uczynić był najcięższym, nie był dla wszystkich jednakim, wydał się niesprawiedliwym, i nie dał nikomu na ziemi należnej za trud nadgrody.

Jak w kraju Adytów tak i w Egipcie był podział pracy, ale tu nierówniejsza była ludzi dola. Egipt starożytny był podobny do najdawniejszych swoich piramid, do gmachów o których powstaniu zaginęło podanie, a co się składają ze spiętrzonych platform cegły suszonej, a na których szczycie stał niegdyś posąg Faraona. Na dole był tłum a nad nim ciężły spiętrzone, coraz mniej liczne warstwy społeczne, u których szczytu spoczął w potęgde pan ziemi, słońce na ziemi, dobry bóg, Faraon, nadzorca wielki pracy chlebobajnej ludu; bo król tu był przedewszystkiem wielki, powszechny pańszczyzny nadzorca, i nie miecz był jego znamieniem, jeno berko, ożłocony kij, którym pędzono Egipt do pracy.

Egipt już nietylę mrowiskiem był ludzkim co wielkim warsztatem; człowiek już nie rodził się do swego zawodu, jedno wchodził doń z nakazu królewskiego, albo z królewskiego dopustu, bo król był naprawdę bogiem w Egipcie i jeśli co mogło się czasem dziać nie w skutek wyrażnej jego woli, nie mimo jego woli dziać się niemogło po obyczaju. Trzecią część ziemi zachował król dla siebie, dla stołu swego i swojej rozkoszy; trzecią część oddał najstarszym w Egipcie robotnikom, najczęstszym króla niewolnikom, kapłanom i uczonym co spisywali wszystko godne pamięci, stojąc pod różgą królewskiego gniewu, i co błagali bogów innych o to, by dali szczęście i pomyślność, królowi, dobremu bogu. Resztę, ostatnią część trzecią, otrzymali drudzy z koleś służy królewscy na utrzymanie; żołnierze co szli na granicę i w obce kraje, karni, okuci w pancerz i gnani kijem nadzorców. Tych najstarszych w kraju sług obyczaju były owoce ziemi.

Sami tych owoców nie zbierali: mieli w ręku ster narodu, a za to ich naród karmił i przyodziewał, za to stawił im domy lekkie drewniane za życia i po śmierci wielkie kamienne groby; pod królem i dwoma korporacyami kapłanów-urzędników i szlachty-żołnierzy, stał tłum ludu o ogolonęj głowie, a spracowanych dłoniach, o karku pochylonym pod kij nadzorcy.

Jako nikt lepiej nad właściciela nie zagospodaruje w folwarku, jako i w Chrześcijaństwie dynastia dziedziczna zwykła zazdrośnym okiem strzedz potęgi i całości poddanego narodu jakby ojcowizny swojej; tak w początku dziejów pan wszechwładny i gospodarz najlepiej kierował mrowiskiem ludzkich robotników. Jako nadzorca i sługa zwierzchni potrzebny w gospodarstwie każdem i jako służy najlepiej gdy ma miejsce poczesne i dostatnią płacę; tak i w pracowni Egiptu dobrze strzegli Faraonowych robotników i dobrze bronili Faraonowej ziemi ci, co mieli po Faraonie miejsce pierwsze i najwięcej ziemskiej rozkoszy. I ta starszyzna co władała Egiptem, zamieniła go w kraj cudów wiecznych prawie, w skarbnice bogactw całego świata, w dziwo

wspaniałe. Miało i serce i oko ludzkie czém się radować w Egipcie, ale dobre rzeczy tego świata nie były dla tych, co dobre rzeczy owe wykonali, co na nie zapracowali w pocie czoła.

Prawda, że król dbał o naród co był pierwszym i najcenniejszym jego bogactwem; prawda, że gdy Faraon Ozortezem zwyciężką stopę położył na kark złego kraju Kusz, powabnej Nubii, kazał wyryć na opoce nad Nilem, że z jego i innych bogów woli, obyczajem w Egipcie, by bogaty się litował nad ubogim, by każdy dawał jałmużnę i ratował wdowy i sieroty, leczył chorych a grzebał umarłych; prawda, że Faraon Apepi gdy Józef był pierwszym jego doradcą, myślał w latach urodzaju o gorszych czasach i zboże gromadził do spichrzów królewskich, a potem gdy głód nastał, ze spichrzów owych hojnie darzył wszystkich nędzarzy i swoich i cudzych; prawda, że oko pokornego niewolnika królewskiego, ostatniego w Egipcie, radowało się wspaniałością świątyń i grodów i majestatem orszaku pańskiego, i że serce ostatniego w Egipcie wynosiło się dumnie nad zewnętrzne narody, nad nagich, ciemnych barbarzyńców, których Faraon podbił orężem niezwyciężonym; prawda, że w święto każdy dostał jęczmienia i czosnku i piwa i nawet mięsa wołowego tyle, że się spoił i najpierw bił się do krwi i tańczył i śpiewał, a potem padł na wznak i leżał jak zwierz, i że nawet w dzień powszedni było co jeść i gdzie spać i syt był i mnożył się ludzki zwierz, ale przecież Egipcyanin ubogi czuł, że niesprawiedliwym był jego los i mógł narzekać.

I rozkosz była mniejsza i inny gorszy obowiązek, gorsza niewolnika cnota. I uwierzyć trudno co mógł w Egipcie kij. Nie do roli tylko, nie do grubej pracy pędził dozorca kijem: gdy lekarz przychodził do króla, groził mu kij; gdy skryba spisywał akta, stał przy nim z kijem nadzorca; gdy rzeźbiarz nawet kuł posąg, co pojąć trudno, nadzorca z kijem dodawał natchnienia. Lud cały był bydkiem króla, kapłanów, wojska. Cnotą było u niego niemięć woli, cnotą było uprawiać ziemię, a potem czekać aż przyjdzie poborca, rolnikowi i rodzinie jego będzie wiązał ręce i nogi, położy ich pokotem, zabierze wszystko prócz tego co potrzebne by wyżyć i zanieść wszystko na syte stoły próżniaków. Z obowiązku wyrabiał piękne sprzęty robotnik miejski, a poborca zabierał je by się niemi cieszyli król i starszyzna. Szczęściem było napić się, najeść i wypaść nad miarę, a kto robił wszystko, rzadko miał to szczęście i używał wtedy niewykwintnie; codzień rozkoszował mąż co lżejszą miał cnotę. Czy nie mógł narzekać niewolnik niższy? Czy jego cnota miała odpowiednią nagrodę?

Dobre rzeczy spożywał kto inny. Żołnierz zasłużony zostający w łaskach Faraonowych, wysoki urzędnik królewski co godność swoją najczęściej po ojcu odziedziczył i synowi przekaże, wiedli przecie inne życie. Nie z błota i trzciny była chata ich jak chata robotnika, na którą siadły szare gołębie; z misternie rzezanych drzew wznosił się nad Nilem lotny pałacyk; a pan i pani, bo w jednożeństwie żyli Egipcyanie, nie pracowali wciąż w pocie czoła; i owszem gdy jedli, gdy się stroili,

służył im niewolnik i mogło się wydać, że żyli bez troski. Wynoszono pana na krzesło kształtném nad brzeg rzeki i długo łowił ryby pod wielkim parasolem podtrzymywanym przez niewolników, maczając wędkę w rzece napół sennie; albo swojskiego kota puszczał na wielkie lotosowe liście, by łowił ptastwo wodne; albo charty ze smyczy szczuł na antylopy poblizkiej pustyni; albo wesół liczył stada i trzody, lub śmiał się z wielbłąda co tańczył przed nim dla krotochwili ¹⁾. A gdy wrócił do domu zastawał mnogich gości, panów i panie o małych rączkach, z którymi żona jego biesiadowała i zasiadał wraz z nimi do stołu i jadł i pił i śmiał się słuchając harfiarzy; aż nareszcie od zbyt mnogich kieliszków wziął go zawrót i padł pod stół—spity. I po śmierci nawet miał los odmienny od losu ubogich. Tamtych wypchano niedokładnie i włożono do ladajakięj trumny; jego maczano w pachnidłach i balsamowano sztucznie, a potem stawiano mu grobową kapliczkę, na której imię jego wypisano i urząd i przed którą siedziały po wszystkie wieki nieruchomie pan i pani, czesni małżonkowie wykuci z kamienia a niewieksi od lalek.

Zazdrości godnymi wydawali się kmiotkowi i rzemieślnikowi tacy panowie, a niemniej i kapłani co wiodli w poblizkości bogów mnięj huczne, poważne, ale wiecznie spokojne życie; co w długich, białych lnianych szatach, albo w skórach lamparcich i fantastycznych koronach ze strusich piór, odśpiewywali długie pieśni w obliczu bogów, w cieniu kolumn malowanych, kolumn o ludzkiej twarzy zamiast głownicy, albo biesiadowali uroczyście, albo świętej używali kąpeli, albo karmili zbożnie święte krokodyle. Na łodzi płynęli czasem Nilem z bykiem Mnu-fisem albo Apisem czarnym o białej łysince i śpiewali uwieńczywszy siebie i byka kwiatami, a lud nabożny i spracowany kłaniał się świętym i uczonym do ziemi i w niejednej głowie mogła powstać myśl, że przecie lekkim obowiązkiem próżnować i śpiewać sytemu wiecznie człowiekowi.

W porównywaniu—źródło świadomości. Kto nie porównywa, nie wie o sobie i o własnej doli; kto nie porównywa, ten nie narzeka; gdzie jednostajny wszystkich los może obyczaj gnieść jak zmore, ale naród w głębokiém śnie zmore czuje lecz jęj nie pozna; gdzie rozmaitość jest, gdzie każdy widzi różną od swojej dolę, bliską, namacalną, dostępną niby a przenigdy niedosięgniętą: tam budzi się wyobraźnia, wśród trudu, zniechęcenia i walki, przedstawia inne obrazy i budzi w sercu niepokonane żądze. Robotnik egipski mógł, gdy pomogły: trafi szczęśliwy i łaska królewska, stać się czémś wyższém od ojców i braci; ale był robotnikiem tylko, więc narzekał już, więc zazdrościł. Żołnierz i szlachcic narzekał na ciężką służbę królewską, na obowiązek co go wprowadził daleko od Syrii i tęsknił za Egiptem. Wyobraźnia przywodziła przed oczy jego duszy wyraźne obrazy ojczyzny — i Nil, i ogrody bogate Egipcyan i piramidy; chwilę nawet doleciała go niby jakaś woń ojczyzny, a potem ujrzał rzeczywistość i siebie w heł-

¹⁾ Wszystkie te szczegóły wyjęte z Wilkinsona, Chabasa i Rouge'go.

mie gniotącym i ciężkim pancerzu wśród piasków Syrii. Żona dostojnika z dalekich kresów państwa pisała do krewnych swoich, że tęskni za nimi, że serce mało się z piersi nie wyrwie ¹⁾). A kapłanowi znów nudno było wśród rytuału; chciał się niejednym wyrwać do życia, a Mojżesz wolał być pasterzem w pustyni, jak egipskim czczonym zakonnikiem. Zresztą czyjeż ludzkie szczęście mogło się równać ze szczęściem Faraona, co bogiem się zwał i jak bóg wydawał się szczęśliwy?

Łódź długa o złotym dziobie, z wielkim czerwonym wydetym żaglem, pędziła przez Nil, poruszana przez mnogich wiosłarzy. Trebacz siedli u przodu dmąc w surmy, a wszystkie łodzie ludzkie uchodziły ku brzegom, ustępując się królowi. Na prawo i lewo wszystko co było, jego było. Egipt jego włością wraz z ludem i świątyniami, a za Egipsem narody podbite. Cnotą jego władać, obowiązkiem czynić tak, by mógł długo czynić co sam chciał. Poddanym wolno mieć jedną żonę, królowi tysiąc najpiękniejszych; poddany za życia nieznan, po śmierci wnet zapomniany; on pyłem, dla którego czas wirem co pył obraca, na chwilę podniesie i potem na ziemię kładzie. Czas dla Faraona rydwanem do chwały. On pierwszy obyczaju bieg jednostajny zamienił w dzieje i wrył się w pamięć ludzką, by jaśniał potomnym cnotą i potęgą po wszystkie wieki. Gmachy stawał trwał jak góry, co ograniczyły Egipt; grób miał przestronny, ogromny, grób pozadzroszczenia godny. Świat dla innych był mrowiskiem, gdzie z trudem zdobywano życie; dla niego narzędziem, co z chwałą dawało rozkosz. Inni myśleli, inni pracowali i krew wylewali by pokonać wroga, a on wracał do stolicy prowadząc długie jeńców szeregi, słonie i żyrafy, małpy i dziwa mnogie na podziw gawiedzi a na własną chwałę. Gdy się zwał Cheopsem albo Ramzesem Meryamunem trawował jeńców rydwanem i próżnując uśmiechnięty, kazał lud gnać kijem, by łupał kamienie i stawał krwawiąc się, z domu wyrwany, zgłodzony, znękan, groby lub pałace; dla innych cnotą ginąć cierpliwie wśród trudu pod kijem; dla niego cnotą podziwu godną czynić co własna wola: klaskano mu, pochlebiano mu, choćby nawet wbrew zakonowi własną córkę poślubił dobry bóg, jak to uczynił Ramzes Meryamun.

Do ut des, daję, byś mi dał nawzajem: oto znana prawnikom i ekonomistom podstawa wszystkich prawie układów ludzkich; a choć dobrodziejstwo jakie wyda się czasem daremnym, to kryje się za ową szczodrością najczęściej, zawsze żądanie wzajemnej jakiejś usługi. W państwach synów Chama strzeżono obyczaju na to, by otrzymać nawzajem za poniesione trudy nadgródę, czyto od obyczaju, czyto od zwykłej i powszechnego świata porządku, na którego wyzyskanie był obliczony instynktowo mądry obyczaj. I obyczaj egipski, królewski, najskuteczniej świat wyzyskał i opanował; ale chyba naród jako całość dostawał w miarę tego co dawał. Jednostki nierówno, niesprawiedliwie były płacone i choć rzadko miano w Egipcie samoistną odwagę, by

¹⁾ Pisma Pentaura. *Zbiór listów w Muzeum turyjskiem.*

się buntować przeciw obyczajowi, nikomu się niewydało by cnota otrzymaną dostatnią nagrodę. Wobec doczesnego świata niewarto było być cnotliwym.

Gorzéj czy lepiej pełnił każdy obyczaj, i to w mierze dla ogółu dostatecznej, skoro kraj przez lat tysiące kwitł. Po części był zapewne przyczyną tego strach i pomogło przyzwyczajenie, ale cnota pochwały godna, to jest dobrowolne, nieprzymuszone pełnienie obowiązku, sparło się o coś innego, o idealniejszą już religią Egiptu. Doskonalszy od państw azyatyckich Egipt, rozwinął dwa znamiona ludzkości, których tam brakło: dzięki potędze, dzięki nawet uciskowi Faraonów miał dzieje i myślał wiele o życiu zagrobowém.

Człowiek mimowoli wierzy, że zostanie zeń coś po śmierci; ale w Babilonie i Fenicyi, to coś było rzeczą, o której niemyślano, coś o czém wiedziano że niebędzie jeść i niebędzie się radować, cień małoróżny od pyłu i mroku. Egipcjowi nie starczyło życia ziemskiego; aby było warto być cnotliwym, trzeba było drugiego życia po śmierci, gdzie się wszystko zrówna, zważy, nagrodzi.

Żył niegdys w Egipcie, wedle wiary ludu, król bardzo dobry Ozyrys, co wszystkim dostarczał wszystkiego po uszy. Za jego panowania jeść było można, pić i popuszczać pasa ile kto chciał; wina było pełno, zboża i owoców: wszystkie narody ziemi przychodziły do Egiptu po używanie; zwierzęta drapieżne stały się łaskawými i wszystko działo się jaknajlepiej w najszczęśliwszym świecie. A komu nie dogodził Ozyrys sam, temu już napewniaka dogodziła żona jego, królowa Izyda, największa narodów dobrodziejka. Całe w tém nieszczęście, że Ozyrys miał zewszystkiém niegodziwego brata Seta, którego Grecy później przewalili Tyfonem. Temu się zachciało panować, ale że nie śmiał na brata godzić wstępnym bojem, poszedł, jakto mówią, po koncept do głowy i zaprosił brata na biesiadę. Gdy sobie już wszyscy dobrze podpili, wyjechał Set z podarunkiem. Dzisiajby się może taki podarunek niejednemu nie podobał, ale pokazuje się, że wszystko bywa rzeczą mody i że moda w Egipcie dziwaczyła trochę. Nic nie mogło być modniejszego nad piękną trumnę i nic nie mogło się więcej podobać Ozyrysowi i Izydzie, jak to, że służba Tyfonowa wniosła do biesiadnej komnaty śliczną, wyszlifowaną, wygodną, granitową, obrzeźbioną trumnę. Gdyby Ozyrys był mówił językiem XIX wieku, byłby powiedział, że to jaknajdelikatniejsza atencya. Aby tedy uwidocznić grzecznie, jak rad i bratu swemu i podarkowi, nie tracąc czasu, położył się jak długi do trumny, aby się przekonał jak mu téż w niej kiedyś będzie. Ledwo król ugrzeczniiony wlaźł do samołapki, a na skinienie podstępnego brata zatrzaśnięto wieko kamienne i niedługo zabawiło a król w trumnie naprawdę był nieboszczykiem: niestało mianowicie biédakowi powietrza. Ale że i nieboszczyki czasem straszą, więc Set dla większej pewności, kazał pana brata na drobne posiekać kawałki i kawałki porzucać do Nilu.

Resztę owój historyi przyjdzie opowiedzieć czyli raczej przypomnieć, mówiąc mniej jasnym stylem; historia to bowiem nieprzyzwoita, a trzeba wiedzieć, że w starożytnym Egipcie żadna historia bez nieprzyzwoitości obejść się nie mogła. Dość, że królowa Izyda w wielkiej desperacyi szukała po Nilu kawałków męża nieboszczyka i znalazła je wszystkie prócz jednego i zszyla do kupy, ale znalazła, że taki mąż niekompletny dyabła wart i nie na wiele się przyda. Z wielkiej desperacyi została mamką w Biblos w Fenicyi i tu wypadkiem zobaczyła wśród wielkiej sadzawki kwiat lotusu, a w kwiecie, w samym środku to, co jój brakowało. To tylko bięda, że Izyda pływać nie umiała i że nie było sposobu dostać się do lotusu. Okoliczność ta byłaby zewszystkięm fatalną dla innój osoby, ale ta tu bogini, niewiele myśląc zamieniła się w srokę i wleciała do samego środka sadzawki i potem ze zdobyczą poleciała prosto do Egiptu, gdzie mąż posiadłszy całe ciało zmartwychwstał, ukarał Tyfona i stał się ojcem syna Horusa. Sam teraz poszedł do nieba, a Horusowi zostawił na ziemi panowanie; a podług innego podania, żył w niebie jako Ozyrys, zmartwychwstał na ziemi jako Horus i miał syna Harmachisa współtoteżego z sobą; i to drugie opowiadanie tajemnicze, było zgodne z treścią nięśmiesznej już wiary Egiptu, nie tój, o której plotli majtkowie na Nilu i przekupki w Memfis, ale tój, o której rozmyślali po świątyniach mędrzy kapłani.

Teologia każda jako metafizyka, jest dla ludu, podobnie jak dla dzieci, niedostępną; dla niego treścią religii obrządek, nauki praktyczne i święte opowiadanie. Niedziw przeto, że teologia egipska, pozbawiona wszelkiego historycznego charakteru, zamieniła się mimo to w ustach ludu w opowiadanie, jak dla nas, śmiesznie niedorzeczne. Niemniej przeto było ono dla ubogich nad Nilem źródłem pociechy; w losie bogów, w ich zmartwieniach, śmierci i zmartwychwstaniu, widział Egipcyanin prosty los swój, widział rozwiązanie zagadki życia i rękojmę pośmiertnej nagrody za trudy życia; i to samo opowiadanie lubo inaczej zrozumiane, było podstawą tój samój wiary i u innych. Mawiano w Egipcie, że po śmierci dusza wystąpiwszy z ciała, puszczała się w długą drogę, gdzie na nią napadały najdziwniejsze poczwary, a u której końca była stolica Ozyrysa. Tu poczwary występowały jako oskarżycielki zmarłego, były to jego nieprawości, które żądały by im dano grzesznika na pastwę. Ważono teraz dopiero i mierzono zasługi i winy, a wedle tego co przeważyło, albo wtrącano grzesznika do okropnych piekieł, albo puszczano go do dworu Ozyrysa na wieczne wesele, i co więcej na to, by na tamym świecie nie było już nierówności żadnej; każdego czyniono Ozyrysem naprawdę, królem niebieskim i każdy mógł odtąd, żeglując wraz ze słońcem po niebie, przybierać takie kształty, jakie mu się podobało.

W pojęciu Egipcyan było tedy wieczne pośmiertne życie rzeczą najważniejszą, jedyną sprawiedliwą dołą ludzi. I dlatego chciano sobie w każdój chwili znaczenie śmierci uprzytomnić; wspanialszemi czyniono

groby umarłych od mieszkania żywych, balsamowano ciała, przechowywano w domu krewnych i sadzano przy biesiadnym stole, by każdy pamiętał o obowiązku i o zagrobowej sprawiedliwości. Ale obecność mumii przy uczcie nie przeszkadzała pijaństwu i rozpuście; przyzwyczajono się do nieruchomego gościa o zeszlęj skórze i oczach martwych, wyschlých z powieki i stawano się przy nim zwierzem, a że obowiązkiem Egipcyanina było przedewszystkiem dbanie o jado i dobrobyt ciała, więc wiara nie podniosła umysłów. Była dla wielu, dla większości formalistyką, obiecującą pośmiertne biesiady.

Uczeńsi i nawet niedouki rozumieli inaczej.

Grekom opowiadali, snać że niewtajemniczeni, że bogowie Egiptu, to podobnie jak bogowie Azji, przedmioty świata zewnętrznego. Ozyrys to słońce władające wylewami Nilu, Izyda to ziemia, Horus i Harmachis roślinność i życie, Set posucha, a zmartwychwstanie bajką, którą lud bawiono i w posłuszeństwie utrzymywano, a o tyle tylko prawdą, o ile nic w naturze nie ginie, jeno się ciągle przemienia i ciągle nowe rodzi życie.

Taką była powieść niedowiarków, których nie brakło i w starodawnym Egipcie. Ludzie wierzący, kapłani i znawcy wiary nie przeczyli jój, ale dopowiadali więcej. Oto wszystko co jest na świecie, ma wspólną niezgłębioną przyczynę, Amona; jest właściwie jednem, Amone, a tym Amone, tą jednością—prawo; prawo—przyczyną wszechbytu. Otóż prawo ma swój początek w rozumie, a rozum jest istotą duszy ludzkiej; dusza ludzka istotą człowieka. Człowiek przeto sam Amone, każdy jest twórcą świata, a świat cały i Egipt i wszystko tylko objawem prawa poczętego w myśli. Ciało i życie każde, każdego człowieka tylko jedną formą, którą myśl przybrała i gdy ta forma zniknie, odrodzi się wnet, zmartwychwstanie.

Ozyrys to myśl, źródło wszechrzeczy, pani życia i obfitości. Izyda to ciało, z którym się myśl złączyła, to materya poruszona przez duch. Śmierć Set, ciało oderwie od duszy, ale na chwilę tylko; materya z duchem znowu się złączy i nowe wytworzy życie: Horsa, Harmachisa. Każdy w życiu przechodzi przez raj poczwar, przez chuci co mu każą grzeszyć przeciw obyczajowi, który jest prawem, który jest tém, czém on jest i wszystkiem. Kto chuci usłucha, ten siebie samego niszczy; ale każdy wreszcie dojdzie do tego, że napowrót utraciwszy doczesną formę, będzie Ozyrysem.

Świat zewnętrzny i ciało ludzkie, to sen niby, to zmienne wielokształtne widzenie, które niezgłębiony rozum wszechrzeczy wywołał, na które on sam jeden patrzy; ten rozum sam siebie podzielił i w świat wszedł i uczynił siebie samego aktorem wśród jawu i stał się w formie doczesnej doczesną, przemijającą duszą. Ciało jój narzędziem, a światu cząstka w niej odzwierciedlona, przez nią odtworzona w myśli, jako świat cały stworzony przez jój źródło, przez myśl i prawo wszechrzeczy. Każdy człowiek bogiem jest; każdy człowiek prawem jest; on ustanowił sklepy niebieski, niezgłębione morze i piasek ruchomy pustyni

i wszechświat i ludy wszystkie i prawo Egiptu, co czyni Egiptu bogactwo i potęgę. On potem zakrył przed sobą większą część swęj istoty i zeszedł w świat ziemski i z pyłu i z trupiejszających dawnych form, utworzył sobie formę nową, nowe ciało i w niem tylko poznawał. Tak maż jak niewiasta, gdy żyją iskrą, promieniem wielkiego ogniska wszechmyśli; złączeni z materyą i poczęści w nięj nieprzestali być częścią ducha, ale w ograniczeniu dolném spotykają się z pokusą, co materyą i ograniczenie przedstawia im jako szczęście. Oni w życiu doczesném mogą błądzić, mogą nie słuchać prawa, co ich własną istotą; a wtedy powstają przeciw sobie samym i szala sądu przechyla się na ich niekorzyść; bo sami powstali przeciw sobie i ich wina okazała się większą od zasługi wobec ich własnego sądu, wobec sądu Boskiego prawa i myśli, ich własnej myśli, do której się modlić winni w pokorze. Śmierci niemasz, jest tylko ducha przekształcenie, a wśród piekieł zagrobowych przebywa ten właśnie co żyje; wśród piekieł tych cnota sama nagrodą i jedyną a najwyższą nagrodą cnotliwego.

Czy zrozumieliście? Może nie, chceście ludzie wykształceni.

Z myślami podobnemi spotkacie się nieraz: „Wyglądają górnice i niedostępnie, jak oblicza kolosów egipskich, zdaleka niby stoją od wiary w samo ciało, a głośno prawią o wyższości ducha i konieczności cnoty i z każdym wiekiem prawią głośniej i wyraźniej, jak harde nauczycielki ludzkości.” Wedle nich, nie ciężka materya miotana grą ślepych sił, wszechrzeczy początkiem; ona właściwie niczém nie jest, a naprawdę tylko trwa duch; a obrazy, o których marzy, cielesne niby, przemijają i nie są; głupiec tylko i nieuk bierze to, co widoczne i namacalne za istotę rzeczy, choć to wyobrażeniem tylko. Nawet i to, żeśmy osobne istoty w ciało przyobleczone i to nawet tylko wyobrażeniem jest, i to że myślimy osobno wyobrażeniem jest i owocem tego prawa pierwotnej myśli co światem włada. Prawo co włada materyą, włada i myślą jednostki; ono niedostępne, niezgłębione, ciemne i głuche dla nas; to bóg niepojęty Anum-Rá, duch-materya. To może wreszcie rozumniejsze tylko i mniej jasne, ale to samo co wiara tych, którzy wierzą tylko w siły fizyczne i ich grę. I niedziw, że tego lud w Egipcie zgięty pod kijem, myślący o chlebie, nie zrozumiał; niedziw témbardziej, że prawo całe kazało tylko myśleć o pożytku ciała i uciesze oczu dla Egiptu, najwspanialszego mrowiska ludzi. Niedziw, że lud głupi i bezmyślny, któremu prawiono o cnocie poziomej, niewolniczej i praktycznej, przekładał swoję niedorzeczną baśń nad filozofemata kapłana, modlącego się tajemniczo do własnej duszy, twórczyni i sługi sił niemych wszechświata. Niedziw, że myślał ubogi o Bogu, z którym po śmierci będzie mógł żyć, tyć i weselić się rubasznie, na równi z królami, o bogu, którym sam będzie k'własnej, wiecznej, niedorzecznej, pustej zabawie.

Egipt ludzi rozdzielił: jednym dał używanie, nudy i metafizyczne abstrakcje; drugim dał kij, pańszczyznę i głupią baśń. I dzięki temu: nagromadził wielkie skarby, wystawił piramidy granitowe, bez-

mierne, niebotyczne i świątynie tak okazałe jak w bajce, sparte o wojско kolumn i poświęcone chwale człowieka, Faraona.

Egipt był ostatniem słowem synów Chama. Dalej nie mogli przeprowadzić dziejów. Wyzę już nie umieli postawić cnoty. Stało ich na to tylko, by wymyślili obyczaj, co poświęcał jednostkę dla ziemskiego dobrobytu państwa. Stało ich na to, by bogatym tłómaczyć, że nagrodą cnotliwych i szczęśliwych: cnota i szczęście doczesne, a tłómaczyć ubogim, że po śmierci najędzą się w nagrodę za doczesne biędowanie. Dalej mieli prowadzić dzieje synowie Sema i Jafeta i o cnotcie mieli mówić inaczej; górniej może, a pewno inaczej! i tak: że ludzie ją ukochali dla niej samėj i nie za to, że dawała doczesne szczęście, lecz mimo to, że szczęście to odbierała, jeśli szczęściem sytość tylko, bogactwo i zdrowie.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PAMIĘTNIKI KANTORA
KATEDRY KRAKOWSKIEJ *).

PRZEZ

Lucyana Siemieńskiego.

**Kilka szczegółów o księciu biskupie krakowskim,
Kajetanie Sołtyku.**

Nie miałem szczęścia znać księcia biskupa Sołtyka przed jego pobyt w Kałudze, dopiéro w ostatnich latach gdy rezydował w Krakowie widywałem go często; było można powiedzieć ostatni z szeregu tych wielkich mężów Kościoła, co sprawy Rzeczypospolitej na swych barkach dźwigali. Cały też żywot jego świadczy, jak wysoko pojmował i pełnił powinności obywatela i pasterza. Wstąpiwszy na jedną z pierwszych stolic biskupich, opatrzoną wielkimi dochodami księstwa Siewierskiego, majątny przytém ze siebie, wszedł zaraz w ślady poprzedników swoich Gembickiego, Żubieńskiego i innych, co tyle fundacy i pamiątek zostawili po sobie w Krakowie. Jakoż naprzód wystawił pałac obszerny i wspaniały na białym Prądniku z dwoma frontami,

*) Dokończenie—patrz zeszyt za styczeń r. b.

jednopiętrowy, mający przeszło 80 pokoi, z zabudowaniami, stajniami, kuchniami, stosownie do potrzeb licznie utrzymywanego dworu. Gmach ten istniał jeszcze do roku 1796, potem opuszczony i rozebrany, dziś się w małej swjej części przedstawia. Onto kazał wyrestaurować pałac pod Krzysztoforami do niego należący; podwyższył i przyozdobił wieżę przy ratuszu krakowskim, fundując na niej zegar miejskim zwany; przy ratuszu dobudował odwach dla straży wojskowej, aby miał gdzie zaciągać wartę, konsystujący podówczas w Krakowie jeden batalion piechoty z regimentu Krou-princa saskiego, a który w przepolszczeniu Kompryczowskim zwano, a który niedługo potem zamieniono na narodowy i oddano pod komendę generała Wodzickiego, poległego później obok Kościuszki w bitwie pod Szczekocinami. Wieża ratuszowa dziś jeszcze istniejąca, choć szacowna pamiątka starożytnego ratusza, lekkomyślną uchwałą senatu wolnego miasta, zwaloną została, dając oczywiste świadectwo swemu restauratorowi jak czynnie przyczyniał się do ozdobienia miasta. Onto kazał jeszcze po powrocie z Kaługi, wyrobić z blachy srebrnej orła, mającego oznaczać kierunek wiatru na szczycie wieży; lecz Austriacy zajmąwszy Kraków w roku 1796, kazali upokostować go na czarno.

Zamierzał także ks. biskup Sołtyk przyozdobić i zamek królewski podnosząc wieżę wikaryjską do równiej wysokości i kształtu wieży zegarowej. Na ten cel kazał przysposobić wielką ilość materiałów budowlanych jako to: drzewa sosnowego, dębowego, ciosów kamiennych obrobionych, zgasić kilka tysięcy korcy wapna, takowe złożyć w składach do kapituły należących, tudzież kilka tysięcy arkuszy kutęj blachy miedzianej, dla pokrycia wieży, w skarbcu kościelnym przechować, w gotowych zaś pieniądżach wyłożył na kosztą przedsięwziąć się mającej budowy 300,000 złotych polskich. W kościele katedralnym zrobił także wiele porządków; między innymi chór, na którym dziś grywa muzyka, wystawił swym pomysłem z czarnego marmuru na 4 kolumnach. Na krużgankach Franciszkańskiego kościoła, gdzie były umieszczone wspaniałe portrety jego poprzedników na stolicy biskupiej, kazał porobić ramy do wielu portretów, okryte piękną rzeźbą i złocenia, tak że każda z nich równa się wspaniałości ołtarza. W tymże klasztorze kaplicę włoską zwaną, przy samem wnijsciu do kościoła od strony pałacu Wielopolskich leżącą, w porozumieniu się z starymi familiami włoskimi osiadłymi w Krakowie, wspaniałe ozdobił i przyozdobił, nazwiska tych familii dziś prawie wygasłych, a zasłużonych w urzędach miejskich jak: Działottych, Majnonich, Turjanich, Wielandów, Fakine-tych przechowały się w pamiątkach téj kaplicy. Taką to niezmiordowaną czynność, takie zamiłowanie stolicy swój okazywał książę biskup, póki go przeciwności nie złamały aż do obwinienia go o mniemaną chorobę umysłową. Wiadomo, że w skutek oporu stawianego dysydem, a następnie wybuchłych ztąd konfederackich zamieszek, książę biskup jako gorliwy obrońca prerogatyw Kościoła, przywieziony był do Kaługi, gdzie przemieszkiwał lat siedm. Aczkolwiek książę biskup zo-

stawił wielu przyjaciół i stronników swoich, jednakowoż najczynniej zajmował się interesami i losem jego, dobrze mi znany Onufry Winkler, generalny komisarz dóbr biskupich, sługa wierny i szczerze do swego pana przywiązany. Onto ciągle molestował osoby bliższe boku króla JMości i wpływ na stany Rzeczypospolitej mające, ażeby przyspieszyć powrót księcia biskupa, lub téż pobyt w obcej stronie znośniejszym mu uczynić; co gdy zawsze się rozbijało o trudności i konjunktury polityczne, ułożył sobie sam plan sprowadzenia księcia biskupa. Niezwierzywszy nikomu tego zamiaru, puścił się sam do Kaługi w charakterze kupca i wyrozumiawszy wszystkie okoliczności miejscowe, zawiązawszy potrzebne widokom jego stosunki, wrócił napowrót do Krakowa, gdzie się zaraz zajął potrzebnymi środkami i rekwizytów zgromadzeniem do wykonania swego planu. Jakoż uiebowem wyjechał na Wołyń i do Kijowa, gdzie zakupił dużo książek berdyczewskich, także rossyjskich do nabożeństwa i dużo obrazków świętych, których malowaniem słyną mnichy Peczerskiego klasztoru. Tak tedy przerobiwszy się na wędrownego księgarza, bo miał swój wózek i konie, puścił się do Kaługi, sprzedając po drodze książki i obrazki; a że tanio sprzedawał, więc go wszędzie dobrze przyjmowano i ugaszczano, co mu wiele służyło do prędkiego wyuczenia się języka. Dość już długo przebywał w Kałudzie, porobił sobie dużo znajomości i przyjaciół, gdy mu przyszła myśl poznać się z samym komendantem, mającym dozór nad osobą księcia biskupa. Komendant polubił go, bo Winkler umiał się podobać i najmniejszego nie powziął doń podejrzenia, gdy go prosił o pozwolenie pokazania swego towaru temu zamkniętemu Lachowi, który zapewne nudząc się, da mu dużo utargować za książki i obrazki. Komendant nie widząc nic w tém złego, a chcąc przytem księciu biskupowi przyjemność sprawić, kazał wpuścić księgarza. Winkler naładowawszy dwie sakwy książkami i obrazkami, dostał się nakoniec do swego pana, który niespodziewając się takiego gościa, niechętnie patrzył na przyniesiony towar. Uparty księgarz, nie zważając na to, coraz nowe rozkładał książki, coraz jaskrawsze zachwalał obrazki, aż upatrzwszy chwilę sposobną, zwrócił uwagę biskupa na siebie i cicho wymówionym wyrazem dał się mu poznać, przy czém z pewnym naciskiem podsuwał mu dwa futerały książkowe, namawiając aby je koniecznie kupił.

Księżę wpadłszy na trop, nie dał się dłużej prosić i zakupił wszystko co mu księgarz podsunął. Po odejściu księgarza, księżę zabrał się do przejrzenia tych futerałów i w jednym znalazł plan do ucieczki dokładnie skreślony, a zasadzający się na tém, że miał nazajutrz wieczór spojć komendanta i straż pokojową; w drugim znalazł kilkaset czerwonych złotych.

Winkler dla niepoślaki powiedział w gospodzie, że taki ma kup na towar, iż resztki co mu zostały, składa u gospodarza, a sam zaraz wyjeżdża po nowy transport jeszcze ładniejszych obrazków od tych, co przywiózł. Nazajutrz téż wyjechał i oczekiwał na umówioném

miejscu. Księżę ze swojej strony niezmiernie uradowany w duszy, zaprosił do siebie komendanta na wieczór. Poncze i wino się łąły, rozmowa toczyła się wesoła, przeciągając się do późnej godziny, która tym razem była wcześniejszą, gdyż jak panowie tak straż i służdy, wszyscy znaleźli się pod dobrą datą. Jak tylko uciszyło się w mieszkaniu, księżę biskup wstał z łózka, przebrał się w płaszcz jednego z wartujących i znając wszystkie przesmyki, wymknął się niepostrzeżony. Drogę do umówionego miejsca łatwo też znalazł, bo miał ją narysowaną w planie, a że noc była jasna, zaraz poznał Winklera, który przebrany za zwoszczyka, oczekiwał go już z powózką i końmi. Winkler także sobie porobił stosunki, że mógł co kilka mil odmieniać konie, co wielki pośpiech nadawało ich ucieczce, tak że w krótkim czasie znaleźli się w granicach Rzeczypospolitej, gdzie czując się bezpieczniejszymi, zmienili nietylko powóz ale i swój ubiór.

Księżę stanawszy w Krakowie, zajechał do swego pałacu pod Krzysztoforami i od tego czasu jak się zamknął, tak przez lat siedm nigdy nie pokazywał się publicznie. Pamiętam dobrze jak brama pałacowa nie otwierała się nigdy, jedyny zaś przystęp był małą tylną furtką z ulicy Szczepańskiej. Ow dwór biskupi niegdyś tak świetny i wspaniały, zmniejszył się do liczby kilku niezbędnych służących, pod marszałkowskim zarządem Winklera zostających; z obcych zaś gości rzadko kto z wybranych miał przystęp. Gdy się ustaliła wewnętrzna spokojność w kraju, a ucieczka księcia biskupa w niepamięć poszła, równie jak i dawniejsze sprawy, postrzegł snadź księżę biskup że ta dobrowolna klauzura do niczego nie prowadzi; otworzyła się więc raptem wielka brama pałacu, wystąpił dwór liczny, świetne powozy i cugi i wystawném życiem brzmiały pokoje Krzysztoforów. Niektóre domy zamożnych panów, zwabione okazałym dworem księcia biskupa krakowskiego, zjechały na mieszkanie do miasta, przez co Kraków ożywił się na nowo, a i nabożeństwa solenne na których celebrował ks. Sołtyk, zaczęły się odbywać z większą pompą i okazałością.

Dla opisania charakteru biskupa, opowiem jedno zdarzenie, które w swoim czasie wiele narobiło hałasu. Ks. Sołtyk wracając pewnego razu z przechadzki, wstąpił do kościoła Panny Maryi i właśnie tak się zdarzyło, że wzywano księdza dla opatrzenia chorego śś. Sakramentami, a że w téj chwili żaden ksiądz nie znajdował się w kościele, biskup kazał sobie podać komżę i stułę, a wzięwszy co należy dla opatrzenia chorego, udał się na wskazane miejsce. Ponieważ kościół był zawsze pełny ludu, znaleźli się tacy, którzy wzięli baldachim dla uszanowania Sakramentu i biskupa i towarzyszyli mu do apteki Likiego, gdzie leżałów chory parobek. Ks. biskup dysponując go na śmierć, przyrzekł mu swoją pomoc i pamięć, lecz chory umarł nazajutrz; gdy doniesiono biskupowi, chciał mu choć po śmierci dotrzymać obietnicy i nietylko sprawił mu suty pogrzeb, ale i sam eksportował ciało do kościoła, wezwawszy kapitułę i całe duchowieństwo. Ten wypadek i kilka innych jeszcze podobnych, wykraczających za granicę przyjętego zwyczaju, obruszyły

wyższe duchowieństwo, które z zażaleniami udało się do księcia prymasa Poniatowskiego, jeszcze od czasów konfederacji niechętnego biskupowi ks. Sołtykowi; nie mało przyczyniła się i familia, patrząca na ogromne dochody książęce, strwonione w okazałościach dworu, a tak powoli zawiązała się intryga duchowno-świecka, pod przewodnictwem ks. Olechowskiego, katedralnego sufragana, przewrotnego człowieka. Słowem spiknęły się wszystkie partye, aby filar kościoła, księcia biskupa Sołtyka, ogłosić za szaleńca, pozbawionego władz rozumu z powodu nadużycia powagi i godności biskupiej, jakby to było z ujmą pasterza dycyezyi udzielać łaski Sakramentów ludziom ubogim? Oprócz tego umiano chytrze podniecać jego wrodzoną wesołość i pociąg do pańskości, aby wyprawiał huczne festyny i wesela, co wszystko miało posłużyć za dowód osłabionego umysłu. Gdy rzeczy tak doprowadzono do ostateczności, chytry ks. Olechowski ułożył plan zwabienia księcia biskupa do katedry, dla święcenia księży seminaryjskich; tymczasem familia Sołtyków, połączona z partyą księciu przeciwną, z którą trzymał król i prymas, oparta na zdaniu doktorów Badurskiego i Szastorów, wyjednała wyrok u króla wzięcia w kuratelę księcia biskupa krakowskiego. Nie przeczuwając żadnej zdrady, pojechał ks. biskup na ono święcenie; lecz skoro wszedł do kościoła, zamknięto wszystkie drzwi i osadziwszy je strażą wojskową, odczytano mu wyrok wzięcia pod kuratelę, a na jego miejsce, administratorem dycyezyi zrobiono ks. Olechowskiego sufragana. Wtenczasto, kiedy go przyszedł aresztować generał Wodzicki i ściągał nań rękę, przepowiedział mu biskup, że go pierwsza kula nie minie, co się i spełniło pod Szczekocinami. Jeszcze jakiś czas trzymano księdza Sołtyka w seminaryum zamkowym, a to dopóki pałac biskupów w Kielcach nie został urządzony na jego mieszkanie, poczem pod strażą duchowną i świecką, tamże przewiezionym został. Kiedy to się działo, czynny i wierny Winkler, uratowawszy ile można było kosztowności z pałacu pod Krzystoforami, wywiózł je kilkoma brykami na Podgórze, ale drugi jego plan oswobodzenia księcia i wywiezienia go do Wiednia, do cesarza Józefa, nie powiódł się tak szczęśliwie, jak wywiezienie z Kaługi. Ksiądz biskup bowiem mając sobie ułatwioną ucieczkę za staraniem Winklera, gdy z zamku uchodził przebrany za parobka, towarzyszącego kucharzowi na targ z koszykiem, zapomniał na nieszcześnie zamienić fioletowych pończoch i trzewików na buty, przez co poznany od księdza kanonika Ossowskiego, rad nie rad wrócił na zamek.

Zdarzenie to przyspieszyło jego wyjazd do Kielc, dokąd w nocy pod eskortą wojskową przeprowadzono go. W tej smutnej rezydencji żył on jeszcze lat kilka, dając w końcu nieomylnie dowody nadwątlonego umysłu, ale raczej w skutek nieszczęścia i cierpienia, niż jakiegoś fizycznego defektu. Jak mi powiadano, nie żadne szaleństwo, ale głęboka melancholia trawiła tę dzielną organizacją; nieraz też w takich napadach nucił piosnkę skomponowaną przez siebie:

Bardzo mi to wlażło w łeb,
 Wszyscy mówią, że ja ki...;
 I tak z łaski méj matusi,
 Człek do śmierci k... być musi.

Większą część tych szczegółów słyszałem z ust samego Winklera, który w roku 1800, przyjechał do Krakowa na kuracyą i tu umarł, zostawiwszy znaczny majątek w Galicyi.

O kapitule krakowskiej.

W roku 1784 w wilią ś. Stanisława, po kilkodziennych nadzwyczajnych upałach, nagle zachmurzyło się całe niebo i z czarnych chmur uderzał piorun po piorunie; jeżeli ta burza wszystkich przejmowała trwogą, to jakiż dopiero był przestрах, gdy piorun uderzył tuż w kościół zamkowy, od strony południowej i wpadłszy oknem do środka, osmalił obrus złotem przerabiany, w kaplicy Zygmuntofskiej, ztamtąd obiegł około wielkiego ołtarza, poprzysmała stojących kleryków, a wpadłszy ubocznemi drzwiami naprzeciw kaplicy Maryi Magdaleny, skoczył ku wieży zegarowej, gdzie perpendykuł siedm łokci długi, a na cal gruby skręcił w węza, schody zapalił, w kapitularku porysował cały sufit, i napowrót oknem kościelném nad kaplicą ś. Stanisława wyleciał. Z osób nikogo nie zabił, tylko niektóre ogłuszył, a między innemi hr. Sierakowską, matkę ks. Wacława Sierakowskiego, kanonika katedralnego krakowskiego, a potem proboszcza téjże kapituły i koadjutora kapituły arcybiskupa lwowskiego Kielcuga. Zdarzenie to pobożny nasz lud poczytywał za karę boską, za zniewagę wyrządzoną księciu biskupowi Sołtykowi, oraz i kościołowi.

Kraków ożywiony dworem biskupim, powoli wyludniał się i pępniał; wiele domów zamożnych po wzięciu ks. Sołtyka w kuratelę opuściło miasto; handel coraz upadał, dobrzy rzemieślnicy wynosili się szukając gdzieindziej zarobku, zgoła wszystko rozbiegło się za chlebem, to ku Warszawie, to ku Lwowu. Kiedy czasami stary Wielopolski z Żywca, albo starosta krakowski Wodziński przyjechali z dworem do Krakowa, to nie mieli kogo na obiad zaprosić, chyba kilka par zakonników: Dominikanów, Kapucynów i Reformatów. Na ulicach panowała wtenczas wielka cisza, bo nie używano koczów ani karet; jedna tylko kapituła krakowska miała zastrzeżone sobie przywilejami utrzymywanie ekwipażu i liberyi, i tak: ks. sufragan Podkański, mieszkający wówczas przy ulicy Kanonnój, gdzie dziś rada miejska i policya mieszczą się, jeździł zwykle na zamek czterokonną karetą; z przodu i tyłu jechało po czterech huzarów, obok jechał masztalierz; w karecie siedział on sam z dwoma kapelanami; za karetą stało czterech lokai i dwu hajduków z węgierską ubraną z łaskami, jakie dziś dają szwajcarom, szło pieszo przy stopniach karety. Podobnież ks. Olechowski sufragan i administrator dyecezyi, trzymał ekwipaż i liberyą, zamiesz-

kując tę kamienicę gdzie dziś biuro telegraficzne. Na téjże stopie utrzymywali się i inni prałaci jak: ks. dziekan Michał Sołtyk referendarz, ks. Tymoteusz Gorzyński, biskup smoleński, kanonik katedralny, ks. Trzebieński kustosz i inni prałaci, jak kanclerz scholastyk, kantor, wszyscy jeździli czterokonnymi karetami; kanonicy zaś nie prałaci *ex officio*, parokonnemi kolaskami do katedry jeździć musieli. Jak liczna była wówczas kapituła i jak wspaniale reprezentowana, kiedy całą ulicę Kanonną, Poselską, ś. Józefa i część Grodzkiej, zamieszkiwali sami kanonicy katedralni. Ale jaką téż mieli powagę, jakie znaczenie, to się dzisiaj nieda z niczém porównać; byli téżto po większej części ludzie rozumni, dobroczynni i jedyni protektorowie młodych, a uzdolnionych ludzi.

Dawniej kapituła katedry krakowskiej miała wielkie prerogatywy, kanonicy byli to jakby magnaci kościoła, takie zachowywali okazałe formy równie w pożyciu, jak również i w codzienném nabożeństwie i ubiorze. Wszyscy bez wyjątku używali peruk, lecz ze skromną fryzurą upudrowaną, zachowując różnicę w lokach fryzury zamieszczonych z tyłu głowy i tak: kanonik młodszy w porządku nosił tylko jeden lok w tyle głowy zafryzowany i mocno wypudrowany; prałat pierwszego rzędu miał dwa loki przy peruce; prałat wyższego rzędu dwa loki i trzeci mały wypuszczony z pośrodku dwu; sufragan i biskup *in partibus*, nosili trzy wielkie loki z czwartym małym wypuszczonym z tyłu i dwoma z boku około uszów i zawsze z kalwakatą familijną, albo dworską służbą występowali na uroczystościach. Nabożeństwo każde tak wielkich świąt, jak i powszednich dni, odbywało się z odpowiednią powagą i wielką atencją; nie było to w używaniu, ażeby kanonika w obowiązkach kościelnych zastępował wikaryusz, za dwa złote, ucho-
waj Boże! *Horae canonicae* zawsze w stallach obecnością swoją zaszczylicali, stawiając się w przepisany ubiorze to jest: w mantoletach, a w dowód *confraternitatis*, każdy kanonik trzymający swą *septimanę*, zapraszał wszystkich wikaryuszów w pierwszą niedzielę *septimany* na obiad; uczęstował, uszanował. Tak długą część każdego dnia poświęcano służbie Bożej; a Świątynia Pańska zawsze pełna pobożnych, bo się mieli na kogo zapatrywać i dobry brać przykład.

Niedługo po śmierci księcia biskupa Sołtyka, powołanym został na tę godność ks. biskup łucki Paweł Turski. Odebrawszy wszystkie dobra do tego biskupstwa należące, łącznie z księstwem Siewierskiém zaczął od restauracyi pałacu biskupiego, naprzeciw klasztoru Franciszkanów, który długi czas stał opuszczony. Po wprowadzeniu księcia biskupa Turskiego do katedry i wizycie kościelnej i kilku obiadach sutoch, wyjechał on do Warszawy na kadencją. Wjazd jego na biskupstwo nie był szczególniejszy jużto z powodu wieku i ociężałości. Wjazd odprawując na zamek, zatrzymał się w kościółku ś. Idziego, karetę miał wspaniałą sześciokonną, otoczoną kilkoma panami polskimi, konno mu towarzyszącymi w bogatych strojach, orderami i wstęgami jaśniejących, a to wszystko podług dawnego zwyczaju z wielką okazałością i wyborem koni i ubiorów i mnogą kalwakatą: masztalerzy, huzarów

i pacholików. Z tego kościołka na czele całej kapituły, wprowadzonym był do kościoła katedralnego przy hucznej muzyce; po skończonej ceremonii z całą okazałością, tłumem obywateli i cechów, mnóstwa ludu odprowadzonym był do pałacu swego dla przyjęcia różnych władz miejskich i duchownych i na tém się wszystko skończyło. Był to dobry pan, ale dla wieku i słabości czyli ociężałości, niewiele się zajmował sprawami upadającego duchowieństwa, które coraz bardziej odbiegało dawniej pobożności. Umarł w Krakowie i tu pochowany, następcą jego był Gawroński za rządu austriackiego, po ostatnim rozbiórze Polski, w 1794 roku.

Przyjazd króla Stanisława Augusta do Krakowa.

Jak już mówiłem upadał Kraków coraz znacznie z braku ludności; ulice ledwieze trawą nie zarastały. Nie widziano ani panów, ani powozów, chyba tylko w dniu targowe trochę ludu wiejskiego i przekupek, bo nawet żydzi Kazimierscy nie bywali w mieście nie mając żadnej czynności. Zdarzało się czasami, że gdy umarł jaki znaczniejszy obywatel, to zakony i bractwa wyszedłszy ze swych klasztorów zaludniały ulice, co jeszcze smutniejszém czyniło i tak smutne miasto. W takim stanie rzeczy gruchnęła wieść, że król polski powracający z Kaniowa, gdzie jeździł pod pretekstem zwiedzenia prowincji nadgranicznych, a właściwie dla złożenia ostatniego hołdu swój wspaniałej dobrodziejce, że król w przejeździe ma odwiedzić Kraków. Ta nowina obudziła mieszkańców ze snu letargowego. Dalejże magistrat do czyszczenia ulic, do naprawy bruków; dalejże obywatele do bielenia domów, naprawy okien, dachów w nadziei zjazdu panów z dalszych okolic; dalejże kupcy pouprzątać swoje kramy i zakładać czém kto mógł; dalejże winiarze, miodziarze, piwowary, gorzelnicy, każdy w swoim zawodzie brać się do czynności, a wszyscy w nadziei pozbycia swego towaru lub wyrobu. Zjechał także hrabia Sierakowski, kanonik katedralny krakowski, a kustosz koronny z dwoma komisarzami, dla zreparowania pałacu królewskiego, dużo zaniedbanego, z poleceniem prefekturze poborów królewskich dostarczenia pieniędzy i materiału potrzebnego. Te i tym podobne okoliczności nadały życie i ruch wielki miastu, jakiego oddawna nie widziało. Zwołano rzemieślników zkad można było, sprowadzono majstrów zagranicznych i tymi zaludnił się Kraków; zjeżdżali się panowie z różnych powiatów i województw i sposobiono się na przyjęcie monarchy. Najpierw zajęto się upiększeniem Sukiennic, które od dwu lub trzech wieków były składem różnych gratów tak samo jak dzisiaj; niemniej upiększeniem ratusza, izby radnej, w której były portrety wszystkich królów polskich i wiele ryzsztunków dawnych; zajęto się skompletowaniem wojska z regimentu Kron-princa saskiego, przeformowanym na regiment pieszy generała Wodzickiego; przeszło 200 koni z Warszawy, kawaleryi narodowej, pół bateryi artyleryi, trzy kompanie z regimentu Czapskiego i dwie kompanie piesze z regimentu królowej

Jadwigi. Przy takim ruchu odzyli ludzie nanowo. Młodzież cisnąca się do wojska, świeże mundury od srebra i złota, wszystko to zachęcało do zupełnie nowego zawodu; nieustanne ćwiczenia czyli mustry na wolnych miejscach zgromadzały lud różnego rodzaju i stroju, a szczególnież kobiety, które nigdy nic podobnego nie widziały.

Nakoniec zbliżyła się chwila przyjazdu króla, już przybyła kuchnia i kredens królewski, już téż i piwnice zaopatrzone i spiżarnią. Dzień 28 kwietnia na ten fest przeznaczony był nader piękny, króla oczekiwano w Mogile, bo król jadąc od Lublina nocować miał w klasztorze mogińskim. Nazajutrz rano wyciągniono od kościoła ś. Floryana, aż do bramy Floryańskiej szpaler z wojska, cechów i ludu i tam duchowieństwo łącznie z rektorem akademii Krakowskiej przyjmowało Najjaśniejszego Pana prowadząc do miasta, gdzie prezydent na czele z radą miejską i obywatelami, obok zgromadzonych wszystkich cechów w bramie Floryańskiej, po krótkiej przemowie prezentował na bogatej poduszce klucze Krakowa Najjaśniejszemu Panu w dowód uszanowania i poddaństwa. Poczém ruszono zwolna przy odgłosie wszystkich dzwonów kościelnych, trąb i kotłów i bezustannych wykrzyków: „Niech żyje nasz najukochańszy król i cała Rzeczpospolita!” Przed kościołem Panny Maryi, duchowieństwo świeckie i zakonne mające na czele prałata swego, przyjmowało Najjaśniejszego Pana, a obok kościołka ś. Wojciecha cała synagoga żydowska, rabinowie w swoich uroczystych przybraniach niesli arkę i Torah. Ponieważ zaś król jegomość jechał na białym koniu nieco pierzchliwym, kazano się żydom usunąć na bok, aby się koń królewski nie zestrzechał i tak dalej cały orszak przeciągał ulicę Grodzką ku zamkowi, gdzie czekała kapituła ze swoim duchowieństwem, któremu przewodniczył ks. sufragan Olechowski administrator dyecezyalny. Król jegomość zsiadłszy z konia i przyjąwszy święconą wodę; przy odgłosie dzwonu Zygmunta i jego towarzyszy brzmiących na uroczystość postępował pod górę, a wprowadzony do kościoła katedralnego, zasiadł tron dla niego przygotowany po stronie lewej od wniścia kościelnego, na grobowcu królowej Jadwigi. Ksiądz sufragan Olechowski na stopniach ołtarza witał króla jegomości szumną mową, której mu król nie dał dokończyć, wzywając go do rozpoczęcia nabożeństwa, bo się królowi panu już jeść chciało, gdyż po wczesnym śniadaniu w Mogile, a przedłużonej ceremonialnej uroczystości wjazdu do drugiej stolicy Państwa, w której wszyscy jego poprzednicy koronowanymi byli; że już czas południowy minął, bo po godzinie drugiej zakończono nabożeństwo, uczuł się zmęczonym i głodnym i tak wprowadzono króla do pałacu zamkowego, gdzie po prywatnym obiedzie oddał się spoczynkowi. Wieczorem obszedł król jegomość prywatnie zamek ze wszystkich jego części, wiedział nawet ów kanał, którym Korytowski wprowadził Francuzów konfederatów.

Przypadkiem Korytowski mieszkający wówczas w zamku nasuńawszy się mimowolnie, sam królowi opowiedział całą tę przygodę z największą dokładnością wobec panów otaczających króla, któremu

okoliczność ta może nie była do smaku, jednak wysłuchał do końca, a uśmiewszy się serdecznie i pożegnawszy uprzejmie, zapewnił Korytowskiego o dalszych względach swoich. Aby mieć wyobrażenie o całości i kształcie tego pałacu, nie już jak był za dawnych królów w swój ozdobie i wspaniałości, bo go takim nie znałem, ale przynajmniej jakim był w ostatnich latach wieku XVIII w czasie bytności Stanisława Augusta, więc opowiem co mi zostało w pamięci.

Cały pałac tworząc kwadrat był otoczony dwoma piętrami galeryi na kolumnach kamiennych wspierających się, które szły do końca dziedzińca. Galerye dolne i piętra pierwszego opierały swe sklepienia na ścianach pałacowych i kolumnach samolitych z twardego piaskowca bez żadnych podmurowań z podwójnemi kapitelami; drugie piętro miało już nakrycie z desek szalowanych i malowanych, łączone z dachem całego gmachu, rynnny zaś kątne były miedziane u wierzchu z dużemi kosztami wyobrażającemi smocze głowy dla sprowadzania ścieków deszczowych z rynien cały pałac otaczających. Na facyacie pałacowej u samego szczytu od katedry, był herb Rzeczypospolitej to jest Orły białe i Pogoń w okręgu siedmiokciowym pokostowo wynalowany kolosalnej wielkości, a u spodu téj tarczy był z miedzi wyrobiony smok pięciogłowy, na łańcuchach zawieszony także kolosalnej wielkości, misternej roboty, z otwartą paszczą w środku czerwono pokostowaną z zębami srebrnemi, a wierzchy łbów w cieniach złoczone: tę ostatnią pamiątkę później za księstwa Warszawskiego zabrano do Puław do świątyni Sybilli. Wnijsście do pałacu z galeryi dolnej utrzymuje się dotąd; są to szerokie wschody z czerwonego marmuru prowadzące do pokojów drugiego piętra. Odrzwia we wszystkich pokojach z ciosu i marmuru rzeźbione najwyborniejszym smakiem gotyckim, piece zazwyczaj ukryte były w ścianach za obiciami; kominy również marmurowe misternej roboty i ogromne; szczególnie jeden w komnacie bawialnej był nader wielkiego rozmiaru, wyrobiony z marmuru szwedzkiego i ozdobny herbami Zygmunta III: w owe to czasy żołdactwo austriackie zniszczyło go okropnie i zupełnie. Okna w całym pałacu pierwszego i drugiego piętra były bardzo wysokie i szerokie, dzielące się na trzy części w kamiennych ozdobnych węgarach, oszklone wielkimi tafłami, tak nazwanem gdańskim czyli królewskim szkłem przezroczystem i grubém; wszystkie drzwi dębowe w rozmaitym kształcie tafłowane z mosiężnemi zamkami i podłoga w mozajkę układaną; pułapy gipsowe wyłacane, ściany szpalerami czyli obiciami różnego koloru i materyi ozdobione, szczególnie dwie komnaty jedna niebieskim, a druga karmazynowym aksamitem ze złotemi galonami, kutasami i sznurami obite. Luster weneckich wielkich i małych, żyrandolów mnóstwo a wszystko przepyszne, toż mebli obitych skórą w złoczone kwiaty i ptaki; szaf okrytych snycerską robotą, za które dziś płaconoby szalone summy było podostatkiem: gdzie to przepadło bez śladu, nie umiem powiedzieć.

Urządzenie pałacu było następujące: cały dół od strony wschodniej obrócono na składy potrzeb królewskich; pierwsze piętro przezna-

czone było dla księcia prymasa i służby dworskiej, drugie całe dla króla jegomości i na festyny; sypialnia i gotowalnia królewska była na wschód słońca, obok kaplicy królowej Jadwigi, nad Kurzą stopą; starosta Ryks kamerdyner królewski, dla miłej niespodzianki królowi jegomości, sprowadzić kazał wszystkie meble z Warszawy i drobiazgi w których król miał upodobanie i tak całą sypialnię urządził, że gdy króla wprowadzono do niej zapytał obecnych: „Moi panowie, powiedzcież mi czy ja jestem w Warszawie czy w Krakowie?” oświadczając przytém wielkie swoje zadowolenie. Drugiego dnia po rannéj Mszy św. w kaplicy królowej Jadwigi, którą odprawił ks. biskup smoleński, udał się król do katedry dla zwiedzenia grobów poprzedników swoich, kazał otworzyć kamienną trumnę Zygmunta Starego, w której z wielką pracą i ostrożnością odsłonięto twarz jego okrytą skorupą skamieniałego piasku; otworzono także i trumnę Zygmunta Augusta i z uszanowaniem napowrót zamknięto. Kazał król także podnieść kamień królowej Jadwigi, znalezione tylko prochy i szczątki zbutwiałych kości; nakoniec podniesiono wieko trumny Jana Sobieskiego, którego twarz lubo w ziemną masę zamieniona, wąs jego jeszcze był na dawném miejscu, a że damy tam obecne zaprzeczały, żeby to były naturalne wąsy, dotknięciem się owych zepsuty tę sławną ozdobę bohatera z pod Wiednia. Król Jegomość kondolencją zdjęty kazał trumnę zamknąć, i dla uczczenia pamiętki, polecił, aby ciało Sobieskiego w marmurową trumnę włożyć, i przenieść do innego grobu dla nienaruszalności czyli raczej za to, że Turków bisurmanów gromił.

Następnych dni zwiedził Najjaśniejszy Pan ratusz krakowski, gdzie mu prezydent z radą miejską powtórnie winny hołd uszanowania składali. Przedstawiwszy królowi księgę przywilejów i zbiór najdawniejszych aktów radzieckich, które obejrzawszy pochwalił staranne utrzymywanie onych i zatwierdziwszy takowe zapisał własnoręcznie datę bytności swojej na wieczną pamiętkę. Ztamąd udał się do gmachu Sukiennic, gdzie z ubolewaniem oglądał zabytek starożytności Kazimierskiej chyłący się do upadku, wszelako nic do naprawy go nie postanowił.

Następna wizyta była skierowana do kościoła Panny Maryi; pomodliwszy się chwilę małą, oglądał wszystkie osobliwości, podziwiając szczególniej rzeźbę drewnianą wielkiego ołtarza i kolorowe okna, poczem powrócił z orszakiem otaczającym go do Zamku. Przez resztę dni nieomieszkał nawiedzić groby: św. Jacka, św. Jana Kantego; uniwersytet Jagielloński, bibliotekę akademicką i wszędzie okazując wielkie zadowolenie i zaszczycając wszystko swym własnoręcznym podpisem. Aze się zbliżała uroczystość św. Stanisława patrona narodu polskiego, oraz inienin Jego Królewskiej Mości, przyjmował Jego Królewska Mość uroczyście w Zamku wszystkie władze: duchowne, świeckie, wojskowe, obywateli prowincyi i urzędników z tychże przybyłych dla powinszowania imienin monarsze. Ciągłe téż były pokoje otwarte i wielkie zgromadzenia dostojnych osób w odwiedzinach i balach przemijały się

codziennie. Miasto z swój strony zajęło się urządzeniem gmachu Sukiennic, zamieniając takowy na jedną salę dla przyjęcia króla pana jako solenizanta wpośród narodowego, licznie zebranego obywatelstwa. Upiększono ratusz, wieżę i główny odwach, bo to owych czasów składało jeden budynek wielkiej obszerności, zajmujący niemal połowę rynku, obok Sukiennic, gdzie dziś: ogniowe sprząty i sikawki są umieszczone.

Właściciele domów starali się również przyozdabiać takowe, w miarę możności i różnego pomysłu do illuminacyi, bo wszyscy tchnęli chęcią okazania dobrej woli i przywiązania swemu panu; przewidując niejako polepszenie bytu swojego narodowego i upadającego miasta. Między wszystkimi ubiegającymi się w upiększeniu domów swych, miała pierwszeństwo p. Laśkiewiczowa. Był to dom zamożnego obywatela i kupca krakowskiego, wielki handel na lądzie i na morzu prowadzącego. Pani Laśkiewiczowa dama młoda, pięknie wykształcona, pierwsze miejsce w towarzystwach wyższych z godnością zajmująca, prowadzenie domu stosownie do czasów owych z okazałością i powagą utrzymać umiała. Pani ta, aby dać poznać Najjaśniejszemu Panu, że i w Krakowie są ludzie, którzy mają smak i gust i umieją się znaleźć i wystąpić, gdy tego potrzeba i okoliczności wymagają, nie żałowała niczego, aby się odznaczyć. W dniu 8 maja 1787 r. wiele czyli raczej wszystko co żyło w Krakowie garnęło się do Zamku; jedni dla oddania królowi dowodu uszanowania i poddaństwa, inni aby widzieć tak wspaniałą uroczystość. Od samego świtu odgłos ośmiu armat poza miastem rozstawionych zwiastował wystrzałami 120 razowemi, uroczystość tego dnia. Wojsko całe jakie natenczas było w Krakowie defilowało około pałacu Zamkowego i przez celniejsze ulice do rynku z muzyką, wszystkie cechy z chorągwiami, a szczególnież cech włóczków z konikiem, przypominając ów napad Tatarów na Kraków w czasie oktawy Bożego Ciała.

Król Jęgoomość po przypatrzeniu się z okien pałacu tym wszystkim oznakom przychylności poddanych swoich, udał się do katedry na nabożeństwo, po którym przyjmował na otwartych pokojach powinszowania zaproszonych gości na obiad; po skończonym obiedzie udał się król z całym dworem do teatru opery włoskiej, którą starosta brzegowski Jacek Kluszewski, jako majątny kawaler, na swój własny koszt przed przyjazdem króla do Krakowa sprowadził.

Podczas teatru, zajęto się oświetleniem miasta i wszystkich domów obywatelskich, a szczególnież ratusza i wieży, przy nim stojącej, mnóstwem lamp kolorowych. Pałac margrabiego pińczowskiego, dom starosty krakowskiego, starościny Wolbromskiej, starościny Grzybowskiej, pałac Wielopolskich i wiele innych, z wielką okazałością w transparentach i mnóstwem światła walczyły między sobą o pierwszeństwo; zgoła cały Kraków i wszystkie ulice przepełnione były blaskiem światła nadzwyczajnego, a wieża kościoła Panny Maryi dwoma tysiącami lamp ubrana, zdawała się być jednym płomienistym kolosem. Z tém

wszystkiem illuminacya domu p. Łaskiewiczowej, przeszła wszelkie oczekiwania i zadziwiła swoją okazałością i wytwornością; było to przedstawienie ogrodu rajskiego: nimfy połączone z girlandami kwiatostemami w różnych kołach tańczyły około portretu królewskiego, pod którym amorkowie rozniecali ogień sztuczny, a Wenus trzymała nad głową jego laurowy wieniec. Transparent ten zajmował cały front domu od rynku oprócz mnóstwa lamp na wszystkich gzymsach zawieszonych. Sukiennice urządzone były w jedną ogromną salę balową, ubraną zwierciadłami poznoszonymi z różnych domów obywatelskich, i oświetloną mnóstwem pajaków i żyrandoli; w środku ubrany był tron z podwyższeniem, w którym był umieszczony portret królewski. Gdy się teatr skończył, król Jegomość zawiadomiony i uproszony przez delegowanych z miasta, aby swoją przytomnością raczył bal zaszczyścić, przychylił się uprzejmie do téj prośby, i udał się z orszakiem dworskim pośród okrzyków tłunnie zebranego ludu. Wprzód jednak objechał rynek przyglądając się transparentom różnego pomysłu, najwięcej się zatrzymał przy illuminacyi domu p. Łaskiewiczowej, poczem wszedł do Sukiennic od strony ratusza, gdzie czekały nań wszystkie stany obywatelskie i pierwszego rzędu damy; wstępującego przyjęto z okrzykami: „Niech żyje król!” okrzykom towarzyszyły trąby i kotły. Poczem zaraz król Jegomość rozpoczął bal, stając do poloneza z starościaną Wolbromską, a za nim ruszyli: panowie orderowi, dygnitarze, starostowie, wojewoda ruski, książę Czartoryski; król wielki polityk, nie same li magnatki wybierał, ale i znaczniejszym obywatelkom krakowskim robił téż honor; szczególniej p. Łaskiewiczowa bardzo mu się podobała, bo potem oddał jej kilka wizyt prywatnych. Trwał ten bal aż do rana, z obopólnem ukontentowaniem wszystkich stanów, z ciągłemi wiwatami węgryzna i szampana i odgłosem armat w rynku i za miastem rozstawionych. Po skończonym balu nazajutrz odbyła się solenna procesya na Skałkę z głową św. Stanisława, której król pieszo z całym dworem towarzyszył. Potem nastąpiły bale prywatne w domach obywatelskich i naodwrot u króla Jegomości, a wszędzie p. Łaskiewiczowa celowała. Zwiedził król Łobzów, owę letnią rezydencją Zygmunów i Anny, ciekawością zdjęty kazał kopiec Esterki przekopać, ale nie znalazłszy nic zarzucono napowrót. Widząc, że pałac w Łobzowie jeszcze w dość dobrym stanie, oddał go w opiekę akademii Krakowskiej z poleceniem, aby dla młodzieży chcącój się ćwiczyć w botanice, założono tam ogród botaniczny. Zwiedził także Piaskową skałę, Ojców i groty, w których się miał Władysław Łokietek ukrywać w czasie wojny z Czechami; kazał otworzyć Smoczą jamę pod Wawelem i zwiedził ją; dalej korzystając z zaprosin cesarza Józefa II, z którym się niedawno widział był w Kaniowie, udał się do Niepołomic na polowanie.

Aczkolwiek smutno było zapewne królowi zwiedzać ten piękny kraj oderwany od jego korony, jednakowoż przywykły do częstych upokorzeń, nie pokazywał tego po sobie, i podejmowany z wszelką okazałością, z rozkazu cesarskiego, bawił tam dni kilka. Wtenczas to opo-

wiadano szczególniejszy wypadek, jaki się zdarzył niedaleko puszczy Niepołomskiej. Chłopek ogradzał sobie pastwisko dotykające Wisły. Wtém usłyszał gwałtowne pluskanie w wodzie. Doszedłszy do miejsca ujrzał wielki dziw: był to stary lis, który czyto z pragnienia czy téż z powodu postu, bo to było w piątek, czaił się nad brzegiem Wisły w zaroślach i postrzegłszy dużego szczupaka, rzucił się nań z całą siłą i razem się paszczami pochwycili tak zacięcie, że ani lis od szczupaka ani szczupak od lisa nie mógł się uwolnić; owóż szamotanie to wydało taki plusk wody, widocznie szczupak chciał lisa skąpać, a lis przeciwnie chciał szczupaka na trawę wyciągnąć. Chłopek widząc to, obydwom przybył w pomoc, i wyciągnął na suche miejsce, a myśląc co z tém począć, przyszło mu na myśl, że król polski jest w Niepołomicach i poluje na sucho; trzeba mu i to na polowanie zanieść, może mnie czém obdarzy a choćby i nie, to go będę widział, i to dobre! Zabrawszy tedy zdobycz i umocniwszy im sznurkiem wiklowym paszcze, wsadził w wór i dalejże spiesźnie do króla. Gdy przybył do pałacu cisnął się do króla, lecz wszyscy urzędnicy ciekawi, czego chłop chce od króla polskiego, otoczyli go. Chłopek nie chce powiedzieć, tylko wciąż pcha się na pokoje; nareszcie zmiarkowawszy jednego z urzędników ofiaruje się podzielić z nim, jeśli dostanie jakie poczesne. Urzędnik przyrzekł go wziąć w protekcją, gdy wtém król powracający z przechadzki, natrafia na tę scenę i pyta, czego ten chłopek żąda? Chłopek widząc, że wszyscy pozdejmowali czapki, przysuwa się do Najjaśniejszego Pana oznajmiając, że niesie dziwną rzecz królowi polskiemu w darze. Król z uśmiechem pyta: „Cóż mi chcesz dać?” Chłopek: „czém mnie Pan Bóg obdarzył” i podjawszy wór, wytrząsł z niego lisa z szczupakiem; szczupak był żywy i czując się na wolniejszym miejscu, zaczął się jeszcze pasować z lisem, ale już nie mógł podołać; więc aby scenę ożywić, chłop podjawszy obydwóch poniósł ku sadzawce, i rzeczywiście szczupak w swoim żywiole odzyskał trochę siły, ale już się uwolnić nie mógł. Król ucieszony tym osobliwym widokiem, żartobliwie zapytał chłopka: „czegoby sobie życzył,” ale chłopek obejrzawszy się na owego urzędnika, prosi, aby go za tę śmiałość obito, że do króla obces poszedł, a to tém bardziej, że się z tym panem, pokazując na urzędnika, obiecał podzielić. Urzędnik zawstydzony cofnął się, a król udarowawszy chłopka, wyjednał dla tegoż u cesarza Józefa uwolnienie od pańszczyzny.

Powróciwszy z Niepołomic, znowu bale i festyny. Zdarzyło się na jednym obiedzie w poufniejszym kole, iż wychwalano królowi kasztelana Dembowskiego sławnego do kielicha, który pił wiele a jeszcze nikt pijanym go nie widział, choćby za dziesięciu wypijał; bo ile razy wlał w siebie ogromną miarę wina, tak zaraz trunek ewaporując robił go trzeźwym: poprostu, z głowy mu się kurzyło, gdyby z komina. Król lubiący takie osobliwości, kazał urządzić tak, aby równych chwatów do kielicha zaprosić na obiad i prosił, aby kasztelana tak posadzono, iżby go dobrze mógł obserwować i widzieć tę jego ewaporacyą.

Stało się jak sobie król życzył. Sproszonych kilkadziesiąt osób, miało być świadkiem tej pijackiej próby. W połowie obiadu, król jegomość kazał sobie podać puhar Augustowski i wniósł zdrowie pomyślności Rzeczypospolitej i godnych jej synów, a zwracając się do kasztelana Dembowskiego, zawołał: „W godne wasze ręce, mości kasztelanie.” Kasztelan skłonił się, przyjął puhar; lecz musnąwszy wąsa i czupryny, odrzekł: że aby godnie odpowiedzieć tak łaskawemu i zaszczytnemu wezwaniu Jego królewskiej Mości, a uczcić tak godny przedmiot, prosi o wolność zamiany puhara na wagę srebrną, która stała na stole. Wszyscy się zdumieli lub wyobrażali sobie, że kasztelan żartuje; lecz gdy podaną wagę napełniono dziesięciu butelkami węgryna, wezwał kasztelan marszałka, prosząc o dwu hajduków, aby go z tyłu dobrze trzymali za barki, a ująwszy ową wagę oburącz, wyrecytowawszy podziękowanie za tak wielki zaszczyt, zaczął pić nie odejmując od ust, póki nie wypił do ostatniej kropli. Myślano, że na tym koniec; lecz odsapnąwszy chwilę, wziął się do puhara, oświadczając, że na uczczenie tak świetnej pamiątki, czuje się być obowiązany dopełnić łaskawie włożoną nań powinność i natychmiast wychylił i ten jeszcze w dodatku i nie rzekłszy słowa więcej usiadł. Taki heroizm kielichowy wielce króla zadziwił i w dobry humor wprawił; tymczasem uważano, że wino zaczęło robić swój skutek na kasztelanie, ale nie w sposób zwyczajny wszystkim pijakom, tylko odmienny, jemu właściwy; bo wnet zaczęło się kurzyć z podgolonej czupryny kasztelańskiej, jak gdyby z komina, co króla i wszystkich gości niezmiernie bawiło, témbardziej, że kasztelan siedział i jadł jak drudzy, a nawet wyzwany na słowo, odpowiadał dość przytomnie.

Powiadają, że miał na to jakiś sekret; mnie się zdaje, że miał głowę, ostatni zabytek owych tęgich głów z czasów saskich.

Następnych dni zwiedził król Bielany, przypatrzył się Tyńcowi, opactwu księcia prymasa, które miało nazwę opactwa: Stu Wsi; ztamtąd wrócił na statku dlań przygotowanym przez włoczków, którzy z chorągwią i muzyką przodkowali na łodziach do samego zamku. Innego dnia zwiedził także celstat kurkowy i był obecny strzelaniu do tarczy. Dawniejszy celstat był między murami miasta; wchodziło się do niego od brany Mikołajewskiej, gdzie teraz dom Szeinkellera. Król przyjmowany z wielką okazałością od strzelców kurkowych i króla kurkowego i całej ludności, która wszędzie mu towarzyszyła, odwiedził także ogród botaniczny, do którego podniesienia i obserwatorium założenia bardzo wiele się przyczynił. Wiele jeszcze miejsc ciekawych zwiedził, kazał otworzyć skarbiec koronny, a obejrawszy wszystkie korony i berła z łańcuchami i orderami do nich należącemi, spisanemi podług inwentarza, takowy sprawdził i napowrót w porządku zachować polecił kustoszowi koronnemu i komisarzowi skarbowemu, a po odbytych wizytach pożegnalnych, do odjazdu się zabierał, przywilejów wiele potwierdził i siła dobrego dla miasta obiecał, a że bardzo mało dotrzymał, to nie nowina, bo o ten specyał nietrudno. Wreszcie obda-

rzywszy kilkanaście osób orderami ś. Stanisława, odjechał do Warszawy, polecając jednak komisarzom miasta Krakowa i margrabiemu pałacu królewskiego, aby wszystek porządek pałacowy był nietykalny, podług inwentarza urzędownie sporządzonego, na pamiątkę jego bytności w Krakowie.

W rok jakoś po bytności króla w Krakowie, rozeszła się pogłoska puszczona między ludzi, zapewne przez jego nieprzyjaciół, że król po to był w Krakowie, żeby zabrał skarbiec koronny, co spowodowało, że usprawiedliwiał się przed sejmem, że nawet wysłano Tadeusza Czackiego, jako komisarza nadzwyczajnego do Krakowa, dla wystawienia skarbcza koronnego na widok publiczny, w pokojach pałacu królewskiego i oraz zbadania środków, jakimby sposobem podźwignąć miasto do upadku się chyłące.

Rewizya skarbu koronnego.

Przybył nakoniec w roku 1789 ów nadzwyczajny komisarz Tadeusz Czacki i kustosz koronny hrabia Sebastyan Sierakowski do Krakowa; najprzód sprawdzili inwentarz pałacu królewskiego, potem w sali audyencyonalnej kazali urządzić trzy stoły, nakryte dywanami tureckimi, wyjętemi ze skarbcza koronnego i na tych ustawiono korony oraz inne insygnia. W tej liczbie zauważałem koronę królowej Jadwigi, darowaną od króla węgierskiego; koronę hiszpańską także darowaną; cesarską, darowaną od cesarza niemieckiego Bolesławowi Krzywoustemu; szwedzką Zygmunta III; czeską, także dar niewiadomo od kogo, i innych jeszcze kilka: wszystkie te korony były szczerozłote i drogiemi kamieniami gęsto nasadzone, a przy każdej berło i jabłko złote i łańcuchami także złotemi, w osobnym futerale, pieczęcią koronną opatrzonym. Wydobyte tych koron i ustawienie na poduszkach aksamitnych, złotemi galonami i kutasami ozdobionych, wspaniały przedstawiało widok. Obok koron poustawiane były różne zbroje dawnego rycerstwa: Szczerbiec Bolesława Chrobrego, strzały, łuki, berdysze, buzdygany, kończany, kilka jeszcze chorągwi Krzyżakom pod Grunwaldem zabranych i wiele innych sprzętów wojennych nieocenionej wartości dla badaczy starożytności. Była tam i zbroja owego Zawiszy Czarnego, jego niezmierny buzdygan, szablą i siodło; były między innymi trzewiki królowej Jadwigi, z jej koronacyi, małeńkie, a perłami i kamieniami drogiemi naszywane. Osobom chcącym zwiedzać te miłe pamiątki, wydawane były bilety w magistracie. Każdego dnia od godziny 10-jej aż do 5-jej wieczór wpuszczano ciekawych i trwało to przez cały miesiąc czerwiec, poczem znowu napowrót wszystko w porządku schowano do skarbcza, w przytomności komisarzów i delegowanych z magistratu krakowskiego. Jaśnie wielmożny Czacki, jako nadzwyczajny komisarz, zajął się potem oglądaniem bibliotek wszystkich w Krakowie, a szczególnie zakonnych, które ówczasnie były bardzo zamożne w dzieła historyczne, a należycie je przejrawszy i należycie przetrzebiwszy, po-

większył niemi zbiór swój prywatny, z którego sam wiele korzystać umiał. Nakoniec, po zbadaniu wszystkich stosunków posłużyć mogących do podźwignienia miasta, odjechał do Warszawy, ale już nie było czasu zrobić co dla Krakowa, rychło bowiem nastały czasy gorące, w których miasto jeszcze bardziej podupadło przez zupełne odretwienie przemysłowe i handlowe.

Fortyfikacya zamku.—Szarańcza.—Szkielec Szweda.—Rozbójnicy.

Nadszedł nakoniec ów tak wiele rokujący dla reform wewnętrznych i naprawy Rzeczypospolitej sejm czteroletni; początki jego były chlubne i obudzały w kraju nadzieję polepszenia. Lecz nie mówię o tém, bo to do dziejów należy.

U nas w Krakowie zaczęto pod te czasy fortyfikować zamek, czego dotąd są ślady. Mur, zaczynający się od przewozu obok domu zwanego „pod kaczka,” a ciągnący się aż do wieży nazwanéj „Sandomierską” stanął wtedy; przyczyniła się do tego familia książęcia Siewierskiego biskupa krakowskiego, Kajetana Sołtyka, który na podniesienie wieży wikaryjskiej przy kościele katedralnym krakowskim, do równego kształtu z wieżą zegarową, za życia jeszcze swego, przed wzięciem w kuratele, nagromadził był wielką ilość materyałów budowlanych: kamieni ciosów, cegły, wapna, drzewa dębowego, sosnowego obrobionego, grubego do 24 cali, przeszło 800 sztuk, a w skarbcu kościoła trzykroćstotysięcy gotowych pieniędzy na rzemieślnika i 500 arkuszy blachy miedzianej na pokrycie téjże wieży, a że familia Sołtyków już upadać poczęła, aby łatwym sposobem poprzec interesa swoje, ofiarowali na restauracyą zamku wszystek ten materyał budowlany, byle im wolno było podnieść pieniądze w skarbcu złożone, do czego się chętnie rząd ówczasowy przychylił, a dziekan kapituły krakowskiej referendarz koronny ks. Michał Sołtyk, także przychylny, dopomógł, zastrzegłszy sobie 40,000 złp. na pomnik, który wystawił księciu biskupowi w kościele katedralnym. Tak więc i stało się i kapituła zatrzymała miedź; rząd wziął materyał budowlany, familia gotówkę, a ksiądz referendarz zaszczyt za wystawienie pomnika stryjowi.

Pokryto wieżę potrójnym pokładem dylów w trzech wieżach, t. j.: Senatorskiej, Sandomirskiej i Złodziejskiej, zatoczono po 6 armat na lawetach. Mury wyższe poprawiono, a niższe rozebrano, za co w ciągu robót przez gabinet austriacki protest założony został i na tém koniec fortyfikacyi około Krakowa.

W roku 1790 w miesiącu maju przeleciała szarańcza, było to w dzień niedzielny: około godziny drugiej z południa była zaś tak mnoga, że lecąc ze wschodu od ulicy Floryańskiej przez środek miasta, cały horyzont zaćmiła; przerażenie i przestach był wielki: lud cały do kościołów się pochował, zaczęto po wszystkich kościołach w dzwony dzwonić; na miejscach otwartych gnoje i słomę palić dla odstraszenia szarań-

czy, której przelot trwał do godziny piątej wieczór. Bardzo wiele jój spadało po różnych miejscach, była dużo większa od zwykłych chrabąszczów, a niektóre dochodziły wielkości palca; kierunek swój wzięła ku zachodowi: nazajutrz jeszcze się małemi gromadkami przesuwała.

W tymże samym roku, gdy przy rozbieraniu murów mniejszych około zamku, zarównoywano miejsca spadziste, natrafiono na grób wystawiony w pagórku nasypiska z kamienia, na sucho bez wapna. W grobie tym znaleziono człowieka: uważając z ubioru, domyślano się że musiał być oficerem. Szkielet zupełnie był cały: buty duże z palonéj skóry i do użycia jeszcze zdadne, sukno munduru dobre ale już żadnego koloru niemające, szpada przy boku nie zardzewiała, leżała na kawałku deski dosyć jeszcze zdrowéj; guziki świecące, na piersiach miał kawałek blachy z rozklepanego pieniądza, na której były jakieś wyrazy kreślone, których nikt nieumiał przeczytać. Ksiądz referendarz i dziekan katedralny krakowski, kazał ten szkielet wyjąć ostrożnie i umieszczono go w dolnym pokoju pałacu królewskiego, dla zbadania przez różne osoby, między innymi przez p. Jacka Przybylskiego, sławnego wówczas akademika krakowskiego. Zgodzono się powszechnie, iż to był oficer szwedzki z czasów Karola Gustawa, albo Karola XII, pod zamkiem poległy, bo w owych wojnach wiele Szwedów pod zamkiem legło. Ksiądz referendarz kazał szkielet ten w trumnę porządną złożyć i w grobie w kościele katedralnym pochować. Zdarzyło się, iż przy chowaniu tego Szweda, świątnik starszy zdjął mu buty, wytrząsnął z nich kości a wysmarowawszy je olejem z lamp, chodził jeszcze w nich dosyć długo.

W roku 1791 wydarzył się szczególniejszy wypadek, który tu zapisuję. Zebrała się banda różnych zbiegów wojskowych i włóczgów, pod dowództwem niejakiego Kaczorowskiego, który dawniej dokazywał w konfederacyi; banda ta nachodziła dwory, rabowała kościoły a czasem zabijała gdy trafiła na opór. W liczbie owych rabusiów znajdował się pewien krawiec nazwiskiem Nowicki; był to starszek mający chleb wystużony u sufragana Potkańskiego. Trzeba wiedzieć, iż w owych czasach księża mieli piękne dochody; gromadzili je skrzętnie, a lubo niektórzy nie umieli ich użyć na dobre uczynki, więc zostawiali swe zbiory następcom.

Żył w zamku krakowskim ks. Rybkowski, w zgromadzeniu psalterzystów w domu Psalteryą zwanym, gdzie mieszkało sześciu księży tegoż zgromadzenia, jako to: Wojdziński szafarz zawiadujący gospodarstwem i kuchnią; ks. Paczyński, Korpański, Rzuchowski spowiednik, Rybkowski, Maciej Podgórski był oraz pisarzem kapitulnym i kapelmagistrem, ksiądz Czerna, ks. Fonfrowicz; ci dwaj byli psalterzystami i podkustoszymi i mieszkali w oddzielnym domu dla podkustoszych przeznaczonym. Otóż ów ksiądz Rybkowski stary, bo już był od lat trzydziestu w tém zgromadzeniu i znany ze skąpstwa nadzwyczajnego, zbierał rzetelnie i uzbierał bardzo dużo, bo nie płacił krawca, szewca, praczki, ani nawet kawy na śniadanie pieniędzmi, ale porcyą z refektarza, czyli

z kuchni i z tego samego funduszu utrzymywał chłopaka do posługi Piotra Popczyńskiego rodem ze Świątnik, synka jednego ze sług kościelnych nazwanych świątnikami.

Wspomniony herszt Kaczorowski, powziąwszy wiadomość o księdzu pieniężnym od jednego dworskiego, nazwiskiem Antoniego Wołodkiewicza, że najlepiej zrana iść do księdza; więc Kaczorowski wzięwszy ze sobą zaufanego towarzysza, udał się w dzień świętego Michała rano na zamek i czekał w kościele na wskazanego sobie księdza Rybkowskiego, który właśnie Mszą świętą kończył. Za wychodzącym z kościoła poszedł w trop Kaczorowski, ubrany porządnie, przy karabeli jako szlachcic, oświadczając, że życzy sobie kupić dziesięcinę wycieczną od księży Psalterzystów, przyczém prosi przyjąć faszczkę masła i wskazał na chłopca idącego za sobą. Ksiądz Rybkowski dziękuje i zaprasza do siebie, a chłopcu Piotrkowi każe iść po kawę. Gdy przyszli do mieszkania, ksiądz wszedł pierwszy a Kaczorowski z chłopcem tuż za nim. Przymknąwszy drzwi, dalej księdza za ręce; związawszy go, powalili na ziemię. Ksiądz zaczął wołać gwałtu, lecz Kaczorowski dobył chustki z kieszeni i wpakował ją w usta księdzu. Tymczasem Piotrek idący z kawą wszedł do stancyi i ostupiał z przestraczu. Chłop widząc nieproszonego świadka przywarł drzwi, Piotrek zaczął krzyczeć; Kaczorowski trzymając jedną ręką księdza, chwyta Piotrka lewą ręką i wielki palec pakuje mu w usta. Piotrek zapewne z przestraczu tak ścisnął zęby, że palec na samym stawie przecięty został mu w gębie. Kaczorowski z bólu szarpnąwszy ręką, powalił chłopca na ziemię na twarz i dobywszy karabeli płaął go po nogach dwa razy; za pierwszą razą przeciął mu prawą nogę pod kolannem na samych żyłach, a za drugim cięciem mocno obie skaleczył, poczem widząc, że niema dłużej co robić, uciekli zbójcy niezamknąwszy drzwi za sobą. Gdy się to dzieje, chłopcy, uczniowie śpiewu wychodzący ze stancyi na drugim końcu domu, postyszeli jęk Piotrka, a rozumiejąc że się z nich wyśmiewa i przedrzeźnia, nuże do niego z kijem, ale ujrawszy krew, pytają coby to było? On im opowiada jak zbójcy księdza Rybkowskiego zabili a jemu nogi ucięli. Tu dopiero powstał ogromny hałas w całym zamku: zamknięto bramę główną, zamknięto dom Psalteryi, zaczęto przeszukiwać wszystkie kąty, ale napróżno, bo nikt niemiał śladu, kto byli sprawcy i jak byli ubrani. Zaczęto najpierw od ratunku Piotrka, aby od niego można powziąć wiadomość. Wezwano chirurgów, lecz ksiądz już był zaduszony przez zatkanie ust chustką. Piotrka przeniesiono do innej stancyi i ratowano, póki nie przyszedł do zupełnej przytomności. Naza jutrz rozpoczęto protokół z najściślejszą dokładnością. Znalezione palec ugryziony, opisano osoby sprawców i wystano na wszystkie strony listy gończe, gdy tymczasem ptaszki te siedziały w gnieździe, to jest w Krakowie.

Nakoniec ów starszek krawiec Nowicki, na łaskawym chlebie u księdza sufragana Potkańskiego zostający, o którym wyżej wspom-

niałem, tknięty zgryzotą sumienia poszedł do spowiedzi do Kapucynów, gdzie trafił na rozsądnego spowiednika, który go odesłał do księdza sufragana, jako mającego wyższą władzę duchowną, mówiąc mu: ten cię naprowadzi na drogę, którą masz postąpić. Tak też usłuchał staruszek, udawszy się do swego pana i dobrodzieja, opowiedział mu wszystko. Ksiądz sufragan zareczył go, że tylko dobrowolne wyznanie przed sądem i wykrycie zbrodniarzy zmniejszy karę doczesną a zapewni mu zbawienie duszne i uzyska zupełne rozgrzeszenie. Otóż Nowicki udał się do magistratu, wyjawił zbrodniarzy i wskazał miejsce zamieszkania każdego; przeto w jednej godzinie ujęto wszystkich tu w Krakowie zamieszkałych.

Zeznania zbrodniarzy zgodziły się zupełnie z protokołem zeznanym przez Piotrka, chłopaka porąbanego przy księdzu Rybkowskim. Zaś co do innych zbrodni, staruszek Nowicki tyle tylko należał, że skradzione aparaty kościelne przerabiał na różne gorsety i jupki i takowe sprzedawał po jarmarkach mieszczańskim, co rade stroić się w bogate materye.

Natychmiast proces sformowano, podług praw ówczesnych osądzono i cały operat do Warszawy do potwierdzenia posłano. Wkrótce zapadły wyroki i nastąpiła egzekucya. W dwa miesiące po spełnieniu zbrodni już takowa publicznie ukaraną była.

Dnia 29 października od godziny 9-tój rano, trwała ta ceremonia do godziny 2-ój z południa. Najprzód na rusztowaniu obok kościoła świętego Wojciecha wzniesioném, gdzie dzisiaj plac fiaków, wyprowadzono pięciu winowajców w koszulach śmiertelnych białych i w takichże szlafmycach z czarnymi wstążkami, powiązanych powrozami, a to dlatego, że Sukiennice i waga miejska miały zdawien dawna ten przywilej, iż zbrodzień na karę śmierci osądzony i prowadzony, aby się tylko mógł dotknąć kraty drzwi, to go nie można było już śmiercią karać. Był to więc rodzaj apelacji od ostatecznego wyroku.

Wyprowadzonych winowajców tak z porządku karano: ustawiono wszystkich na rusztowaniu. Pierwszy Nowicki staruszek ścięty był mieczem; drugi Antoni Wołodkiewicz dworzanin, także ścięty mieczem, a potem przy szubienicy na kole położony; trzeci Grzegorz Zawada żywcem kołem od wozu łamany: najprzód ręce, potem nogi, a nakoniec roztrzaskano mu piersi i wkrótce dobito; czwarty Kaczorowski jako herszt, wszystkich śmierci i katuszy przytomny, także kołem łamany, ręce i nogi podwójnie, nakoniec w piersi trzynaście uderzeń otrzymawszy, jeszcze żył; czternaste uderzenie koła, które skierowane było na szyję, wydobyło krew z ust, oczów i uszu i to ostatnie uderzenie pozbawiło go życia.

Po księdzu Rybkowskim znalazły się pieniądze duże, z których biednemu Piotrkowi Popczyńskiemu dano cząstkę, jako uczącemu się rzemiosła ślusarskiego, któremu brat jego rodzony, będąc wikarym u świętego Floryana, kupił domek na Kleparzu. Piąty winowajca ponieważ nie miał żadnego uczestnictwa w popełnionych zbrodniach, tyl-

ko że należał do bandy; wreszcie przez wzgląd, że jeszcze młody, skazany został do Kamieńca Podolskiego na lat trzy, lecz musiał patrzeć na tak okropną karę wymierzoną na jego kolegach.

Upadek konstytucyi i rok 1794.

Czynności sejmu czteroletniego i skutek onych, konstytucya ogłoszona i zaprzysiężona na dniu 3 maja 1791 roku, aż nadto wiadome są z dziejów, abym o nich miał co powiedzieć, coby już lepiej nie było wiadome. To tylko powiem, że po niefortunnej kampanii r. 1792, pomimo pięknych czynów wojennych generała Kościuszki i księcia Józefa Poniałowskiego, wojska rossyjskie weszły do kraju i wszędzie rozłożywszy się, zajęły szczególniej Warszawę i Kraków. W ostatniem tém mieście było przeszło siedm tysięcy żołnierza i 12 armat, pod komendą generała Tatyżyna i Zubowa, kousystującego obok szczupłych komend wojsk koronnych, znacznie zwiniętych. Rossyianie zajęli zaraz oddzielne odwachy i zbornie, które były: już w pałacu biskupim, już w narożnej kamienicy przy ulicy Brackiej i rynku głównym, należącój do Lancokorońskich, gdzie miał kwatery generał Tatyżyn. Tam téż był i odwach główny, właśnie naprzeciw odwachu, gdzie generał Wodzicki z regimenterem swoim trzymał wartę. W ulicy Grodzkiej kamienicę należącą dziś do hrabiego Karwickiego, zajmował generał Zubow i również miał przed domem odwach strzelców. Na Kleparzu i Kazimierzu wiele domów zajętych było dla kawaleryi trzymającój liczne odwachy.

Wojsko koronne składało się tylko z dwu batalionów generała Wodzickiego i jednego batalionu generała Czapskiego, oraz sześciu armat, którei dowodził kapitan artyleryi Piaseczyński i porucznicy: Hofman i Bayer. Główne odwachy zajmowali w mieście przy ratuszu, drugi na zamku, trzeci w Glinianej Bramie na Kazimierzu. Często bywały zatargi między prostymi żołnierzami jednej i drugiej załogi, szczególniej w dnie świąteczne po szynkowniach; ale zawsze wyżsi oficerowie umieli tłumy rozproszyć i karność przywrócić. Gdy jednak podobne zajścia powtarzały się często, przyszło do tego że postanowiono rozpuścić wielu żołnierzy z komend koronnych, mianowicie w samym początku roku 1794, gdy obawa blizkiej insurrekcyi czuć się dawała. Kraków pod one czasy aczkolwiek pełen wojskowych, ogołoconym był z tych majątnych domów obywatelskich, co miały zwyczaj w nim przemieszkiwać, a to dlatego że się obawiano jakiej awantury ulicznej między żołnierzami. Główny rej wiodła w wyższym towarzystwie, acz bardzo szczupłym, bo powiększłej części złożoném z kilku sztaboficerów rossyjskiej i polskiej załogi, pani generałowa Grabowska, żona Pawła Grabowskiego generała, który za czasów wolnego miasta, żywota dokonał w Krakowie. Poufnikiem jój był Jan Kasparzy dyrektor poczty; a tak oboje nadawali ton naszój stolicy, obracając się w pewnym kółku politycznych przyjaciół.

Tymczasem, jak to wspominałem, rozwiązanie wojska koronnego stało się koniecznością z powodu częstych zająć z wojskami przybyłymi dla popierania planów konfederacji Targowickiej, która zamierzała przywrócić dawną formę rządu Rzeczypospolitej. Rozporządzenie to wyszło z końcem 1793 roku, a zatem od Nowego Roku 1794, zaczęto liczne dawać abszty żołnierzom. Zdaje się że ten krok przyspieszył stanowczy przyjazd generała Kościuszki do Krakowa w połowie miesiąca lutego. Przybył on potajemnie z Drezna i stanął u generała Wodzickiego. Głównym celem ich pierwszej narady, było powstrzymanie dymisyonowanych żołnierzy, aby się nie rozeszli do domów. Jakoż generał Wodzicki udał się zaraz do księdza Sołtyka, referendarza z prośbą o zatrzymanie artylerzystów dymisyonowanych, którzy kwatrowali po kamienicach kapitulnych; przez kilka dni miano opatrywać ich potrzeby, zanim, jak mówił, nie wynajdą sobie jakiego rodzaju zatrudnienia. Kościusko niechcąc zwracać na siebie bacności, pojechał cichaczem do Wieliczki i zajął mieszkanie w domu Tomasza Tomkowicza, prezydenta tamecznego, mając zaś przy sobie wiernego towarzysza podróży Litwina Zabiełkę, znającego *expedite* język rosyjski, użył go do ułożenia rozkazu do generała Tatyzyina, aby tenże po odebraniu tego pisma, natychmiast ciągnął do Warszawy dla wzmocnienia załogi w owém mieście. Niewiem jak tam sobie Zabiełko poradził, ale dość, że sfałszował rozkaz i jeszcze miał tyle odwagi, że sam puścił się z nim do Krakowa, aby go komendantowi wręczyć.

Nazajutrz tedy przeprowadzwszy się przez Wisłę pod Mogiłą, pojechał do Krakowa, a wypytawszy o kwaterę generała, oddał mu rozkaz. Zabiełko przebrany w mundur oficera rosyjskiego i płynnie tłómaczący się tym językiem, niewzbudził najmniejszego podejrzenia; bo skoro Tatyzyin przeczytał rozkaz, wezwał natychmiast Zubowa i polecił mu, aby w jak najkrótszym czasie wojsko gotowe było w pochód. Oficerowie magazynowi zwołali zaraz żydków i sprzedali im wszystkie zapasy żywności; sam zaś komendant pośpieszył do pani generałowej Grabowskiej z pożegnaniem. Pani ta przerażona tak nagłym rozkazem, posłała po pana Kasperego dyrektora poczty, aby go wybadać czy niewiadoma mu przyczyna nagłego wymarszu? Lecz pan dyrektor przedłożywszy obojgu całą swą korespondencją z Warszawą, niemógł z niej żadnego wniosku wyczerpać, co wzbudziło w generałowej niejaki podejrzenie, a może i przecucie, gdyż wszelkiemi sposobami usiłowała nakłonić generała Tatyzyina do zwłoki, póki drugim rozkazem powołany niezostanie. Ale rygorysta nie dał się nakłonić i tylko dla lepszego utwierdzenia się, wezwał Zabiełkę na herbatę do pani Grabowskiej, gdzie go zarzucono pytaniami o stanie umysłów w stolicy. Można sobie wyobrazić jak Zabiełko musiał się ostro trzymać i niezaważać wymowy w kreśleniu niebezpieczeństw grozących załodze warszawskiej. Generał siedział jak na śpilkach, radby już był tój nocy jeszcze choć ze trzy mile zrobić, ale niepodobna było tak prędko spakować wozy, uprzętnąć rekwizyta i magazyny; przeto wymarsz nastą-

pił dopiero nazajutrz o godzinie ósmej z rana, na dniu 19 czy 20 marca 1794 roku. Gdy w mieście niestało siły zbrojnej usuniętej tym fortelem, obywatelstwo i mieszczenie przygotowywali już widoczniej i głośniej akt insurrekcyjny pod naczelnictwem Kościuszki. Jakoż na dniu 24 marca, po odbytém nabożeństwie w kościele Panny Maryi, w przytomności władz świeckich i duchownych, oraz cechów i ludności, wykonał Kościuszko przysięgę i objął naczelne dowództwo. Po skończonej ceremonii zajęły się różne wydziały powierzonymi sobie czynnościami. Najpilniejszym zadaniem było wysypanie okopu około miasta, zaczawszy od Wisły od ogrodu botanicznego, aż poza zwierzyniec, a to stosownie do gotowego już planu. Nazajutrz to jest 25 marca pracowało przy szanłach najmniej 2000 ludzi, a kilkaset wozów zwoziło prowianty do miasta. Widząc ten ruch nadzwyczajny pani Grabowska i pan Kaspary, pomiarkowali co się święci i wyjechali z Krakowa, dokąd nie powrócili, aż po skończonej insurrekcyi, gdy miasto zajęte już było przez Prusaków.

Naczelny wódz siły zbrojnej, urządziwszy w Krakowie co pilniejsze rzeczy, posunął się na Racławice, chcąc się przedrzeć do Warszawy; lecz tam właśnie spotkał rosyjski korpusik generała Tormansowa, liczący około 7,000 żołnierzy i 12 armat. Siły Kościuszki złożone z regimentu Wodzickiego, Czapskiego, z oddziału kawalerji narodowej, ośmiu dział i kilku tysięcy kosynierów i pikinierów, posunęły się na spotkanie wojsk rosyjskich. Było to d. 11 kwietnia: poranna mgła zasłaniała całą okolicę, co bardzo było na rękę, bo miejscowi wieśniacy świadomi położenia i każdego przesmyku, blisko podprowadzili na nieprzyjacielski obóz. Przeciwnik mieszać się począł i ustąpił. Co także możnaby przypisać i temu, że rosyjski generał Denisow, niewiedomo dlaczego stojąc z znaczną siłą w pobliżu, nie posiłkował Tormansowa. Bitwa ta nie trwała i dwu godzin.

Strata Kościuszki także była znaczna, bo już nie był w stanie posuwać się ku Warszawie, ani też uderzyć na generała Denisowa, będącego w zamieszaniu; cofnął się więc do Krakowa, gdzie zaraz pod Bronowicami założono obóz i zaczęto formować kawalerją i piechotę z przybywających ochotników. Ponieważ skarb był ubogi, naczelnik pozwolił zabrać srebra kościelne, ale tylko te, co zbywały od służby Bożej, co chociaż niektórzy tłumaczyli koniecznością, jednakowoż było krok niedobrego wpływu, bo pieniądze ztąd wzięte nie przyniosły owocu, a kościoły zubożały, zwłaszcza gdy późniejszy rząd austriacki, wychodząc z tój samėj zasady dobra publicznego, złupił je do reszty. Naczelnik poruczywszy wielkiej radzie zajmowanie się urządzeniem wewnętrzném, zebrał nowo sformowanego wojska około 5,000 i chciał przedrzeć się ku Warszawie, lecz powziąwszy wiadomość, że Prusacy gromadzą się w okolicach Olkusza i że rosyjskie siły z niemi się łączą, zalecił generałom: Grochowskiemu i Wodzickiemu wziąć 500 jazdy, stu krakusów, 1200 piechoty, 8 armat i 300 kosynierów i udać się z tą siłą przez Olbrom ku Szczekocinom; sam zaś

wziął 1,200 ludzi generała Czapskiego, 800 żołnierza z pułku piechoty królowej Jadwigi, 500 kawalerji pułku Mirowskiego z okolicy pościąganych i różnych wolontaryuszów, strzelców pieszych około 400; do tego z tysiąc kilkuset głów pospolitego ruszenia, uzbrojonego w kosy pod dowództwem Zabiełły i Chwaliboga, a nareszcie 6 dział dowodzonych przez kapitana Pawłowskiego; wszystko to poprowadził naczelnik przez Działoszyce ku Szczekocinom, gdzie się już pościęgały i inne oddziały, a tak cała armia liczyć mogła około 14,000. Stanąwszy na placu, naczelnik powierzył lewe skrzydło korpusu generałowi Grochowskiemu, Wodzicki prawém dowodził, a generał Taszycki miał centrum; dowództwo nad rezerwą objął generał Walewski, ruchawka słuchała rozkazów Zabiełły i Chwaliboga.

W Krakowie zaś był następujący porządek ustanowiony: Wieniawski był głównym komendantem miasta; krakusów pułk formował się pod majorem Skrzetuskim, piechotę pułkownik Grabowski; cała zaś ludność miejska podzieloną była na 20 kompanij pieszych, tylko w części zaopatrzonych w broń palną, reszta w piki i kosy; mogło tego być z pięć tysięcy. Dla zabezpieczenia miasta od napadu, usypano trzy baterje przy głównych gościńcach i obsadzono każdą czterema armatami. Około okopów pracowano ciągle i prędko takowe stanęły; codziennie 2,000 ludzi trzymało w nich straż, luzując się co trzeci dzień. Oprócz komendanta miasta Wieniawskiego, była jeszcze wielka rada, składająca się z adwokatów, instygatora i Kaspra Meciszewskiego, komisarza porządkowego województwa krakowskiego, która zajmowała się organizacją wewnętrzną, urządzeniem magazynów, poborem podatków, ściąganiem liwerunków i t. d. Obfite zapasy wszelkiej żywności zwożono na zamek, co oddano pod dozór i kontrolę wysłużonemu kapitanowi artylerji Zubrzyckiemu i Kowalskiemu murgrabiemu królewskiego pałacu.

Tak rzeczy szły dość czynnie i śpiesznie, gdy nadeszła wiadomość o rewolucji w Warszawie. Raport o niej kazała najwyższa rada głosić po wszystkich ulicach miasta, przy trąbkach dwudziestu czterech pocztylionów. Ponieważ wspominałem był, że kościołom nakazano składać zbytkowne srebra, więc wykonano ten rozkaz i prędko zebrało się 150 centnarów srebra i 80 funtów złota. Dotąd jednakże niewiadomo mi, czy te ofiary doszły do Warszawy i kiedy je przeprowadzono, a jeżeli się co dostało, to chyba bardzo mała cząstka.

Tymczasem, jako zwykle bywa w takich zamieszkach, znajdują się zapalone głowy, które włócząc się po bruku i nic nie robiąc, chciałyby uchodzić za bardzo czynnych patriotów. Jużto niejedną głowę owiał był wiatr francuzkich rewolucyjnych ekscesów, więc takim zdawało się że trzeba podobnym trybem postępować jak u Francuzów, a wszystko pójdzie pomyślnie; wreszcie w naturze to ludzkiej, że do złego łatwiej przylgnie niż do dobrego, chociaż szczerze mówiąc, w obyczajach naszych nigdy nie było tój zaciętej krwiożerczości, jaką zastępnęły kluby paryzkie. Zapaleńcy tego rodzaju, znaj-

dujący się w bardzo małej liczbie między nami, nie mieli nawet pola do popisu, bo kogóż się czepiać. Wszelako dla obudzenia ducha, jak mówili, trzeba im było spełnić na kimkolwiek tak zwaną sprawiedliwość ludową. Otóż trafiło się, że gdzieś pod miastem schwytano chłopą, podejrzanego o szpiegostwo; chłopisko może o niczem i nie wiedziało, ale ciągnięto z niego indagacją i ferowano wyrok śmierci: jakoż ścięto nieboraka między kabatami, t. j. wewnątrz ratusza. Druga awantura jeszcze bardziej przekonana, że podobne sądy gruntują się na bezprawiu. Był niejaki ksiądz Dziewoński, którego ktoś oskarżył, że ma stosunki z nieprzyjacielem; posłano doń rewizyą i znaleziono listy od pewnego oficera rosyjskiego, który przed kilku miesiącami stojąc u księdza na kwaterze, pokochał się w jego siostrzenicy i chciał się z nią żenić. Księdza wzięto pod indagacją, a chociaż wątpię, żeby się był przyznał do czego, wydano nań wyrok śmierci. Ponieważ nie było urzędowego kata, ogłoszono publiczne nagrodę, kto się go ściąć podejmie. Znalazł się ochotnik. Obwinięto go wyprowadzono na plac obok kościołka św. Wojciecha, gdzie dziś plac fiaków i siedzącemu na stołku na kupie piasku, głowę ścięto. Wiele zdań było, że niewinny, ale wielu było za tćm, żeby małpować rewolucyą francuzką. W całym tym procesie największą odgrywali rolę: Kasper Meciszewski sekretarz, Bienkiewicz instygator i Łabajewski adwokat. Często robiono tćż fałszywe alarmy dla doświadczenia gorliwości obywateli; za każdym tćż razem cała ludność stawała na przeznaczonćm miejscu, ciągnąc kompaniami w szyku bojowym na wskazane sobie stanowiska, nie widząc zaś żadnego niebezpieczeństwa, rozkładali się do spoczynku. Dowódcy kompanii, chcący im tć gotowość nagrodzić, dalej dostarczać amunicyi piwnicznej: ten beczkę miodu, ten kilka beczek piwa, ów wódki i wina, nie licząc w to zakąsek, jak: chłby, sery i różnć wędliny. Na tćm wesołćm, półobozowćm życiu, upływały tygodnie i miesiące. Siła zbrojna okopów krakowskich regularnćj piechoty czterysta ludzi, ruchawki w różnć broń opatrzonćj 2,000, strzelców kurkowych 150, młodzieży akademickićj było dwie kompanie liczące 180 głów, dowodzonych przez Hieronima Wysockiego i Pawła Ożarowskiego. Była jeszcze rezerwa z pięciuset ludzi piechoty i sto pięćdziesiąt kawaleryi, oprócz tego 12 armat dowodzonych przez Jana Pieniążka.

Taki był stan obrony Krakowa; wątpie te siły nie byłyby się oparły licznemu nieprzyjacielowi, ale do oblężenia nie przyszło, bo kiedy w Warszawie rzeczy źle iść zaczęły, komendant Wieniawski zniarkowawszy z postępowania wielkić rady, że każdy o sobie myśli, zaczął także myśleć o sobie. Rada miejska i obywatele, troskliwi o losy miasta, wysyłają delegacyą do generała Fulion, który miał komendę wojsk austryackich i na Podgórzu i Galicyi, prosząc o opiekę lub zajęcie miasta; lecz pan generał oświadczył, że nićma żadnćj w tćj mierze instrukcyi od swego dworu, musi zatćm wysłać kuryera do Wiednia. Z drugićj strony pan komendant Wieniawski wszedł w korres-

pondencyą z generałem Ritzem, stojącym z małym oddziałem Prusaków około Piaskowej skały. Obywatele i rada miejska, oczekując odpowiedzi z Wiednia, udają się to do wielkiej rady, to do komendanta, ale nikogo znaleźć nie mogą; aż nakoniec uchwalono, aby się kompanie obrony rozeszły do domów, a w okopach po celniejszych punktach, toż przy rogatkach pozostały tylko niezbędne warty. Tymczasem wszystko co majątniejsze, wynosi się na gwałt z Krakowa na Podgórze. Było to w wigilią św. Trójcy o godzinie 5-ój z południa; adjutant pana komendanta przybywa do okopów, przegląda warty i oświadcza, aby się spokojnie zachować, gdyż dnia jutrzejszego austriackie wojsko zluzuje posterunki i zajmie okopy; o Prusakach jednak nie było żadnej wzmianki. Dla przyjmowania Austryaków i oddania im miasta w opiekę, poszedł major Skrzetuski w sto dwadzieścia koni ku Podgórskiemu mostowi; ale to wszystko było udanie, aby od poptochu lub oporu wstrzymać. Zostało w okopach wszystkiej straży może dwieście ludzi, zostawionych bez żadnego dowódcy. Noc przeszła spokojnie, dopiero w dzień św. Trójcy, o godzinie 4-ój rano dokuczliwe zimno i wiatr spędziły warty z wału na niższy parapet. Kilku młodych ludzi w okopach przy Warszawskim gościńcu, zebrano się do dowodzącego baterią Pieniążka i grało sobie w karty. Wtém jeden z nich mówi: „Cicho, słuchajcie! i kładzie się na ziemię;” drudzy toż samo zrobili i usłyszeli tentent koni. Pieniążek wstaje i wyjrzawszy przez strzelnicę, śledzi pilnym okiem i zaraz mówi do mnie: „Bierz lont i pal!” Po chwili widzieliśmy cały szwadron huzarów pruskich z dobytymi szablami postępujących zwolna ku nam. Przypuściliśmy ich na blizki strzał karta-czowy; Pieniążek komenderuje: pal! Ja przyłożywszy lont, pałę; Pieniążek toż samo z drugiej armaty. Przed dymem nie wiedzieliśmy co się stało, tylko słycać było głosy: *zurück, zurück*. Zrobiwszy naszą powinność, dalej my rejterować do miasta, a Prusacy zabiegać nam drogę od botanicznego ogrodu, my zaś przebijałiśmy się ku bramie Floryańskiej, którą na odgłos armatni już zatarasowano, zostawiając nam ledwo małą furtkę otwartą. Ostatniemu mnie, Prusacy strzelający za nami z pistoletów, kulą przybili trok mojej wołoszki do bramy. Pierwsze wystrzały armatnie obudziły mieszkańców Krakowa, którzy wysypawszy się na okopy zaczęli dawać ognia z ręcznej broni i to wstrzymało Prusaków; dopiero gdy koło dziewiątej z rana nadeszła ich artylerya, posunęli się masami ku miastu i zaczęli powoli zajmować opuszczone okopy.

Zobaczymy teraz, co się dzieje z majorem Skrzetuskim, stojącym ze swoją jazdą w awangardzie dla przyjęcia austriackiego wojska. Oddział jego stał za kościołem Trynitarzy, dziś Bonifratrów w bramie Wielickiej, będącej wśród murów otaczających Kazimierz. Ponieważ ta część miasta była oddzielona od Krakowa, przeto major Skrzetuski słysząc gęste wystrzały, nie wiedział co się w mieście dzieje. Zawołał przeto na wiarusów: „Chłopcy, pięć dukatów na rękę, kto mi dotrze do miasta.” Wystąpił Grzegorz Buła, karbowy z Brzezinek, wielki zuch,

który we wszystkich bijatykach karczemnych rej wodził i wzięwszy dwu ochotników ze sobą, kopnął się ku Stradomskiemu mostowi. Ledwo tam dopadł, zastępuje mu drogę kapral pruskich huzarów, otacza go i żąda poddania się; Grześ Buła spokojnie popatrzył im w oczy i machnąwszy krzyżową sztuką, kilku zсадził z koni i najspokojniej powrócił do komendy, donosząc: że od Grodzkiej bramy wali się chmura Prusaków. Major nagrodziwszy go, rozkazał dawać ognia z armat przy bramie Glinianej, a sam tymczasem rejterował przez most na Podgórze, gdzie się stawił generałowi Fulion, prosząc go o wolne przejście do granicy polskiej. Generał tłómaczył się tém, że niema instrukcyi; lecz Skrzetuski nie czekając na takowe, ruszył w pochod i przeprawił się pod Baranowem na drugą stronę.

Prusacy zająwszy Kraków potrzebowali zająć i zamek jako punkt główny, ale dowódca straży Antoni Sterych, mający tylko dwudziestu pięciu ludzi przy bramie oświadczył oficerowi pruskiemu, że nie otworzy bramy, dopóki niezawrze honorowej kapitulacyi. Oficer zaraportował to generałowi Ritz, który wysłał na parlamentarza majora Masko aby wyrozumiał rzecz całą. Wyszedł naprzeciw niego Sterych i udał się z nim do komenderującego, któremu oddał pałasz oświadczając, że jako dowódca załogi zamkowej, związany jest przysięgą bronić powierzonego mu stanowiska, uprasza tedy pana generała, aby podług praw wojskowych odebrał twierdzę dla swego monarchy, a jemu z całą załogą udzielił świadectwa, że wiernie dopełnił poruczonego obowiązku. Pamiętam dobrze ubiór jego: miał na sobie krótką szarą wołoszkę i także spodnie, pałasz na czarnym lakierowanym bandolecie z popiersiem naczelnego wodza i szarfę jedwabną niebieską z srebrnymi frędzlami; na lewem zaś ramieniu miał srebną szlifę. Generał pruski pochwalił to jego żądanie, a kazawszy zająć zamek przez batalion grenadyerów Wilhelma III, wyprowadzono załogę z dwudziestu pięciu ludzi złożoną, która rozeszła się do domów. Magazynier Zubrzycki i Kowalski margrabia pałacu królewskiego i kontroler magazynowy zostali w zamku aż do oddania wszystkich magazynów. Tych jednak magazynów nietykano aż do zupełnego ukończenia insurrekcyi i zajęcia Warszawy; wtenczas dopiero Prusacy otworzyli je i wszystko z nich wywieźli do Szląska, a niektóre artykuły sprzedano w miejscu żydom. Ostatni zapas sucharów złożony w kościele św. Michała na zamku, dostał się majorowi Masko, jako temu co go zdobył; lecz że suchary były spleśniałe, sprzedał je za dwieście talarów żydowi Rozenbergowi, z których tenże palił wódkę i dobry miał zarobek. Biedny lud cierpiał największą nędzę; a choć urodzaje ukazywały się piękne, niemiał kto zbierać. Drogość niewypowiedziana dała się czuć w Krakowie. Za chleb komiśny żołnierski płaciliśmy po sześć złotych i więcej; kaszę, mąki były także w wysokich cenach, bo Prusacy wszystką żywność wywozili do siebie. Zaraz po zajęciu Krakowa przez wojsko pruskie, przybył także i gubernator cywilny, pan minister Hoim z sekretarzem panem Lang. Stali Prusacy w Krakowie i okolicach aż do r. 1795, w którym

za porozumieniem się dworów miał się dostać wraz z trzema województwami, Sandomierskiem, Lubelskiem i Krakowskiem, pod panowanie austriackie.

Skarbiec i opis zamku krakowskiego.

Teraz muszę opowiedzieć epizod dotyczący się skarbcza koronnego. Niejaki Zubrzycki który był magazynierem zamku, żywiący się przy Prusakach ze swoją rodziną, a widząc że inny rząd nastaje, powziął myśl zabezpieczyć sobie los w ten sposób, że się udał do pana gubernatora Hoima, jako powie gdzie jest skarbiec koronny ukryty, byle mu za to jaką pensją lub urząd zapewniono. Pan Hoim strasznie się rozпалиł do tego skarbcza i chciał żeby go mu zaraz pokazał, lecz ostrożny Zubrzycki składa się tém, że bez wiedzy króla jegomości pruskiego uczynić tego nie może. Pan Hoim rad nierad, o wszystkim tém zdaje sprawę królowi i żąda posady dla Zubrzyckiego; na co zaraz nadeszła odpowiedź i nominacya dla Zubrzyckiego, na komisarza porządku w Częstochowie, z pensją 180 talarów i mieszkaniem. Stało się; pan Zubrzycki podaje spis wszystkich kosztowności zawartych w skarbcu i wskazuje miejsce, przyczém dodaje, że trzeba ślusarza biegłego aby mógł otworzyć zamki, tutejszemu zaś powierzyć niemożna, gdyżby to gruchnęło po mieście i wywołało tumult. Usłuchano dobrej rady i wysłano do Wrocławia po cechmistrza ślusarskiego. Przybył ślusarz w samą porę, albowiem Austriacy mieli zająć Kraków a Prusacy ustąpić z niego. Wzięto się do otwarcia drzwi żelaznych sobie wskazanych, ale wszystkie usiłowania pana majstra były daremne, czém z niecierpliwion pan generał Ritz, wpadł na koncept żeby założyć armatę i kulą drzwi wysadzić; ale go zbił z terminu p. Kowalski margrabia zamkowy, powiadając że wystrzał armatni może wstrząsnąć sklepienia i wielkie zniszczenia zrządzić w całym zamku. Przywołano nakoniec krakowskiego majstra ślusarskiego Weisa, który obejrząwszy drzwi, oświadczył iż niema innego sposobu tylko wyjąć węgar spodni, żeby się człowiek mógł tamtędy przecisnąć, i dopiero wewnątrz rygle pootwierać. Na tém stanęło, wyrąbano próg kamienny, którym wsunął się majster Weis, i podsunął krzyżowe rygle, poczem oddalono wszystkich przytomnych; został tylko p. Hoim, p. Lang, generał Ritz i margrabia Kowalski. Puzdra które tam znalezione zamknięte i zapieczętowane, wsadzono do karety p. gubernatora i odwieziono do jego mieszkania; gdy zaś szukano w skarbcu po wszystkich kątach i niezaleziono nic odpowiedniego oczekiwaniu, jaki taki nakławszy Polakom, że mieli takich ubogich królów, oddalił się z nieukontentowania; co widząc p. Zubrzycki powiedział im, że w pokojach królewskich mogliby znaleźć co lepszego; jakoż odebrano zaraz klucze margrabiemu od pokoi królewskich, z poleceniem aby się nieoddalał, dopóki nieprzybędą. Nazajutrz z rana przybyli ci sami panowie i udali się na pokoje królewskie, gdzie spisano różne sprzęty i podzielono się niemi podług sto-

pni. Dostojnicy zabrali rzeczy kosztowniejsze jak meble, lustra, obicia, kobierce, gobeliuy, stoły mazajkowane, stołki z wyłaczaną skórą; wpadła niższa czereda kapralów i furknechtów i w mgnieniu oka ogołociła królewskie pokoje z szyb, posadzek, zamków, drzwi rzeźbionych i fornirowanych. Bez ognia zostały gołe mury, pustka, przytułek dla nocnych ptaków. Margrabia Kowalski ledwo drzwi wchodowe żelazem okute obronił; sam niedługo ze zgryzoty zachorował i umarł, a stróż jego stary Urban oddał klucze od bramy, Paradną zwaną, Austryakom, którzy zamek na koszary zajeli.

Dotąd opowiedziałem koleje, przez jakie w ostatnich czasach przechodziło to siedlisko królów: teraz chciałbym opowiedzieć rozkład wewnętrzny, o ile mi go pamięć zachowała. Wiadomo, że zamek krakowski od czasu koronacy Jana Sobieskiego zostawał w zupełnym zaniedbaniu, a szczególnie sam pałac, gdyż tylko sądownictwa miejskie i grodzkie mieściły się w zamku. Gmachy znajdujące się w obrębie murów zamkowych były następujące: obok pałacu królewskiego dom duży naprzeciw kościoła katedralnego, z obszernymi sklepieniami izbami o jednym pięttrze; tam się odbywały wszystkie sprawy ziemskie i grodzkie aż do r. 1794. Obok tego domu w téjże samej linii drugi takż pięknej struktury włoskiej, że go można było mniejszym pałacem nazwać, o jednym pięttrze z dużymi oknami; miał od frontu pięć pokoi, a od tyłu dwie duże sale; dom ten nazwano starościńskim. W tyle tych dwu domów były stajnie królewskie i starościńskie. Wązka ulica dzieliła starostwo od kościoła św. Michała zwanego kolegiatą; był to gmach niewielki ale kształtny, wysmukły, z wieżą okazałą, pobitą blachą cynową. Kościół sam w gotyckim stylu; sklepienie utrzymujące się na jednej środkowej kolumnie, jak w kościele św. Krzyża. Kolegiata ta miała dziekana i czterech kanoników; pierwszy mieszkał przy kościele w domku piętrowym; kanonicy bywali zwykle z innych zgromadzeń przybierani. Gdym był jeszcze dyszkantystą, śpiewałem w tym kościele dwa razy do roku, to jest na św. Michała i na rocznicę poświęcenia kościoła. Ostatni dziekan nazywał się Dzięgłowski, a ostatni kanonik ks. Janikowski. Kościół ten przeznaczony na skład sucharów, później w r. 1798, rozebrany był za rządów austryackich. Obok kościoła stał dom rządowy murowany o pięttrze, który ostatnimi czasy zamieszkiwał Rudowski, rejent ziemski; przy nim był niewielki owocowy ogród. Naprzeciw tego domu był inny murowany z ogrodem, przytykający do muru zamek otaczającego, gdzie mieszkał Mąkulski, rejent grodzki, mający w pobliżności drewniane mieszkanie woźnego i dozorczy, oraz wieżę, gdzie były więzienia szlacheckie. Obok domu dozorczy był dworek drewniany, własność Gómołczyńskiego, śpiewaka altysty przy kościelnej muzyce, oraz restauratora instrumentów smyczkowych. Wracając się ku środkowi, obok kościoła św. Michała stała wielka kamienica dwupiętrowa, nazywająca się Borek, a będąca mieszkaniem zgromadzenia księży wikaryuszów katedralnych, których było ośmiu; przy tym domu był ogród duży i ob-

szerne stajnie dochodzące do głównego muru. W sąsiedztwie stały jednopiętrowe drewniane koszary dla straży zamkowej. Naprzeciw koszar był znowu wielki dom, zwany Psalterią, gdzie mieszkało ośmiu psalterzystów. Za Psalterią duży murowany dom jednopiętrowy przytykał do głównego muru, i nosił nazwę margrabstwa Dąbskiego, ale od czasów Szwedzkich wojen rozsypywał się w gruzy. Dalej ku zachodowi było znowu tak zwane margrabstwo, ale za mojej pamięci sterzały same mury bez dachu. Przy owym sławnym kanale, którego wdarł się był oddział konfederatów, stała kamienica jednopiętrowa, nazwana Penitencyonalną, gdzie mieszkał ks. Maciej Podgórski, który był psalterzystą, pisarzem kapitulnym, kapeli magistrem i proboszczem miłośierdzia na Smoleńsku. Obok ciągnął się gmach wielki dwupiętrowy, nazwany Szkołą, mający własne fundusze i utrzymujący, oprócz uczącej się młodzieży ośmiu stypendystów, mających obowiązek śpiewać z kantorem w katedrze nabożeństwa jako to: prymy, summy, nieszpory, i inne nazwane szkolnemi, które się odbywały *cantu choralis*. Nauczycielem tej szkoły był ks. Kotarbieński, a seniorem ks. Batorowicz. Uczono wówczas czytać, pisać i gramatyki Piotrowskiego, oraz rachunków.

Obok szkoły stał dom nazwany Lipowiec, zamieszkiwany przez księży wikaryuszów; dalej dwa domy jednopiętrowe, fundacyi Hinczonów, miały nazwę Klerykatów; wszystkie w dobrym stanie, i zawsze zamieszkiwane.

W środku zamku stał kościół św. Jerzego z dosyć obszernym dołką cmentarzem. Był to kościół parafialny dla całej ludności zamkowej, ostatni proboszcz nazywał się ks. Buszeński, wikaryusz katedralny i wice prokurator kapituły. W tym kościele odbywało się nabożeństwo parafialne codziennie, a klerycy z seminaryum śpiewali kursa i oficya do Najświętszej Panny. Naprzeciw kościoła św. Jerzego stał dom jednopiętrowy, bardzo pięknej struktury, lecz dla czego nosi nazwisko Parszywego dworku, nie jest mi wiadoma tradycja; budynek ten oddawna był opuszczony, przeto i najpierw go rozebrano. W sąsiedztwie jednopiętrowy dom nazwany Angelicum, od zgromadzenia księży angelistów tak nazwanych, że śpiewali mszą św. *de sanctis angelis*. Na tyle domu angeliki była studnia, a za nią pięć kamienic murowanych, połączonych z sobą, i do głównego muru otaczającego zamki przytykających; stoją one do dnia dzisiejszego, i były zamieszkiwane przez księży wikaryuszów. Obok tych było seminaryum, dziś zamienione na koszary wojskowe; seminaryum to miało oddzielny dziedziniec z bramą wjazdową, oddzielną studnią i furtką do wyjścia. W połączeniu z dziedzińcem był dom piętrowy nazwany Margrabstwem, ale nie pamiętam jego nazwiska. Między tym domem a kamienicą kapitulną, dziś zamieszkaną przez księży podkustoszków i wikaryuszów, stały jeszcze dwa domy murowane naprzeciw kościoła katedralnego, pierwszy należał do księży rozaistów, śpiewających mszą *nos autem*; a chociaż był nabyty na własność prywatną rodziny Korytowskich, nie

wiem z jakiego powodu go rozebrano; obok tego stał dom także marmurzystwem nazwany, ale że groził ruiną, więc go rozebrano.

Otóż cały zamek taki, jakim był pod koniec zeszłego wieku, starałem się opisać z największą dokładnością; dziś bowiem z tych przemian, jakie w nim zaszły, niktby nie mógł odgadnąć dawniejszej jego fizyognomii. Można powiedzieć, że to było osobne miasto, mogące pomieścić wygodnie kilka tysięcy mieszkańców. Dodać tu jeszcze winienem, że od czasów koronacy Jana III, zamek ten w ciągłym zostawał zaniedbaniu, bo rząd nic prawie na jego utrzymanie nie łożył; dopiero w roku 1786, kiedy król Stanisław August miał nawiedzić Kraków, zajęto się restauracją pałacu królewskiego, bramy wjazdowej, dziedzińca i t. d. Na ten cel ordynowano z korpusu inżynierów dwu kapitanów, Pieszczyńskiego i Pawłowskiego, oraz do pomocy dwie kompanie z furgonami i końmi. Rozprzeszczono też zajazd do zamku, aby pojazdy wygodnie wjeżdżać i zjeżdżać mogły. Książę Sebestyan Sierakowski, kustosz koronny, biegły w architekturze, z dodaniem dwu komisarzy królewskich, zajęli się głównie restauracją pałacu. Kapitan Pieszczyński zniósł wały, rozebrał mniejsze mury ciągnące się dokoła zamku, a będące już w ruinie; urządził drogę ku Stradomiowi dla nawracających pojazdów, wybiwszy dwie bramy w murze głównym, jedną przy wieży Senatorskiej, a drugą od Wisły dla przejazdu pociągów fabrycznych. Owóż tak w przeciągu czterech miesięcy, o ile można było urządzono całe drugie piętro dla króla jegomości, a pierwsze dla służby i dworu, na dole były składy i kuchnia królewska. Po odjeździe Najjaśniejszego Pana, wszystkie meble, lustra, obicia, kazano spisać inwentarycznie i oddano pod dozór murgrabi zamkowego, aby pamiątka bytności monarchy jak najdłużej mogła się tam przechowywać. Było to wszystko szanowane aż do przyjścia Prusaków, którzy z razu nietykali się niczego; lecz potem gdy widzieli, że muszą miasto opuścić, urzędnicy podzielili się jakby zdobyczą wojenną wszystkiemi, co było w pokojach królewskich, tak dalece, że wyjmowano szyby z okien, tafle z posadzek, marmury z kominków i oddrzwi i sprzedawano za lada co żydom, aż została przerażająca pustka, którą Austriacy zajmawszy Kraków, oddali na koszary wojskowe, zamurawawszy do połowy drzwi i okna.

Jeszcze tu jedna okoliczność każe mi się wrócić do zamku. W czasie czteroletniego sejmu nastąpiła była uchwała, aby nadgraniczne punkta kraju umocnić i do obrony przysposobić; tym końcem wyznaczono komisją budowniczą do Krakowa, aby mury zamkowe postawić w stanie obronnym. Kapitanowie Pieszczyński i Pawłowski należący do poprzedniej restauracji pałacu królewskiego, podali plan oszacowania zamku, który przyjęto i posłano komisarzy dla uskutecznienia go. Rodzina nieboszczyka księdza Sołtyka, ofiarowała znaczną ilość materiałów zdalnych do budowy, a komisya zajęła się naprawą zamku. Najprzód narożnik wielki nad kościołem św. Idziego był wystawiony, który dzisiaj rząd austriacki uzupełnił i przyozdobił; dalej drugi na-

rożnik nad dworkiem Szembekowskim od strony stariej Wisły, oraz wybudowany był znaczny kawał muru na skale, aż do przewozu; następnie naprawiano trzy wieże i miano tym sposobem cały zamek postawić w stanie obronnym, gdy protestacya dworu austriackiego wstrzymała dalsze roboty. Tym sposobem zamek pozostawiony został swemu losowi i coraz więcej zamieniał się w ruinę.

Co się mojej osoby tyczy, urodzony i wychowany w murach Wawelu, przywiązałem się do nich i jeżeli je od upadku ochronić nie mogłem, to przynajmniej śledziłem pilnie koleje, przez jakie przechodziły te gmachy; będąc zaś później murgrabią zamkowym, czułem się w obowiązku spisywać zdarzenia, których byłem świadkiem, a między innymi podać dokładny opis wnętrza całego zamku. Kończąc tę pracę w późnym już wieku podjętą, a ztąd zapewne w wielu szczegółach niedokładną, zakończęm ją wzmianką, która się może przydać do poszukiwań historycznych.

Pewnego razu, szukając czegoś w pustym domu Mąkalskiego, znalazłem dwa obrazy zasute kurzem i pajęczyną, a za jednym z nich odkryłem stary manuskrypt, opisujący bardzo szczegółowo wszystkie okoliczności ścięcia Samuela Zborowskiego. Pilnie przeczytawszy rękopism, dowiedziałem się z niego o miejscu, na którym wyrok został wypełniony, a chcąc czémkolwiek uczcić pamiętkę nieszczęśliwego, posadziłem w tém miejscu pięć kasztanów; jestto właśnie w narożniku fortyfikacyjnym pod Kurzą Stopą, naprzeciw kościołka ś. Idziego. Co się zaś tyczy owego manuskryptu, ofiarowałem go nieboszczykowi ordynatowi Mioszszewskiemu, prezesowi Towarzystwa dobroczynności, jako zostającemu w związkach familijnych z rodziną Zborowskich; lecz tenże udzielił go komuś ze znajomych, a tak poszedłszy po rękach zaginął lub może w jakich zbiorach spoczywa.

Otóż już wszystko, co zatrzymała pamięć starca, liczącego z górą lat ośmdziesiąt. Przebaczcie niejednej pomyłce i nieporządnemu opowiadaniu, bo wypadki i ludzie i daty, wszystko to się miesza jak senne marzenie w tym obrazie przeszłości, którą wywołuje na szczytach Wawelu starzec stojący nad grobem.

Syn Margrafa.

TRAGEDYA Z X WIEKU, W PIĘCIU AKTACH *).

PRZEZ

Bronisława Grabowskiego.

A K T IV.

Sala w zamku Gerona, taż sama, co i w akcie II. Za podniesieniem zasłony słychać za sceną trąbienie i marsz wojenny. Luthar stoi przy otwartém oknie i przez chwilę przypatruje się wojsku za sceną, potem postępuje na przód sceny.

Scena 1.

LUTHAR (*sam*).

Choć oskarżenie zawziętej niewiasty
Zazwyczaj bywa kłamstwem, jednak wszystko,
Cokolwiek widzę, zdaje się potwierdzać
To, że Hatwiga prawdę powiedziała:
Ta jego duma, tak źle ukrywana,
Te o cesarzu słowa, które trącą
Szyderstwem, czasem zda się, że mię kusi,
Bo ukazuje coś w przyszłości mglistej,
Jakby współnictwa w zdradzie plon. Ha! baczność!
Mój obowiązek strzedz go dzisiaj pilnie!
Ottonie, jeszcze nowy cios cię czeka:
Zdradzali bracia, zięć, syn pierworodny—
Dziś najwierniejszy sługa ciebie zdradzi.
(*z prawej strony wchodzi Gero*).

Scena 2.

LUTHAR—GERO.

GERO.

Widziałeś, jakem potężny: sam Otto
Zazdrościć może mi. Bezpieczny, śmiały,

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za marzec r. b.

Na karkach siedzę wrogów niezbląganych,
Gdy on drzeć musi przed własnymi dziećmi.

LUTHAR.

Bezpieczny?—prawda, bo stoisz pod cieniem
Najmocniejszego ze wszech królów ziemi,
Któremu cały świat przypadł w dziedzictwo.

GERO.

Cały świat?—więcej stokroć znajdzie krajów,
Co nawet jego imienia nie znają,
Niżli tych, co mu hołdują.

LUTHAR.

Bóg w niebie

Czyż nie namaścił go na pana świata?
Czyliż korona cesarska, co dawno
Jako puścina po Wielkim Karolu
Jemu należy się, nie ozdobiła
Tych poświęconych skroni?

GERO.

Szydźmy z tego

I on i ojciec jego byli tylko
Takimi jak i my oba. ¹⁾ Z nas każdy,
Gdyby miał tylko chęci i odwagę,
Zdołałby wynieść się równie wysoko.

LUTHAR.

Jeden jest tylko cesarz tu na ziemi,
Jak jeden Bóg na niebie!

GERO.

Czy to Pismo

Mówi tak? A ten drugi tam na Wschodzie?
A jeśli trzeci, czwarty się ukażą?
Mów to głupiemu ludowi.

LUTHAR.

Geroniel

GERO (*ukazując mu przez okno*).

Patrz, jakie wojsko! Idą w bój śmiertelny
Strojni, jak dziewy na wesołe płasy,

¹⁾ Otton W. pochodził z możnego rodu saskiego Ludolfingów; dziad jego Otto, jako książę saski, uchodził za najznaczniejszego z magnatów w Państwie. Godność tę piastował po nim Henryk Ptasznik, a potem Otto, zanim na królestwo niemieckie wybrani zostali.

A każdy całą duszą mi oddany.
Całemu światu mógłbym stawić czoło
Z zastępem takim.

LUTHAR.

Gdyby to zobaczył
Cesarz, jakżeby cieszył się z potęgi
Najwierniejszego swego sługi. Wiele
Przysporzyć możesz chwały i korzyści
Naszemu panu, Geronie! *(wychodzi w głąb)*.

Scena 3.

GERO *(sam)*.

Czy też rozumić moich słów nie może?
Nie—nie pozyskam go nadzieją łupu,
Ani widokiem mocy méj zastraszę.
Może go kupić darami? Napróżno!
On jako morze, dary me pochłonie
I jako morze fali, tak on swojej
Wierności nawet nie zaburzy. Głupiec!
On jak pies wierny, chociaż mu pan tylko
Strzępek łask rzucił. Tyś myślał, Ottonie,
Żem i ja z psiarni téj—może się cieszysz,
Że masz nędznego we mnie słuźebnika?
Jam tylko margraf, ale z Bożej łaski ¹⁾,
Jak ty, cesarzu—i syn mój potrafi
Być szlachetniejszym, większym niż ty królem.
(z głębi wchodzi spiesźnie Zygfryd)

Scena 4.

GERO—ZYGFRYD.

ZYGFRYD.

Ojcze! mój ojczel!

GERO.

Czego żądasz, synu?

ZYGFRYD.

Pocośmy przyszli tutaj, jakby piekła

¹⁾ Gero sam siebie nazywał margrafem z Bożej łaski.

Wysłańcy, do tych, co spokojnie żyli,
Nie wiedząc nawet o naszym istnieniu?

GERO.

Co tobie, synu mój?

ZYGFRYD.

Widziałem wczoraj
Te wsie płonące; dziś zda mi się ciągle,
Że wokół straszne buchają płomienie:
To okrucieństwo, ciężki grzech!

GERO.

Niebaczny,
Musiałem przecie dać im przykład grozy;
Ten lud się burzy i obcy się włóczą
Pomiędzy nimi, w sercach rozdmuchując
Zawziętość, co już przygasa.

ZYGFRYD.

Ci, którym
Spalono domy, uciekli do lasów;
Innych za nimi strach wygania. Wkrótce
Powrócą—nowe wybuchnie powstanie
I będzie nowy rozlew krwi i nowe
Gwałty. Po cośmy przyszli tu w te kraje?

GERO.

Po co? ty pytasz? Niesiemy poganom
Wiarę i prawa nasze.

ZYGFRYD.

I nasz ucisk
I grzechy nasze. Wiarę szerzym nożem,
Trucizną, stryczkiem i więzienną jamą.
Czemu nie idą tu apostołowie
Cisi jak Chrystus, gdy po ziemi chodził?

GERO.

Bezbronny śmierć zadać mogą.

ZYGFRYD.

Wszak, ojcze,
Krew męczenników to nasienie wiary;
My Męczenników poganom tworzymy:
A cóż, gdy krew ta będzie podlewała
Fałszywej wiary drzewo?

GERO.

Zkąd te myśli?

ZYGFRYD.

Zły siów dobrego plonu nie urodzi.
 Nie było naszym celem szerzyć chwałę
 Chrystusa. Władza, bogactwa, znaczenie
 To nasz cel prawy—i dla niego pogan
 Wciąż zabijamy, zamiast ich nawracać.
 Patrzaj, na jakie zesłiliśmy bezdroża:
 Kropla zasługi naszej utonęła
 Już dawno w morzu tego, co na sądzie,
 O potępienie nasze wołać będzie.
 Tyle wylanéj krwi, że ona nigdy
 W pamięci ludzkiej nie wyschnie. A w domu,
 W tym domu naszym, szatan się zagnieżdżył
 I codzień w nowe wpycha grzechy.

GERO.

Cicho,

Synu mój! Zgryzot sumienia nie wołaj!
 Co się już stało i cud nie odmieni.
 Co przyszłość niesie—darmo—stać się musi:
 Zgryzoty przyjdą same, miły synu!

ZYGFRYD.

Tys mię powinien odtrącić, odebrać
 To imię. Jam cię zdradzał, psuł twe dzieło;
 Jam winnym robił dobrze na twą szkodę.

GERO.

Bóg ci pozwolił zachować ten przymiot,
 Z którego odarł mię już obrót życia.
 Być miłosiernym umiesz, gdy ja ledwo
 Widzę kres, poza którym miecz srogości
 Opuścić będę mógł. Gdybyś mym synem
 Nie był, z pewnością zazdrościłbym tobie.
 Nie tajném było mi, kto puścił więźnia;
 Czyn ten mię zmusił, bym dał przykład grozy,
 Ale głównego nie ścigałem sprawcy,
 Chociaż był blisko—tuż przy moim boku!

ZYGFRYD.

A żona, żona moja! Boże wielki!
 Mąż zdradzał żonę—poślubione serce
 Dał obcój—odjąć go od niéj nie może
 A żonie tęskno było opuszczonej,
 Więc grzesznój sobie szukała pociechy.
 Dzisiaj iść muszą razem, nienawistni
 Sobie nawzajem, skuci aż do zgonu
 Nierozetwanym łańcuchem i czekać,

Aż zimny, straszny duch rozerwie łańcuch,
Ale zarazem i pierś im roztrzaska.

GERO.

Synu uspokój się! Niewiastę owę,
Chociażby czystsza była od najświętszej
Ze świętych, którym stawiamy kościoły,
Musiałbym ojcu odesłać. Bóg zamknął
Jój grzeszne łono—dla jednej niewiasty
Nie może ginać ród: będziesz mógł pojąć,
Kogo chcesz, choćby—tę piękną Słowiankę.

ZYGFRYD.

To niepodobna, ojcze! Dzień wczorajszy
I ta noc straszna rozwały w gruzy
Wszystko. Na gruzach czyliż kwiat wyrośnie?
Kto wie—a może nie zapóźno jeszcze;
Może chwilowy to zmrok, a nie zachód
I jeszcze wiele dnia nam pozostało:
Więc ty zezwalasz, ojcze?

GERO.

Chętnie, synu!

Podobno ród jój znaczny i powszechnie
U Słowian czczony. Krewni, przyjaciele,
Po twojej stronie staną i lud ufniej
Na władzcę patrzeć będzie, co go uczył,
Pojmując żonę z pośród nich. Lecz, synu,
Taki krok będzie już wyzwaniem, w oczy
Rzuconém całym Niemcom. Wprzód się trzeba
Tu zabezpieczyć, starłszy to, co w drodze
Przeszkadza.

ZYGFRYD.

Ojczel czas zaprzestać bojów
Przynajmniej tutaj. Czyż nie lepiej stokroć
Zyskać ich, niżli drażnić jeszcze więcej?
Łaskawość także broń silna.

GERO.

Szalejesz?

O łaskawości mówisz, gdy po lasach
Lud się gromadzi wzburzony.

ZYGFRYD.

Ach, ojczel!

Gdybyś chciał, mógłbyś wszystko to złagodzić.
Wiem, gdzie się główny oddział ich ukrywa.

GERO.

Gdzie? Powiedz—poślę tam wojsko, a wkrótce
Nie pozostanie z nich śladu.

ZYGFRYD.

Nie—nigdy!

Nigdy nie zdradzę ich, nawet przed tobą.
Słuchaj mię: oni sami dobrowolnie
Do domów wrócą, oręż wymierzony
Przeciw nam, złączą chętnie z naszą bronią;
Pozwól mi posłać mężów zaufanych,
By im zanieśli słodką obietnicę
Dni lepszych dla nas i dla nich.

GERO.

A książę

Polanów?

ZYGFRYD.

Tego do zgody nakłonisz
I do sąsiedzkiej życzliwości.

GERO.

Darmo!

Nikt nie uwierzy i ja nie uwierzę!
Przez tyle lat się zdradzaliśmy wzajem,
Ze dziś najświętszém słowem nie obudzisz
Ufności: ona cudem się nie rodzi.

ZYGFRYD.

Byłoby źle już tu na Bożym świecie,
Gdyby łagodne słowo nie zdołało
Do człowieczego trafić serca. Ojczel!
Gdy taką świętną przyszłość mi gotujesz,
Jako zadatek daj mi na dni kilka,
Choć na dzień, władzę działać po mój woli.
Oszczędzę jednej niepotrzebnej walki:
Choć poprobujemy, ojczel!

GERO.

Marna próba!

Lecz gdy jój pragniesz tak gorąco—próbuj!
Na dzień dzisiejszy daję ci swobodę
Czynić, co zechcesz. Tylko jestem pewny,
Ze twe starania bezskuteczne będą.

ZYGFRYD.

Bóg wniebie widzi czyste moje chęci
I nie odmówi im skutku.

GERO.

Idź, synu!

Lecz gdy nie sprawisz nic, pozostaw moim
Dłoniom to sprawić, czego twoje serce

Nie mogło działać. Wtedy mię nie wstrzymuj,
Choćby cię moja srogość oburzała. (*Zygfryd wychodzi*).

Scena 5.

GERO (*sam*)

Czysty i dobry—będzie kiedyś królem,
Jakiego dotąd ziemia nie widziała,
Bo miłosiernym i dzielnym; lecz wprzód
Gotową władzę trzeba mu dać w ręce,
Bo nawet musze nie złamałby skrzydła
Dla osiągnięcia jak najwyższych celów.
Gdy poza siebie spojrzę, jakże wiele
Okropnych czynów mych już zapisałem
W tej wiecznej księdze, gdzie ich nic nie zatrze,
A jednak może to połowa tylko,
A druga większa może nawet w łonie
Nieodgadnionej przyszłości się kryje.
Lecz darmo, nié mam zwyczaju się cofać;
Niemyślę stawać na połowie drogi.
Gdyby Bóg tylko nie żądał zbyt wczesnie
Z mych czynów sprawy: mówią, że szczęśliwca
Niespodziewanym naraz zstrąca gromem,
Gdy prawie staje u swych pragnień kresu.

(*z głębi wchodzi powolnym krokiem Mnich*).

Scena 6.

GERO—MNICH.

GERO.

Ojczel czy sądy Boga tak są skryte,
Iż żadne cele ludzkie i zamysły
Swojego końca pewne być nie mogą?

MNICH.

Tak: niezbadane są wyroki Jego.

GERO.

A nié masz środka, coby nas ostrzegał,
Jeśli idziemy tak wbrew Bożej woli,
Że nas koniecznie skruszyć musi?

MNICH.

Bóg nam
Dał głos wewnętrzny, co nigdy nie myli.

GERO.

Ten głos mi mówił, żem ja zgrzeszył ciężko,
 Gdyście chwalili mię głośno w kościołach
 I nazywali miecz mój mieczem Bożym,
 Kiedym go skąpał w rzekach krwi pogańskiej.
 Ten głos powiada mi, iż to, com czynił
 Aż dotąd, oraz co zamysłam czynić,
 Wszystko to... Słuchaj! gdy kto ma cel święty,
 Wielki cel... nie, nie święty, wielki tylko,
 I gdy dla niego grzeszy; czy Bóg wtedy
 Usprawiedliwi go?

MNICH.

Nie.

GERO.

Więc jam grzesznik,
 Straszliwy grzesznik! Ha! nie czas się cofać.
 Skrupuły żadne już mię nie wstrzymają:
 Aż dotąd pogan zabijałem tylko,
 Na coś większego wkrótce się odważę,
 I Bóg przebaczy, bo to nie dla siebie.

MNICH.

Margrafie, strzeż się! Bóg potępi ciebie
 I tego, komu plon gotujesz.

GERO.

Kłamiesz!

Niewinnych Bóg nie karze; on niewinny,
 On nie chce zysku z moich ciężkich grzechów;
 Ale on przyjmie go, jako dar nieba
 I będzie dłońmi czystymi używać
 Przez długie lata trudów mych owoc.
 Wtedy niech Bóg mię sędzi! Tylko, Ojcze,
 Czy można modły jakimi wybłagać,
 By Bóg choć na dwa lata, chociaż na rok
 Zamknął swe oko i dopuścił grzeszyć?
 A kiedy spełnię już wszystko, nie dotknę
 Owocu, pójdę na dziką pustynię,
 Pokutą przejdę świętych pustelników.
 U apostołów grobu, lub daleko
 Tam, gdzie umierał Chrystus, złożę grzechy.
 Wszak nie do takiej dochodzili miary
 W zbrodniach, a Bóg im przebaczał?

MNICH.

Lecz strzeż się,
Nuż Pan ci nie da doczekać pokuty
I twe zamysły wywróci?

GERO.

Idź, mnichu!
Idź! dziś się jeszcze spowiadać nie będę,
Zachowaj się na inną chwilę. (*mnich chce odchodzić*). Czekaj!
Uważaj to za nieskończoną spowiedź
I milcz, ty nie wiesz nic?

MNICH.

Nie wiem, Margrafie!

GERO.

Nikomu nie zdradź tego, coś usłyszysz;
Nikomu, mówię: słyszysz?

MNICH.

Obowiązek
Każe mi chować w tajemnicy wszystko,
Co mi powierzy grzesznik.

GERO.

Jeśli złamiesz
Twój obowiązek, Pan ukarze ciebie
I odda w moje ręce, bym się pomścił;
A pomnij, że już nie lękam się grzechu. (*mnich odchodzi*).

Scena 7.

GERO (*sam*).

Precz, precz z myślami temi, co wstrzymują;
Zkądkolwiek idą one, czyli z piekła,
Czy nawet z nieba! Oby się copędzėj
Już rozpoczęła ta prawdziwa walka,
Która do celu prosto zaprowadzi.
Gdy haniebnicę tę odeszłę ojcu,
Obrażę dumę starca, i on wtedy
Wyszczuje przeciw mnie wszystkie psy wściekłe,
Co teraz na mnie zęby tylko szczerzą.
I Luthar musi zginąć: kto nie będzie
Mym sprzymierzeńcem, ten wróg niebezpieczny.
Kłątwa tym żabom, co śmieją wynurzać
Z błota łby; oni opóźniają moje

Działanie, i ten książę, co się płacze
 Sobie na zgubę. Zetrę was niebawem.
 Te nowe boje długo trwać nie będą,
 Wrócimy wkrótce, syci krwi pogańskiej
 Z okrzykiem: Zygfyrd, król, cesarz słowiański! (*odchodzi*).

ZMIANA DEKORACYI.

Polana wśród gęstego lasu, w głębi na wzgórzu posągi bogów, przed nimi ołtarz kamienny z płonącym ogniem. Przed ołtarzem stoi kapłan. Tłum Słowian, mężczyzn, kobiet i dzieci zalega scenę; mężczyźni zbrojni we włócznie, oszczepy, miecze i t. d., trzymają czasze w rękę. Swantawa i Jarmila siedzą w głębi na kamieniach. Mojmir i Żelisław stoją na przodzie. Z boku na przodzie sceny wzgórek.

Scena 8.

MOJMIR—ŻELISŁAW—SWANTAWA—JARMILA—KAPŁAN—
 SŁOWIANIE—SŁOWIANKI—DZIECI.

KAPŁAN.

O! Bogi święte, spójrzcie na nas z nieba,
 Przyjmijcie pokłon i tę miodu czaszę,
 Którą wyléwam kornie u stóp waszych.
 (*wyléwa miód przed ołtarzem*).

WSZYSCY.

Cześć wam i sława!

1 SŁOWIANIN.

Chwała nieskończona!
 Królujcie nam! panujcie po wsze wieki!
 Wam zostaniemy wierni aż do zgonu.

MOJMIR.

Nie uciekliśmy z bojaźni, nie, wcale!
 Śmierć nam niestraszna, wszak otworzy ona
 Niebieskich dworów bramy; lecz nie chcemy
 Umierać wprzód, nim was nie pomścimy.

WSZYSCY.

Pomścimy was, pomścimy!

ŻELISŁAW.

Wielkie bogi!
 Zbudźcie się, świętym zapalcie się gniewem!
 Panie jasnego słońca, Radegaście,

Ty nieprzyjaciół poraż swemi strzały ¹⁾.
 Wy Swaróżyce ²⁾, rzućcie na nich gromy,
 Każcie swym sługom wiatrom, by ich zmiotły
 Z téj ziemi, którą plugawią.

WSZYSCY.

Niech giną

Wasze i nasze wrogil!

MOJMIR.

Napełnijmy

Czasze! Hej! żwawo! Pijmy, bracia moi,
 Na chwałę bogów, na rozweselenie
 Serc naszych!

WSZYSCY.

Pijmy!

JEDEN Z TEUMU.

Mojmirze, pamiętaj,

Iż to ostatek już miodu.

MOJMIR.

Nie skąpmy,

Jeśli nie chcemy, by nam poskąpili
 Bogowie swoich łask. Nim druga zorza
 Ze dworu ojca swego wyjdzie rano ³⁾,
 Będziemy w ziemi bratniej, u Polanów;
 Bogowie staną na bezpiecznym wzgórzu.
 My zasiądziemy do nakrytych stołów,
 Gdzie nam już miodu i jada nie zbraknie.
 A teraz w drogę! bierzcie broń!

WSZYSCY.

Hej! w drogę!

STARZEC.

Nim odejdziemy, zwróćmy się w tę stronę,
 Gdzie zostawiamy ziemię, matkę naszą.

(wszyscy klękają, zwracając się na lewo).

O! matko święta, ziemio ojców naszych!
 Żegnamy ciebie, my dzieci sieroty,
 Które los srogi od ciebie wygania.

¹⁾ Radegast, bóg słońca i wojny, szczególniej był czczony u Lutyków; sławną była jego świątynia w mieście Ratarów Retrze.

²⁾ Najwyższe bóstwo między innymi nosiło imię Swaróg; ztąd mniejszych bogów Swaróżycami nazywano. Świątynie ich i posągi znajdowały się u Słowian Polabskich, jak o tém świadczą kronikarze niemieccy.

³⁾ Zorza miała być córą boga słońca i mieszkać we dworze ojcowskim.

MOJMIR.

Wy, duchy przodków, módlcie się tam w raju,
Byśmy wrócili do niej niezadługo
Z wolnością, szczęściem; by zakwitła znowu
Tak jako kwitła, ojce, za dni waszych.

1 SŁOWIANIN.

Hej! w drogę!

WSZYSCY.

W drogę! (*słychać gwizdnięcie za sceną*).

2 SŁOWIANIN.

Stójcie, straż znać daje

Coś niezwykłego.

MOJMIR.

Baczność! na miecz dłonie!

Kto idzie?

(*z lewej wchodzi Herman i Giunter, powiewając białymi chustami*).

Scena 9.

Ciż, HERMAN—GIUNTER.

WSZYSCY.

Niemcy! Niemcy! zdrada! zdrada!

KAPŁAN.

Czego żądacie, wrogi, w tém ostatniém
Schronieniu naszém?

HERMAN.

Słowianiel niesiemy

Pokoju słowa! Słuchajcie nas!

1 SŁOWIANIN.

Precz ztąd!

Nie, nie słuchajmy ich!

WSZYSCY.

Precz!

MOJMIR.

Bracia moi!

Te białe chusty każą nam koniecznie,
By chociaż ucha słowom ich użyzyć.

GIUNTER.

Wstąp na pagórek, Hermanie, niech rzesze
Słyszą cię lepiej. (*Herman wchodzi na wzgórek*).

HERMAN.

Mężowie słowiańscy!

Idziemy tylko we dwu i nikt zbrojny

Nie postępuje poza nami, nawet

Miecze na brzegu lasu pozostały.
Słuchajcie! to z czém do was przychodzimy,
Jest tylko słodkiem słowem.

JEDNI ZE SŁOWIAN.

Co chcesz mówić?

INNI.

Mów, mów coprędź!'

MOJMIR.

Kto was tu przysyła?

GIUNTER.

Zygryd, Gerona syn, za wołą ojca.
Mów, mów, Hermanie!

HERMAN.

Mężowie słowiańscy!

Wiecie, że chmury słonecznego lica
Nazawsze zakryć nie mogą, że musi
Przyjść taka chwila, że się ono znowu
Ukaże w pełnym blasku.

2 SŁOWIANIN.

Bogi wtedy

Na wszystkie strony rozpędzają bięsy!
Co ludziom kradną światło, ciepło, szczęście ¹⁾.

HERMAN.

Słoneczna przyszła dziś chwila, już koniec
Prześladowania, kary! Margraf Gero
Ogłasza wszystkim przebaczenie.

1 SŁOWIANIN.

Za co?

2 SŁOWIANIN.

Jakaż jest nasza wina, że ją trzeba
Przebacać?

HERMAN.

Rzucicie te kryjówki leśne,
Możecie śmiało powracać do domów.

1 SŁOWIANIN.

Do domów? szydzisz? my nie mamy domów.
Wszak spaliliście je sami.

HERMAN.

Więc nowe

¹⁾ Zjawiska pochmurnego nieba, burzy, objaśniano w pogańskich czasach walką *biesów* złych bogów, wrogich ludziom, kradnących im dobra przyrodzone, z bogami dobrymi.

Pobudujcie domy i spokojnie
W nich zamieszkacie.

MOJMIR.

Także to zawzięty
Margraf, na małą tę gromadkę naszą?
Koniecznież chce nas skarać, że wolności
Zaprzagnęliśmy?

3 SŁOWIANIN.

Nie na to ukrytą
Wykopaliśmy broń, by ją wam teraz
Położyć u nóg; potem iść jak było
Pod nóż i stryczek kata.

WSZYSCY.

Nie wrócimy!

HERMAN.

Nikt wam téj broni dzisiaj nie odbierze,
Bądźcie spokojni o to; ani wiecie,
Co się gotuje w tajemniczych zwojach
Przyszłości. Skoro to się jawném stanie,
Złączymy oręż dla wspólnego dzieła
I wspólnéj chwały naszéj.

1 SŁOWIANIN.

Nic wspólnego

Niéma, nie było i nie będzie nigdy
Pomiędzy nami i wami.

HERMAN.

Słowianie!

Mówię wam, nadszedł czas, gdzie ustać winna
Nienawiść wasza ku nam, bo nas wszystkich
Zarówno świetna przyszłość oczekuje.

MOJMIR.

Ty sądzisz pewno, iż mówisz do dzieci,
Że miotasz w oczy ciemnych słów kurzawę;
Trzydzieści z górą lat już doświadczenia
Stępiło dawno ławowierność naszą.

ZELISŁAW.

Takiemi słowy wzywaliście naszych
Dziadów na ucztę, gdzie ich śmierć czekała;
Co w pojednawczéj dłoni ukrywacie,
Aż nadto dobrze wiemy.

2 SŁOWIANIN.

Po wszem świecie

Obiega sława, że gdy Sas do zgody
Wyciąga rękę jednę, z zapazuchy

Drugą dobywa nóż, by w łatwowiernéj
Utkwić go piersi ¹⁾).

HERMAN.

A więc zerwę szaty,
Co okrywają tajemnicę; w całej
Nagości stanie przed wami. (*szmer*) Słuchajcie!.

JEDNI ZE SŁOWIAN.

Dość już, dość.

INNI.

Mów!

MOJMIR.

Nie przerywajcie, bracia!

HERMAN.

Słuchajcie więc. Wiem, wiem, że się skarżycie
Na srogość dłoni Margrafa i przeczyć
Nie będę; ale czyście rozważyli,
Ile w tém było własnéj jego woli,
A ile cudzój? Nie on rządzi państwem,
Nie on jest panem swych chęci, lecz musi
Potężniejszego szukać.

1 SŁOWIANIN.

Przecież mówią,

Że cesarz pan łaskawy, i że tylko
Lud uciskają jego niecni słudzy?

HERMAN.

Twardą konieczność Margraf sprzykrzył sobie,
Więc postanowił otrząść się z przymusu
I wypowiedzieć posłuszeństwo: wtedy
Skruszy srogości miecz, by ująć berło
Sprawiedliwości i łaski.

GIUNTER.

Słyszycie?

MOJMIR.

Któż nam zaręczy, iż to będzie ulgą,
Gdy on nie będzie miał pana nad sobą?
Nie znamy tego pana, zawsze tylko
Jeden ciemiężca był nad nami—Margraf.
Wszystko to jedno nam, kogo on słucha,
Jeżeli jego my słuchać musimy.

HERMAN.

Czekajcie: stary Margraf już znużony

¹⁾ O podobnej opinii Sasów mówi Witukind, który przytacza nadto opowieść o walce ich z Turyngami, będącą téj opinii źródłem.

Żywota trudem, niezależnej władzy
Zapagnął, ale nie dla siebie wcale;
Skoro ją zyska, ozdobi koroną
Nie własną głowę, ale syna swego.

MOJMIR.

A sam gdzie pójdzie? czyliż nie zostanie
Przy synu jako radzca, co do złęgo
Podmawiać będzie?

1 SŁOWIANIN.

A gdzież się podzieją
Ci Merseburscy zbóje, co nie mogą
Żyć bez grabieży, których nie odcyzysz
Od znieważania nas na każdym kroku?

2 SŁOWIANIN.

Czy nam biskupi przestaną wydzierać
Ostatek mienia na ozdobne szaty,
Na konie, ucztę, zbytki, na kościoły
Dla swego Boga?

3 SŁOWIANIN.

Nie będąż plugawe
Żydy kupować nas na niewolników,
Ilekroć złota zapagniecie?

ŻELISŁAW.

Pośle

Niemiecki! Zygryd król, czy margraf tylko,
Cesarski sługa, czy pan niezawisły,
Okrutny, czy téż miłościwy, zawsze
Będzie nam obcym wdziercą i ciemieżcą!
Póki nad nami rządy będą wasze,
Nie przestaniemy mieć w pamięci dziadów,
Co nie słuchali nikogo, prócz bogów,
Chodzili wolni po swobodnej ziemi
I nie przestaniem wzdychać, by te czasy
Wróciły jeszcze.

HERMAN.

Ślepi! czyż nie wiécie,
Jakim jest Zygryd? Zamiast się opierać,
Stańcie po jego stronie, a łaskami
Obsypie hojnie!

2 SŁOWIANIN.

Mniejsza o te łaski!
Wam odda pełne ziarno, nas pozbędzie
Plewą. On Niemiec: Niemcy tylko będą
Blizkimi jego serca.

1 SŁOWIANIN.

Po dawnemu
 Znosić będziemy od was ucisk ciężki,
 Zniewagi srogie, a im pan łaskawszy,
 Tém łatwiej wszystko będzie wam przebaczał.

3 SŁOWIANIN.

A kiedy cesarz przyjdzie się upomnieć
 O swoje prawa, po drodze spustoszy
 Nasze wsie, pola nasze i my pierwsi
 Szaleństwo wasze drogo opłacimy!

HERMAN.

Gdy się złączymy ze sobą, będziemy
 Tak silni, że nam nie potrzeba wtedy
 Bać się cesarza!

ŻELISŁAW.

Cieszcie się nadzieją!
 Drzewo przyszłości takić wam urodzi
 Owoce słodkie, nam zaś marne płonki,
 Jeśli zgodzimy się: zwycięztwa wasze
 Własną podléwać krwią, w nagrodę całą
 Dacie nam próżną łupinę obietnic,
 Ale ich ziścić nigdy nie zechcecie.
 Cesarz czy Gero? Zygryd czy kto inny?
 Wszystko to jedno dla nas, bądźcie pewni!
 Choćbyście nawet ściągnęli na króla,
 Którego z owych skrzydlatych młodzianów,
 Co w waszém niebie podobno mieszkają;
 Nie zapomnimy jeszcze, że to obcy
 I kolan przed nim nie ugniemy!

WSZYSCY.

Nigdy!

HERMAN.

Mężę słowiańscy! gdybyście wiedzieli,
 Co dla was Zygryd w duszy swój gotuje,
 Inne byłyby teraz wasze myśli.
 Jako zadatek z przyszłej łask skarbniicy
 Przyrzeka, własną odtrąciwszy żonę,
 Dziewicę pojąć z najszlachetniejszego
 Waszego rodu!

JARMILA (*wstaje i występuje na przód sceny*).

Nigdy ta Słowianka

Ręki nie poda mu! niech będzie pewny!
 W ramiona czarnej śmierci padnie prędzej,
 Niżeli w jego objęcia!

WSZYSCY.

Jarmiko!

Co znaczą słowa te?

JARMILA.

Mężę słowiańscy,

Młodzieńcy, starcy, niewiasty przezacne,
Bracia i siostry! słuchajcie o moim
Błędzie, o winie mój. W tym ciemnym lesie
Urodny młodzian miłość mą pozyskał,
Choć jego imię było mi nieznane.
Ach! bracia! sercem się przენiewierzyłam
Ludowi memu, ojcom moim! Drżycie
I przeklinajcie mię! bytło... o bracia!
Bytło Gerona syn!

WSZYSCY.

O bogi! Zygfyrd!

SWANTAWA.

Już opuściły nas bogi; niedosyć,
Że piersi mężów nie są bezpiecznemi
Przed ostrzem mieczów ich, i niewiast serca
Z kolei padać muszą!

MOJMIR.

Biędne dziewczę,

Niewinna jesteś! Kto go nie zna, snadno
Za słowiańskiego weźmie go młodziana!

HERMAN.

Gdy miłowałaś go, do jego domu
Wejdz! tam cię czeka żywot jak sen rajski,
Królować będziesz w świetnym blasku, w chwale.
Z najlepszym ze wszech Niemców, z twego rodu
Słowiańskich prawych królów wyjdzie plemię.

JARMILA.

Nie kupi córy Słowian obietnicą,
Choć najświetniejszej przyszłości; nie będzie
Chadzała ona po komnatach złotych,
Gdzie krew niewinnych płynęła, krew mężów
Najlepszych w ziemi Słowian, i jój łono
Nie będzie rodzić plemienia ciemniców!

HERMAN.

On cię miłuje i miłował zawsze:
Ty nigdy!

JARMILA.

Nigdy? nigdy? zkad wiesz o tém?

HERMAN.

Twojemi słowy zbyt wyraźnie dajesz
Znać, z jak twardego wyłynęły serca.

JARMILA.

Wiész ty, co sercu wycierpieć potrzeba,
Nim się kamieniem stanie i na takie
Zdobędzie słowa? Idź! ty nie rozumiesz
Serca niewiasty! (*odchodzi w głąb*).

HERMAN.

Jeszcze raz was wzywam,
Jeszcze raz wołam: wierzcie mi, że Zygfryd
Zagładzić pragnie wszystkie dawne krzywdy;
On nienawidzi ciemnoty: w ohydzie
Niesprawiedliwość ma wszelką!

MOJMIR.

Być może!
Więc jeśli zbrzydły mu niemieckie zbrodnie,
Niechaj się zamknie w tych ponurych murach,
Gdzie się chronicie, ilekroć zawiele
Swych własnych macie grzechów gdy was dręczy
Myśl, że ich nawet Bóg wasz nie przebaczy!

HERMAN.

O! zastanówcie się, zapamiętali!
Czyż nie szaleństwem odrzucać zuchwale
Swych panów łaskę?

ŻELISŁAW.

Kto broń wziął do ręki,
Ten pana niéma nad sobą! Sam sobie
Panem.

HERMAN.

Wyrzeczcie więc ostatnie słowo!
Niech wiem, co donieść mam Margrafa uszom:
Czy rozradować, czyli téż zasmucić
Zygfryda serce litościwe.

MOJMIR.

Niemcze!
Małoż ci jeszcze tego, coś usłyszał?
Idź już! (*Herman schodzi z pagórka*).
Nie, czekaj! (*wstępuje na pagórek*).

Towarzysze, bracia!

Nie będę tał, że Polanie może
Przed nami zamkną swe gościnne domy;
Mieczysław może nieprędko się ruszy,
By wyswobodzić kraj nasz! Może nawet

Czyste są chęci Margrafa i młody
 Zygryd łaskawym dla nas będzie królem.
 Komu odwagi niestaje próbować
 Niepewnej doli, ten niech wraca śmiało:
 Niemiecki poseł ręczy swoim słowem
 Za bezpieczeństwo.

2 SŁOWIANIN.

A ty co uczynisz?

MOJMIR.

Ja? Ja i moi nie złożymy broni:
 Pójdziemy choćby na wieczną tułaczkę.

ŻELISŁAW.

Nie myślím ugiąć kolan przed zabójcą
 Naszego dziada, przed ciemiężycielem
 Rodaków, ani przed nikim, co z rodu
 Naszego wroga pochodzi!

1 SŁOWIANIN.

Pójdziemy

I my za wami: nikt was nie odstąpi.
 My nie wierzymy Niemcom!

WSZYSCY.

Nie wierzymy!

MOJMIR.

Słyszałeś, pośle niemiecki, więc odejdz!
 Lat tylu zdrada plon już swój wydaje.
 Ufność i wiara nigdy tam nie wzrosną,
 Gdzie wasze ziarno padło.

HERMAN.

O, szaleni!

O, bezrozumni! Pan potężny, postrach
 Wasz od tak dawna, dziś w szczęśliwej chwili
 Dłoń pojednawczą wyciąga. Oh! drugiego
 Takowej chwili już nie dożyjecie
 Ni wy, ni wnuki nawet! Ha! niebaczni,
 Idźcież, gdzie chcecie; ale pamiętajcie,
 Jak jest potężnym Gero! Opowiedzcie
 O jego mocy zuchwałemu księciu,
 Niech wie, na kogo się porywa. Idźcież!
 A jeśli miotać się będziecie jeszcze,
 To nabijemy was tylu, iż drugie
 Piekło, Bóg będzie musiał dla was stwarzać.

JEDNI ZE SŁOWIAN.

Milcz, nie urągaj!

INNI.

Precz, nie gróż zuchwalczel!

MOJMIR.

Nie straszna nam już ni dłoń twego pana,
 Ni piekło samo. Nie ciemnęzyliśmy
 Nikogo; domów naszych nie splamiła
 Obca krew nigdy, a tylko zabójców
 I zdrajców piekło czeka! (*plomień bucha na ołtarzu*).

KAPŁAN.

Patrzcie, bracia!

Snadź potwierdzają bogi słowa nasze.
 One przymierza nie chcą z obcym wdziercą.
 (*słychać grzmot daleki*).

Słyszycie: wozy bogów po niebiosach
 Toczą się; oni idą razem z nami:
 Chwała im!

WSZYSCY (*Padając na kolana*).

Chwała!

MOJMIR.

Wstańmy, bracia moi!

(*Słowianie wstają; do Hermana i Giuntera*).

Wy, idźcie sobie; słyszeliście wszystko!
 Wiście więc dobrze, iż nie powrócimy,
 Aż nie nadejdzie zemsty dzień, a wtedy
 Bogi to sprawią, iż się ani jedna
 Niemiecka noga u nas nie ostoi.
 Idźcież więc sobie! (*Herman i Giunter wychodzą*).

(*do Słowian*) W drogę, bracia moi!
 (*wychodzą*).

(*Dokończenie nastąpi*).

WARSZAWA,
JÉJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI
W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU *).
(od 1800—1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

VI.

Bruno hr. Kiciński.—*Historja literatury polskiej* F. Bentkowskiego.—Jéj wpływ na naszą społeczność.—Rozniecony zapal do druków *gockich*.—Ocalenie wielu zabytków.—Biblioteki prywatne Chyliczkowskiego i Konstantego Swidzińskiego.—Tytus hr. Działyński.—Biblioteka w Kórniku: wzbogacenie bibliografii polskiej.—Opis starożytnéj Polski, Tomasza Święckiego.—Wpływ tego dzieła.—Hipolit Gawarecki.—Zoryan Dołęga Chodakowski (Czarnecki).—Jego rozprawa: „O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej,” i przeważne jéj oddziaływanie na młodzież.—Kazimierz Brodziński.—Konstanty Tyminiecki.—Jego prace.—Ossyan-Terencyusz.—Rok 1818, przedstawienie Barbary Radziwiłłówny, tragedyi wierszem Aloizego Felińskiego.—*Sybilla* poemat J. Pawła Woronicza.—*Wanda Tygodnik Polski*.—Biblioteka polska.—Wydawnictwa F. S. Dmochowskiego.—Powiększenie koła czytelników.—Poezye A. Mickiewicza w drugiej edycyi.—Rozprawa: „O recenzentach i krytykach warszawskich.”—Odpowiedź F. S. Dmochowskiego.—Walka Romantyków z Klasykami.—Po burzy cisza i zgoda.

Równocześnie z rozwojem prasy peryodycznej, przez Brunona Kicińskiego, powiększa się i ruch wydawnictw książkowy, ożywia han-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za marzec r. b.

del księgarski. Cztery lata gorliwej działalności tego pisarza, wywołały tę zmianę zbawienną. Liczymy tu czas od r. 1818 do 1821.

W ostatnim roku istnienia jeszcze Księstwa Warszawskiego, wyszła nakładem Zawadzkiego i komp.: *Historja literatury polskiej*, wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych przez Feliksa Bentkowskiego, profesora historyi i bibliotekarza w Liceum Warszawskim, członka Towarzystwa król. Przyjaciół Nauk w Warszawie. (Dwa tomy). Nie znam dzieła, któreby równie wielki i stanowczy a zbawienny wpływ wywarło, nad *Historją literatury Bentkowskiego*. Oddało ono nieocenione usługi dla literatury ojczyźstėj, obudzając z letargu umysły, i zachęcając do poszukiwań zabytków literackich z upłynionėj przeszłości. Z pojawieniem się dzieła Bentkowskiego, występują nowe w naszej społeczności postacie *bibliomanów*, którzy odrazu za cel życia swego wzięli, zbieranie starych książek polskich i łacińskich do literatury naszej należących.

Liczne grono amatorów, w tym kierunku, zaczęło częściej stawać przed kramami przy kościołach, na których rozkładane były książki, i zaglądać do składów antykwaryuszów żydowskich.

Na kramach, pomiędzy nabożnemi bywały i inne dzieła, które z podróży po kraju w czasie jarmarków i odpustów odbywanėj, kramarze za bezcen nabywali i przywozili do Warszawy.

Zapał do *gockich druków* naraz się objawił, który do znakomitych doszedł rozmiarów. Antykwaryusze dotąd niezwracający uwagi na stare księgi, poczęli pilnie śledzić *gockie druki*.

W Warszawie, ze wszystkich antykwaryuszów trudniących się handlem książek, najwziętszym i najślawniejszym po rok 1830, był żyd Gecel Salzstein mieszkający przy ulicy Mariensztat, w domu środkowym, który dzieli dwie ulice idące ku Wiśle, na pierwszém piętrze.

Szczególniejszy był to człowiek, bo nieumiejący czytać, handlował książkami, i znał się gruntownie na ich wartości.

W owe czasy *gockie druki*, lubo miały już ustaloną sławę, nie były przecież rzadkością taką jak dzisiaj. Gecel znał na pamięć imiona sławniejszych pisarzy polskich z dawniejszych wieków, inne *gockie druki* wrodzonym odgadywał instynktem.

Cała młodzież warszawska, ze szkół i uniwersytetu znała go dobrze; tam na wielką skalę odbywały się kupno i sprzedaż, handel książkami szkolnemi; tam każdy z literatów zachodził, w pewności że żądane dzieło wyajdzie.

Ileżto *białych kruków*, jak zwano osobliwości bibliograficzne, nie przemknęło się przez ręce Gecla? Pierwotne wydania kronik polskich: Bielskiego, Strykowskiego, Gwagnina, Kromera i łacińskich w licznych egzemplarzach. Pisma Reja, Paprockiego, pierwsze wydania Jana Kochanowskiego i Piotra, *Jerozolimy wyzwolonėj* Tassa przekład, pisma Ł. Góreckiego, *Kazania Skargi*, Birkowskiego i w. i. a co broszur rzadkich i rękopismów nawet. Byłto bowiem czas, w którym za

pobudką Bentkowskiego, płynęły do niego te zabytki ze wszystkich stron kraju i zawsze były nieprzebrane.

Pamiętam dobrze postać tego antykwaryusza. Dobrego wzrostu i tuszy, lubo nie był otyły, miał szlachetne i dorodne oblicze; brunet, oczy czarne, pełne życia i ognia: broda czarnej kruczej barwy. Kiedyś go po kilkunastu latach niewidzenia zobaczył, ażem się cofnął z podziwienia, nieujrawszy na nim najmniejszego śladu zmiany. Nie przybyła mu żadna zmarszczka na obliczu, ani jeden włos siwy, a było to już wtedy po utracie majątku, który zebrał na *gockich* drukach. Gecl, zgromadziwszy z tego handlu niemałą sumę, stracił ją później w r. 1831, założywszy fabrykę luster: w tedy przeniósłszy się z Mariensztatu na Franciszkańską ulicę, wrócił się znowu do handlu książek; ale już złote dawne czasy dla niego minęły. Umarł w r. 1841, poświęcam mu w tych wspomnieniach ustęp większy, bo w jego rękę był największy handel księgarski: nikt z nas nie zaglądał do księgarni, każdy od nich stronił, wszyscy biegli do Gecla czy w chęci kupna, zbycia lub zamiany. Za jego pośrednictwem powstało wiele prywatnych bibliotek, a młodzież zapoznawała się z zabytkami literatury starożytnej polskiej.

Mało kto wówczas do księgarni zaglądał: Gecl i stragany pod kościołami, to były nasze księgarnie. Przy kościele księży Pijarów na Długiej ulicy, miał Nowolecki stragan z książkami: on sam niewiele miał o nich wyobrażenia, ale żona jego lepiej się znała na handlu księgarskim. Tu, wszyscy pijarzyści skupowali książki, ztąd układali pierwsze swoje biblioteczki. Z tego straganu poznałem Krasickiego, *Bania-lukę* i *Rinaldiniego* powieść, która tak zapalała młodą wyobraźnię. Przy pełnych czułości powiastkach *Floryana* i t. p. francuzkich, *Rinaldini* porывał duszę. Tu poznaliśmy *Cierpienia młodego Wertera* Goetego, *Nierozsądne śluby* Bernatowicza, *Julię* i *Adolfa* Kropińskiego, a w ostatku pierwsze wydanie w dwu maleńkich tomikach wydane w Wilnie *Poezyi A. Mickiewicza*.

Bibliograf Kozłowski od czasu do czasu ogłaszał licytacje na stare druki *gockie*, ale ceny wysokie nie bardzo do niego wabiły.

Zapał w zbieraniu pomników starożytnej literatury nie ustawał na chwilę, zwiększało się też grono poważnych bibliomanów. Ceny *gockich* druków coraz więcej wzrastać zaczęły. Kilku wszakże amatorom, udało się gdy się wcześniej krzątać zaczęli, zebrać śliczne księgozbiory, z samych najrzadszych zabytków starożytnej literatury i to za bezcen. Znaleźli się wtedy i zręczni faksymiliści, którzy do niepoznania braki i usterki w *gockich* drukach, umieli aż do złudzenia najbieglejszego znawcę i badacza wypełniać. Wybornie przyrządzali papier, dobierali tuszu odpowiedniego staremu drukowi; dopisując wprawna ręką tytuły, całe stronnice i dopełniali naddarte karty.

U zapalonych zbieraczy tego rodzaju pamiątek *Literatura Bentkowskiego* leżała zawsze roztwarta na stole. Cóżto była dla każdego

z nich radość, jeżeli który złowił co takiego ze starych gockich druków, o чём Bentkowski nie wspomniał, albo wspominając, powiedział że sam tego nie widział.

Zapał ten do zbierania starych książek w szął nieraz przechodził; ludzie ci uniesieni szlachetną żądzą, jakkolwiek sami nieuzyci do udzielenia zdobytych skarbów, uchronili mnóstwo dzieł ważnych od zatury, na którą były wystawione, przez zaniedbanie i nieznajomość rzeczy.

Znalazły się i takie druki, na które daremnie sam Załuski polował: znalazło się wiele i takich, które pierwszy raz dopiero poznano.

Antykwarjusze rozbiegali się po całym kraju. Ze strychów, poddasza i lamusów dworców szlachty, równie jak mieszczkańskich; w resztkach starych bibliotek, w archiwach familijnych, znajdowano osobliwości bibliograficzne.

Tak uratowano wiele druków Macieja Wirzbięty, jednego z najszlawniejszych drukarzy polskich w Krakowie, którego wydania odznaczały się przeslicznym drukiem gockim i najdoskonalszą korektą. Znalazły się prawie wszystkie pisma Reya, Paprockiego, Marcina Bielskiego broszury, druki Rakowskie, które fanatyzm drugiej połowy XVII wieku, na stosach wypalił.

Zamiłowanie to do pamiątek dawniej literatury, oddziało na kraj cały: po dworcach i dworcach mniej nawet zamożnej szlachty, zaczęto je więcej szanować.

Powstało w tym okresie kilka zbiorów bardzo szacownych: z pomiędzy wielu dość wspomnieć referendarza Chyliczkowskiego i Konstantego Swidzińskiego. Potrafili oni zebrać niesłychane rzadkości, prawdziwe skarby literatury starożytniej.

Dzieło Bentkowskiego równie wielki wpływ wywarło na Tytusa hr. Działyńskiego. Miłośnik koni, mało ceniał książki: po odczytaniu *Historji literatury*, obudził się w nim szczególny zapał do zbierania zabytków literatury krajowej. Odtąd (jak mi sam mówił) chwili jednej nie stracił w zgromadzeniu coraz nowych nabytków. Pracą też usilną, zabiegami i hojnym groszem, zebrał jeden z najzamożniejszych księgozbiorów, jakie mamy na całym obszarze dawniej Rzeczypospolitej, który pomieścił w oddzielnym, umyślnie potemu zbudowanym gmachu, w dobrach swoich Kórniku.

Młodsze pokolenie nieobojetne było na to zamiłowanie starszozny. Każdy z oddanych pracy literackiej, zdobywał także mniejszemi środkami sbarby dawniejszego piśmiennictwa; ale w tém się różnili, od zapalonych zbieraczy, że każdą zdobycz swoją czytali, studyowali pilnie, tak pod względem języka, jak treści i wartości utworu.

Wzbogacała się coraz nasza bibliografia, a nawet rzecz można przeradzała się zwolna. Młodszy pisarze, w cichości pracujący, których

imion nikt wówczas nie znał, dali dopiero bibliografii obszerniejsze rozmiary ¹⁾).

Po dokładnem przepisaniu tytułu, z uwagą na format, miejsce druku, ilość kart, sygnatur i arkuszy, opisem dokładnym drzeworytów, gdzie były, dawali zarazem treść samej książki, z piękniejszymi wyjątkami i wykazaniem szczególnych wyrażen, dobitnych a malowniczych, języka ojczystego.

Zwrot ten ku starożytnój literaturze, był szczęśliwą wróżbą na przyszłość, bo pokazywał troskliwość o język narodowy. Zwrócono uwagę, że jakkolwiek już był znacznie oczyszczony z cudzoziemskich wyrazów, jakkolwiek potoczny i niemało harmonijny, niemał owęj potęgi, jakowe znajdowaliśmy w dziełach starych naszych pisarzy ²⁾).

Jeden z potężniejszych myślicieli, krytyk i historyk późniejszy, Maurycy Mochnacki, zaczął szczególnie pracować nad udoskonaleniem stylu i języka własnego. Nie dosyć, że pilnie rozczytywał Reja, Jana Kochanowskiego, Łukasza Górnickiego, Cypryana Bazylika, Marcina Bielskiego i Skargę, ale wszystkie silne zwroty mowy, dosadniejsze wyrażenia i poetyczne, wypisywał i uczył się napamięć.

Nieraz go nad tą pracą zastawałem w głębokiem zadumaniu.

— Kiedy czytam te piękne utwory Zygmunrowskich czasów (mówi do mnie), dziwię się i korzę przed potęgą języka. Ci ludzie, mowę potoczną, dopiero brali pod pióro, nieraz tworzyli nowe wyrazy, bo za brakło im często słowa, do oddania myśli: a jakążto prostota, jasność, dobitność, jaki wdzięk, moc i siła! To uczyć się nam, uczyć, i uczyć tylko jak żakom obcego języka, należy. Ot! napisałem rozprawę, niby to dobrym językiem, stylem, jak mówią Sniadeckich, ale przeczytaj: są myśli nowe, niebraknie zapału i wątku; ale czyż nasz język dzisiejszy odpowiada zupełnie temu zadaniu? Popodkreślałem wydatniejsze moje wyrażenia, a u góry masz w ich miejsce wybrane z Reja, Bazylika, Górnickiego i Skargi. Ileż one nie dodały pracy mojej barwy, uroku i świeżości. Taką drogą teraz idę, aby się nauczyć dobrze pisać po polsku.

— Nie widzę (odrzekłem) nic tu z Kochanowskiego, i pojmuje. Nasi młodszy poeci powinni go studyować ciągle i usilnie: ma on piękności oddzielne, których żaden współczesny niema prozaik. Mistrz też to co do poczci, ale w prozie słabszy od wielu!

¹⁾ *Biblioteka Warszawska* w pierwszych latach swego istnienia, takięj bibliografii dała nam wzorów niemało (od r. 1841 do 1845).

²⁾ Stanisław Jachowicz *opiekun sierot* i słynny bajkopis dla dziatwy, znał zbliska wszystkich naszych bibliomanów, i w pierwszych początkach po przybyciu z Galicji do Warszawy, sam należał do zapalonych zbieraczy *gockich* druków. Za jego pośrednictwem poznałem przekłady Cypryana Bazylika, jednego z najpierwszych prozaików okresu ostatnich Jagiellonów.

Tak nie jeden z równoczesnych Mochnackiemu pracował, badał stary język, lubował się jego pięknością i siłą: starał się na starych pisarzach, styl swój udoskonalać i wyrabiać.

Dziś owoce tego zapału ku *gockim drukom* i badań nad starymi pomnikami piśmiennictwa ojczystego już literatura nasza coraz obficie zbiera.

We dwa lata po wydaniu *Historji literatury polskiej* Bentkowskiego, chlubiąc się tak ogromnym wpływem na naszą społeczność, ogłosił drukiem mecenas sądu najwyższej instancji, Tomasz Święcki: *Opis starożytnéj Polski* 1816 r., w dwu tomach.

Pracował nad nim przez lat wiele i wykończywszy, księgarzom Zawadzkiemu i Wękiemu oddał darmo, z warunkiem otrzymania stu egzemplarzy bezpłatnych.

Praca ta dorazu zwróciła oczy wszystkich myślących na siebie. Bentkowski pokazywał narodowi jego dawne, zapomniane skarby umysłowości; Święcki w jednym obrazie przedstawił wielkość, obszary i potęgę polityczną dawnéj Rzeczypospolitéj.

Szczególne zdarzenie podało mu myśl do napisania tego dzieła.

Na początku 1810 r., przypadkiem u Włocha sprzedającego ryciny, znalazł na jednym arkuszu *pawilony* okrętowe wszystkich narodów, a między temi z wielką radością spostrzegł banderę królów polskich i Rzeczypospolitéj. Pochwyciwszy ten ślad, z całym zapałem rozpoczął poszukiwania w dziejach i zaraz w sierpniu tegoż roku odbył umysłną wycieczkę do Gdańska.

Gdańsk zajmowało wówczas wojsko polskie. Widok morza Bałtyckiego, pomniki Oliwy, zabytki w samym Gdańsku, zachwycały naszego badacza i wielkie przyniosły do zamierzonej pracy owoce. Z nabytkiem wielu dzieł i mapy Zanoniego, wrócił do Warszawy i w następnym roku wydał broszurę: *O ziemi Pomorskiej, panowaniu i żegludze Polaków na morzu Bałtykiem* (Warszawa, w drukarni Wiktora Dąbrowskiego, 1811 r.), załączając rysunki bandery królewskiej i narodowej. Rozprawę tę następnie całkowicie wcielił do opisu *Starożytnéj Polski*.

Święcki należał do starych jeszcze *polonusów*, z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta. Liczył rok 22 życia, kiedy ostatni przyszedł rozbiór kraju. W r. 1794 miał udział w polu.

Opis *Starożytnéj Polski* w 800 egzemplarzach odbity, w ciągu kilku lat wyczerpanym został z handlu księgarskiego. Po sześciu latach egzemplarz doszedł do poczwórnej od pierwiastkowej ceny katalogowej, bo Święcki nie kwapił się z wydaniem drugiem, pracując ciągle nad uzupełnieniem i poprawą usterków. W r. 1828 ogłosił drugą edycyą, która jeszcze prędzej rozkupioną została.

Kiedy myśl i uwagę Święcki zwrócił na zachowanie w pamięci wielkiej przeszłości polskiej, od téj pory zaczęto się zajmować zbadaniem ziemi własnej i przywiązanych do nich wspomnień i tradycji.

Potrzeba było, jak się pokazało, poruszyć tylko z uspienia zadumanych i wskazać im cel tak ważny, a zaraz w każdym kierunku znalazło się grono licznych pracowników.

Pierwszy, który poszedł w ślady Święckiego, był Hipolit Gawa-recki studiując Stare Mazowsze. Zaraz też we wszystkich pismach czasowych, zaczęły się ukazywać opisy różnych stron i okolic dawniej Polski.

Święckiemu należy się piękna zasługa, że w tym kierunku obudził poczucie narodowe i zachęcił dobrze własnym przykładem.

We dwa lata po wydaniu *Opisu starożytniej Polski, w Cwiczeniach Naukowych* 1818 r., ogłosił rozprawę swoją Czarnocki pod przybranym pseudonimem „Zoryana Dołęgi Chodakowskiego,” p. n.: *O Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem*. Szczupła ta co do rozmiarów swoich rozprawka, ze szczególnym zapałem przez młodzież czytana i rozchwytywana była. Pełna nowych myśli, nowego poglądu, pokazując w zapadłej mgle wieków przedchrześcijańskie czasy, tak malowniczo i poetycznie, oddziałała silnie na młode umysły.

Pierwszy raz dowiedzieliśmy się o Słowiańszczyźnie tak poważnej, że jej wierne odbicie znaleźć jeszcze można pomiędzy ludem, że wiele jego obrzędów i obchodów, pieśni i obyczajów, sięga niewątpliwie przedchrześcijańskiej doby.

Zoryan inaczej od innych czytał Reja i stare herbarze: umiał je objaśniać, wykazywał w dawnych dziełach wyraźne zabytki bałwochwalstwa, przytaczał ustępy ze słowiańskim tekstem ruskich pisarzy; przeglądał dyplomata, wskazywał źródło i miejsca, gdzie poszukiwania skierować potrzeba, ażeby odgrzebywać ślady zatracone przedchrześcijańskich czasów. Wszystko zaś odnosił do ludowych pieśni, podań i obrzędów, stosując swój wykład z wielką trafnością.

Wyrzut, zrobiony przez Zoryana Janowi Kochanowskiemu, był bodźcem dla wielu, że rzucili się do zbierania ludowych pieśni.

„Czego niepomatu żałować trzeba (powiedział Zoryan), że w Czechach za Karola IV, a w Polsce za wieku Zygmunatów, przychylnym dla nauk i mowy ojczystej, w wieku nie tak pogorszonej zagrody wieśniaka, nie pomyślano o zbiorze całkowitym pieśni gminnych. Do podziwienia, że Jan Kochanowski wiele pięknej prostoty przenosząc do swoich rymów, nie wpadł na myśl podobną: ona tuż za nim stała. Onaby u Zygmunta Augusta otrzymała hojne wsparcie i stałaby się godnym tamtego wieku upominkiem, oszczędziłoby się nam przez to czasu i pracy tém trudniejszej.”

Zapomniał dodać, że przez ciąg czterech stuleci i pogorszonej doli zagrody wieśniaczęj, mnóstwo drogich zabytków w pieśniach, obrzędach i podaniach ludowych zaginęło do szczytu.

Zapał, który w młode serca Zoryan przelał, wkrótce wydał najpiękniejsze owoce. Kilku z młodzieży ruszyło w różne strony kraju, dla zbadania tych pamiątek. Inni uproszeni, aby w swęj okolicy ba-

dania w tych rzeczach rozwinęli: wielu zarzuciwszy tłumoczki na plecy, z kosztorem w rękę, przebiegali kraj w różnych kierunkach. Marzyli o odkryciu historycznych pieśni, rycerskich rapsodów, a chociaż omylemni zostali w swoich nadziejach, bogate przecież zebrały się plony.

Odkryto wiele pieśni obrzędowych, które niewątpliwie sięgały czasów bałwochwalczych, poznano dokładnie obrzędy weselne, które przyjąwszy barwę chrześcijańską w szczegółach swoich, przeszły nieknięte z pogańskich wieków. Spisano wiele podań i powieści ludowych, a zarazem przysłów i przypowieści *w żywém słowie* przechowyanych. Słowem, poznano jeżeli niezupełnie, to w głównych chociaż zakresach *literaturę niepiśmienną ludu*. Wkrótce też przyznano jójoczesne miejsce w *Historji literatury polskiej*, jako stanowiącej pierwszy okres dziejów piśmiennictwa krajowego.

Badania te przyniosły jeszcze ważniejsze następstwa, bo wywołały poraż pierwszy myśl *obywatelstwa ludowego*, która w herbowych powijkach skępowana, zdawała się martwą mumią. Ale ta myśl miała nieśmiertelne życie i razem z pieśnią ludową, jak jaskółka umorzona w wodzie przez zimę, z ciepłą wiosną, z wiosną swobody ducha odżyła i do lotu się zerwała.

Tak w ciągu sześciu lat idących: Bentkowski, Święcki i Zoryan, w trzech oddzielnych kierunkach, a harmonijnych z sobą, rozbudzili zapal w młódem pokoleniu do skarbów starożytnój literatury, poznania przeszłości własnej ziemi, zbadania skarbów umysłowości z pod wiejskiej strzechy i poszanowania własnego ludu.

W tych czasach skromny, w cichości a zebraniu ducha pracujący Kazimierz Brodziński, głęboko pomyślanemi estetycznemi rozprawami, zarówno jak własnemi poezjami, podązał i rozwijał te kierunki.

Wśród obudzonego współczesnie z rozwojem prasy peryodycznej ruchu wydawnictwa książek, na rok przed pojawieniem się *Tygodnika Polskiego*, wyszły w dwu tomach *Pisma Konstantego Tyminieckiego*, Sieradzanina. Skromny pracownik, mało znany za życia ogółowi, przez bliżej go znających literatów wysoko ceniony, został mianowany członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Urodził się w Ligocie, dawném województwie Sieradzkiem, z ojca Seweryna miecznika sieradzkiego i Anny Szczepkowskiej, w r. 1767. Po ukończeniu szkół w Wieluniu, ojciec przeznaczył do stanu duchownego i w tym celu wysłał go do Krakowa; ale młody Konstanty niemając żadnego powołania do tego stanu, jako wielki miłośnik literatury korzystał z dobrej sposobności i na uniwersytecie Jagiellońskim z młodzieńczym zapalem oddał się nauce. Trafił właśnie szczęśliwie, gdy tę *Alma Mater* przekształcił na uniwersytet Krakowski, przy pomocy Izby edukacyjnej Hugo Kołłątaj i zrobił go prawdziwą wyższą instytucją naukową, odpowiadającą potrzebom czasu i postępowi.

Ojciec obrażony, że życzeń jego nie spełnił, zaprzagnął widziéć go żołnierzem. Teraz synu posłuszny, wszedł do pułku gwardji koronnej.

Pobyt w Warszawie zbliżył go do głośnych w owe czasy pisarzy, jak: Naruszewicza, Trembeckiego, Fr. Dmochowskiego i w. i. Młody żołnierz przyłgał całą duszą do Onufrego Kopeczyńskiego, twórcy uwiecznionej *Gramatyki narodowej*, dopomagał mu przy układaniu i porządkowaniu sławnej biblioteki Załuskich. W r. 1794, Tyminiecki wyszedł w pole w stopniu kapitana i pod Słonimem nie tylko złożył dowody nieustraszonej odwagi, ale walczący korpus ocalił od klęski. Kościuszko posunął go na stopień majora i udarował złotym pierścieniem, jakie wówczas rozdawał w miejsce krzyżów. Wróciwszy do rodzinnego gniazda, poświęcał czas całej pracy gospodarstwa wiejskiego, usługom obywatelskim i ulubionej literaturze. Opiekun włościan, dbał o ich potrzeby, czuwał nad ich dołą, bronił od niedostatku i głodu na *przednówkach*, założył szkołkę, sam nią dozorował i zachęcał młodzież wiejską do nauki.

W czasach istnienia Księstwa Warszawskiego, wezwany najprzód do Izby administracyjnej w Warszawie, następnie na radcę departamentu kaliskiego; wszędzie czynny, przezorny, gorliwy, sprawił się jak na prawego obywatela przystało.

Zacny ten obywatel i pisarz zdolny, umarł w sile męzkiego wieku, licząc 37 rok życia; pochowany w pobliżkiem miasteczku Burzeninie. Szacunek powszechny, jaki sobie za życia zjednał, spowodował, że grono jego wielbicieli, czcząc pamięć szlachetnego człowieka, wystawiło mu nagrobek z tym napisem:

Konstantemu Tyminieckiemu, jako walecznemu żołnierzowi, gorliwemu urzędnikowi, uczonemu mężowi, opiekunowi włościan, najlepszemu przyjacielowi, położyli ten pomnik wierni przyjaciele.

Jeden z tego grona przyjaciół, sam zdolny pisarz, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Michał Wyszkowski, wiedząc o literackich pracach Tyminieckiego, wy dobył rękopisma i drukiem ogłosił, własnym nakładem 1817 r., w dwa tomy.

Zbiór cały składa się przeważnie z samych tłumaczeń. Tom pierwszy obejmuje poemata: *Ossyana, Oitona, Karton, Pieśni Selmy*; i trzy epizody: *Brassolis, Galwina, Minwana*.

Okres, w którym żył Tyminiecki, wielbił szczególnież *Ossyana*. Książnin przekładał je wierszem rymowym i miarowym. Krasicki poszedł za tym popędem: tłumaczył *Minwanę* i *Pieśni Selmy*, które także i Tyminiecki przełożył. Ta różnica zachodzi, że ostatni tłumaczył z oryginału angielskiego, gdy Krasicki z tłumaczenia francuzkiego. W tym tomie następnie znajdujemy przekład *Lata*, z poematu Tompsona: *Cztery pory roku*, i dwie komedye Publiusza Terencyusza: *Dziewczyzna z Andros* i komedya *Swiekra*, poprzedzone wstępem: *O postępie sztuki teatralnej w Rzymie*, oraz wiadomość o życiu Terencyusza. Tom drugi obejmuje resztę komedyj tego pisarza, jak: *Bracia Formion, Rzeźaniec, I sam siebie karzący*.

W tym okresie, gdy na jeden utwór rzucano się po kilku tłumaczy, nie mogąc sobie znaleźć nowego wzoru do przekładu; tak trzech tłumaczyło *Enejdę*, trzech *Henryadę* Woltera: Tyminiecki ma tę zasługę, że wybrał sobie autora rzymskiego, nieznanego ogółowi i obznajmił ogół tak ze starożytnym teatrem, jak i utworami Terencyusza.

Dopełniają tego tomu przekłady z Cycerona: *Leliusz* czyli *rozmowa o przyjaźni* i drobnych kika wierszy z Delilla i Poppa.

Tłumaczenia Tyminieckiego zalecają się oprócz wierności z oryginałem, gładkim wierszem i pięknym językiem. Dziś jeszcze czytać je można z przyjemnością. Usługę niemałą też tłumacz zrobił dla młodzieży z wydziału filologicznego uniwersytetu Warszawskiego, który założony został 7 listopada 1816 r.

Sześć lat ubiegłych od 1816—1821 r., coraz żywszy ruch umysłowy w Warszawie obudzało. Liczne grono młodzieży uczęszczającej na uniwersytet, pomnażało liczbę zwolenników polskich książek; za pośrednictwem tej inteligentnej młodzieży, smak i gust do literatury coraz się rozszerzał. Każde ważniejsze dzieło nabierało zaraz chlubnego odgłosu, obudzając ciekawość do przeczytania.

Rok 1818 był szczególnie bogaty w objawy rozbudzonego życia literackiego. Oprócz wydawnictwa Kicińskiego, *Tygodnika*, przedstawiono pierwszy raz jedną z najpiękniejszych klasycznych tragedji: *Barbarę Radziwiłłównę*, napisaną przez Aloizego Felińskiego.

Zapał publiczności, z jakim ten utwór na scenie narodowej przyjął, prawie w szal przechodził. Uniesienie i pochwały nie miały granic. Zapomniano tragedji téjże treści i tytułu Franciszka Wężyka, która za czasów Księstwa Warszawskiego wywoływała grzmot oklasków. *Barbara* i Feliński był na ustach każdego; o tym dramacie tylko mówiono, przypominano sobie sceny i ustępy niektóre.

W tymże roku ukazał się znakomity poemat Jana Pawła Woronicza: *Sybilli*. Ten niemniej stał się celem uwielbień i podziwu. Od dawna mówiono na ucho, że Woronicz ma ten utwór gotowy, ale go nie chce drukować. Jeden z jego przyjaciół przepisawszy go starannie, wydał w r. 1818 wraz ze szytychowaną *Sybillą* w Puławach, a zamiast przypisania komu, te tylko jako wydawca wydrukował słowa: *I odpusć nam nasze winy!* jako jego przeprosiny, że bez zezwolenia poety wydał na świat ten utwór.

Wiadomo, że księżna Izabella z Flemingów Czartoryska, żona generała Ziem podolskich, zbierane starannie pamiętki historyczne polskie, w pysznym ogrodzie, na wzgórku wymurowawszy świątynię *Sybilli*, w niej przechowywała. Woronicz szczęśliwą myślą wiedziony, tę Sybillę wziął za treść i osnowę swego poematu, i znakomicie się ze swego zadania wywiązał. Materiał miał bogaty, bo całą księgę dziejów swego narodu, blisko dziesięć wieków. Kapłan-poeta rozbolały niedolą kraju, świadek jego rozbioru ostatniego i upadku, z go-

ryczą, a więcej z miłością zwraca się do ubiegłej przeszłości, z której okruchy oglądał, zebrane starannie w Puławach. Woronicz zaprawiony na pisarzach XVI stulecia, dzielnie jędrnym staropolskim władał językiem i takim napisał swoje Sybille.

Wydanie całe Sybilli wprędce rozchwytano: cześć i uwielbienie dla Woronicza wzrosło w całym narodzie, do tego stopnia, że gdy w zaciętej walce romantyków z klasykami, pierwsi nikogo z sędziwych pisarzy nieposzanowali, o Woroniczu i J. U. Niemcewicu zawsze z należną czcią wspomniano. O te dwie poważne postacie, kruszyły się zajadłe pióra młodych romantyków.

Jakieśmy powyżej już wspomnieli, że *Tygodnik polski i zagraniczny* Br. Kicińskiego w roku 1821 zmienił swój tytuł na *Wandę tygodnik polski, płci pięknej i literaturze poświęconej*."

Kiciński opuściwszy Warszawę, lubo pracami swemi poetycznymi wspierał także *Wandę*, ale cały trud wydawnictwa i redakcją złożył w ręce Franciszka *Salezego Dmochowskiego*, syna tłumacza *Iljady*. Ten obdarzony niesłychaną pamięcią, łatwy wersyfikator, po skończeniu nauk w kolegium księży Pijarów w Warszawie do 1821 r. uczęszczał do uniwersytetu Warszawskiego na wydział prawny i nauk pięknych. Od r. 1820 był nauczycielem języka polskiego w Liceum Warszawskiem, pierwsze próby pióra umieszczał w *Tygodniku Polskim* już w r. 1819; był to przekład poematu *Legouveg'o* np. *Wspomnienia*, w którym tłumacz, wspomnienia z wojny francuzkiej zręcznie narodowemi zastąpił. To go zbliżyło do Kicińskiego, który trafnie oceniwszy talent, rzutność i energią w Dmochowskim, powierzył jego opiece *Wandę*. Przybrał on sobie do pomocy Dominika Lisieckiego i wprowadził dwa nowe działy: *Wspomnienia narodowe*, i obszerniejszych rozmiarów krytyki i rozbiory, tak dzieł wychodzących jak i przedstawianych sztuk na scenie narodowej. Tak ostrą krytykę pomieścił tragedji Ignacego Humnickiego: *Żółtkiewskiego pod Cecorą*, którą publiczność Warszawska, z wielkim zapamiętaniem oklaskiwała.

W r. 1821 przełożył Dmochowski i dał na scenę tłumaczenie Rasyne *Andromakę*, współzawodnicząc w tej pracy ze znakomitym poetą Franciszkiem Morawskim. On pierwszy dał zarazem poznać poezje Lamartina, przełożywszy jego wiersz filozoficzno-religijny; *Niesmiertelność* i elegiją: *Dumania poety*.

Zajmując się redakcją *Wandy* pomieścił w niej przekład swój głośnego podówczas romansu d'Arlinkura *Samotnik*, który lubo grzeszy przesadą, aż do śmieszności nieraz posuniętą, jednakże rozbudził czytelników, znudzonych i uspiomych utworami ówczesnej szkoły francuzko-klasycyznej.

F. S. Dmochowski raz wstąpiwszy w ślady Br. Kicińskiego, nie tylko że wpływał przeważnie na podtrzymanie i rozwój prasy peryodycznej ale rozszerzył sferę działań.

Kiedy wydawnictwo *Wandy* przerwaniem zostało, ogłosił sam publikacją p. n. *Biblioteka polska, pamiętnik umiejętnościom, historii, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony*. Miała ona zastąpić Pamiętnik Warszawski, który upadł bez nadziei zmartwychwstania; w *Bibliotece Polskiej* zamieścić najpierwsze sprawozdanie o poezjach Mickiewicza i o *Maryi* Malczeskiego. Mickiewiczowi hołd należny oddał, o *Maryi* wyraził się ozięblęj i wytknął kilkanaście wyrażań niezgodnych z klasyczną czystością stylu. Obie te krytyki wywołały później gromy na Dmochowskiego, tak samego Mickiewicza jak i jego naśladowców.

Po wydaniu siedmiu tomów *Biblioteki Polskiej*, objął redakcją *Gazety Korespondenta Warszawskiego* i prowadził do 1 lipca 1829 r.; oprócz artykułów treści politycznej: *Dodatek* arkuszowy co tydzień wychodzący p. n. *Rozmaitości*, obok tłumaczeń miewał i oryginalne, jak pierwsze próby pióra Zygmunta Krasińskiego. W tej epoce umyślił rozbudzić chęć do czytania w naszej społeczności, przez zniesienie ceny książek, i wydawanie tanich, które treścią zajmującą i wartością literacką zwracałyby uwagę czytelników. Jednocześnie więc rozpoczął tłumaczenie powieści historycznych Walter-Skotta i zbiorowych wydania naszych znakomitszych pisarzy: na tom powieści naznaczył cenę dwóch złotych polskich. Pożyteczny zamiar się udał, powieści Walter-Skotta drukowane w 1500 egzemplarzach, w ciągu lat trzech rozkupiono 1300.

Obok tego wziął się do przedruków dzieł znanych. Tak w tej edycji dał *Żywoty sławnych Polaków*, *Iliadę* Homera i *Enejdę* w przekładzie swego ojca; wydał zbiór pism własnych wiele, dla młodocianego wieku. Najwięcej drukował powieści Pawła de Kock'a, Vanderwelda, Bulwera, Balzaka, Dumasa (ojca) i tém utrzymywał współrodaków w ciągłej ciekawości, którzy ohotnie brali się do czytania. Tu właśnie leży przewaga zasługi F. S. Dmochowskiego rozszerzeniem koła czytelników polskich książek.

Zamierzywszy uzupełnić *Wybór pisarzy polskich*, T. Mostowskiego p. t. *Biblioteka narodowa*, wydał *Dzieła Książnina*, najzupełniejsze w zbiorowej edycji w VII tomach, i *Dzieła Fr. Zabłockiego* w VI tomach, których rękopisma przechowywały się w bogatej bibliotece Puławskiej; wydał nadto zbiór pism drobniejszych Fr. Dmochowskiego tłumacza *Iliady*, które w rozproszeniu mogłyby zagiąć, a są ciekawe i zajmujące do historii literatury XVIII wieku i pierwszych lat naszego stulecia.

Zgromadziwszy znaczną liczbę swoich nakładów, w r. 1829 założył własną księgarnię nieprzestając działalności swojej ¹⁾.

¹⁾ Drugą księgarnię założył w Radomiu, miał własną drukarnią i w niej nakłady swoje drukował. W r. 1830 uczynił próbę rozwożenia książ-

Kiedy z początku gonitwa romantyków z klasykami, ograniczała się w skromnych szrankach turniejowych, nagle i niespodzianie zmieniła się niemal w krwawą a zaciętą walkę; wielu za pierwszego chorążego i rotmistrza przedniej straży obozu klasyków, ogłosiło Fr. S. Dmochowskiego. Wiść ta fałszywa, dobiegła Mickiewicza, który zawarzał na tę wiadomość. To też Jowiszowe gromy rzucił na jego głowę w sławnej swjej rozprawie: *O krytykach i recenzentach warszawskich*, przy drugim wydaniu poezyi swoich w Petersburgu 1829 r., którą na czele pomieścił.

żek po miasteczkach i wioskach, uzyskawszy od komisji rządowej przychodów i skarbu zwolnienie od formalności, które taki handel niemożliwym czyniły. Wyjechał w styczniu i lutym 1830 r. komisanta z książkami w Radomskie i Krakowskie. Odbył był dość znaczny, lecz kosztą utrzymania koni i ludzi wynosiły trzecią część wpływu, t. j. zwykły rabat księgarski. Próba ta nie miała dalszego rozwinięcia. W r. 1839 sprzedał drukarnią, w r. 1842 księgarnią i zamieszkał w powiecie Lipnowskim, w majątności dość obszerniej, ale przywiedzionej do zupełnego upadku przez dawniejszych dziedziców; podźwignięciu tego gospodarstwa poświęcił czternaście lat życia. W r. 1856 osiadł znowu w Warszawie, wziął najprzód znaczny udział w redakcyi *Gazety Codzienniej*, a następnie nabył na własność *Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych*, która po upadku *Dziennika Warszawskiego*, założonego przez Henryka hr. Rzewuskiego na jego zgłiszczu powstała. Kiedy w kilka miesięcy *Gazetę Codzienną* nabył bankier warszawski Leopold Kronenberg i postawił na czele J. I. Kraszewskiego z popularnym i ulubionym imieniem, takiego współzawodnictwa wytrzymać nie mógł, jakkolwiek doświadczony publicysta. Nigdy więcj gorliwej pracy nie dokładał, ale te wysiłki jego były daremne. Po bezużytecznej walce, przedsiębiorstwo *Kroniki* z niemałą stratą odstąpił w inne ręce, w których prędko upadła.

Lepiej mu się powiodło wydawnictwo *Muzeum Domowego*, które prowadził od 1835—1839 r. Pismo to było na owe czasy ilustracją, ale przy pomocy klisz z zagranicy sprowadzanych; nie mieliśmy albowiem ani zdolnych rysowników na drzewie, ani też rytowników. Miał kłopotu co niemiara, ale wytrwał na swém stanowisku przez lat pięć i po wydaniu siedmiu tomów tego czasopisma dopiero go zamknął. Wydawnictwem *Muzeum Domowego* niemałe oddał społeczności naszej zasługi, gdyż wychodziło w czasie najwiękšej posuchy literackiej i umysły dopiero po przebytej burzy orzeźwiać się poczęły.

Wogóle Dmochowski przez ciąg swjej działalności na literackim polu, wydał do 300 tomów rozmaitej treści. Najważniejszymi z nich są: *Wspomnienia od roku 1806—1830*, w których dał nam zajmujący obraz czasów Księstwa Warszawskiego: wiele szczegółów z pobytu swego na uniwersytecie Warszawskim, oraz opis działalności tak własnej w zawodzie piśmienniczym, jak i ówczesnych literatów.

Kto nie żył w owych czasach w świecie literackim i nie był świadkiem téj gorącej walki klasyków z romantykami, ten nie może mieć wyobrażenia, jak potężny wpływ duchowy wywarła pomieniona rozprawa. W dwóch tych obozach jakże osobliwe pojawiły się zjawiska; w starym: gniew i oburzenie, a po nich ośłupiałość; w młodych: nieopisany zapał i uniesienie, wraz z obudzoną myślą wzgardy dla wszystkiego, co tylko miało jakąkolwiek powagę i najznakomitsze nawet zasługi, przeciw każdemu, kto nie był gorącym wyznawcą nowych pojęć, nowych torów poezyi.

W r. 1863 otrzymał miejsce nauczyciela języka polskiego w wyższych klasach III-go gimnazjum w Warszawie. Tak po upływie lat 43 mozolnych i pracowitych, objął też same obowiązki, złamany wiekiem i trudami, które pełnił w chwilach swéj młodości. Jako nauczyciel wydał: *Naukę prozy, poezyi i zarys piśmiennictwa polskiego*, której ramy i sposób wykładu zastosował do pojęcia młodocianych umysłów i do zakresu czasu przeznaczony w szkołach na ten przedmiot.

Kiedy Jan Kanty Wołowski, jako wdzięczny uczeń, powziął piękną myśl uchronienia od zatury prac słynnego w swoim czasie profesora uniwersytetu Ludwika Osińskiego, wezwał pomocy F. S. Dmochowskiego. Chętnie uczonemu prawnikowi takowej udzielił i zajmąszy się ze zwykłą gorliwością, przejrzał pozostałe rękopisma, uporządkował i opatrzywszy życiorysem zgasłego profesora, wydrukował w czterech sporych tomach w latach 1861—1862.

Wydawnictwo to obudziło w Dmochowskim gorące pragnienie zebrania wszystkich pism Kazimierza Brodzińskiego, swego profesora, z którym go ścisłe stosunki przyjaźni łączyły. Wiadomo, że Brodziński po wydaniu dwu tomów poezyi swoich 1821 r., ogłosił prenumeratę na zbiór prac prozą i wydał w r. 1830 pierwszy tom, złożony z rozpraw wykładanych z katedry. Pomiędzy niemi była jedna praca *O egzaltacji*, która niémiała szczęścia podobać się młodemu pisarzom.

Maurycy Mochacki, jeden z najzdolniejszych w pomienioném gronie, ostro wystąpił przeciw autorowi w rozbiórce tego tomu. Brodziński cichy a skromny, tak krytyką tą został zrażony, że przerwał publikacją swoją. Wśród następnych zdarzeń, już niémiał ani chęci ani sposobności do dalszego wydawnictwa. Złamany moralnie, dotknięty nieuleczoną chorobą, pracując jednak zawsze w zaciszy, zgasł w lat kilka i spoczął na cmentarzu w Dreźnie.

Rękopisma jego pozostałe, rozmaitym ulegając kolejom, w znaczniejszej części ogłoszone zostały jako zaginione. Teofil Glücksberg księgarz wileński, zamierzający nowe wydanie pism K. Brodzińskiego, nic z prac nieznanych, oprócz przedruków nie wydał i to w najnieodolniejszej redakcyi z niemałemi dowolnemi zmianami i opuszczeniami (w Wilnie 1842—1844 r., dzieścię tomików).

Wszyscy, którzy oceniali zarówno talent Brodzińskiego jak i jego wzniosłe stanowisko; uczniowie i zwolennicy śpiewaka *Wisława*, co z praw-

F. S. Dmochowski żywo dotknięty ostrém wystąpieniem wielkiego poety, w oddzielnej książce wystąpił otwarcie przeciw ogólnemu tonowi owęj rozprawy, lekceważącemu wszystkie bez wyjątku prace przeszłości i zasługi zacnych mężów, którzy w okresie swoim rozszerzali światło i wiedzę. Byłto dowód prawdziwej odwagi cywilnej, wystąpienie śmiałe przeciw takiej powadze, jaką już stanowił Mickiewicz. Ale Dmochowskiemu nie szło wcale o spór wyższości nowej szkoły poezyi, bo ją sam otwarcie przyznawał od pierwszego jęj objawu, ale o poniewierkę pracowników, którzy w zacnej myśli uprawiali w najnieprzyjaźniejszych językach dla narodu niwę literatury i stali na straży rodzinnego języka.

Dziełko F. S. Dmochowskiego ma napis: *Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza o krytykach i recenzentach Warszawskich*. Wydrukował

dziwą rozkoszą ducha zgromadzali się w około jego katedry, boleli z goryczą nad zatrąta prac tak szacownych, mogących w prawdziwém świetle dać poznać potomności przeważne zasługi, jakie położył dla literatury krajowej.

F. S. Dmochowski wiedział, jaki go mózół, jakie trudy oczekują, ażeby spełnił swoje zadanie; ale się niemi nie zrażał i zaczął troskliwe starania nad wyszukaniem autografów Brodzińskiego. Z początku niewiedząc, gdzie na ich ślad natrafić, zaczął zbierać notaty z prelekyi, jakie jego uczniowie zachowywali starannie; gdy niespodziewanie odbiera wiadomość, że u pozostałej jędynaczki, córki zamężnej Brodzińskiego, znajduje się kufer z własnoręcznemi rękopismami jęj ojca.

Radość była niedoopisania sędziwego starca, kiedy dobrał się do długo wyczekiwanego daremnie skarbcu, gdy w tym stosie pomieszanych bezładnie kartek, ujrzał rękę swego profesora i przyjaciela. Rozpoczętą przeto już pracę nad układem prelekyi Brodzińskiego, ze skryptów jego uczniów odłożył, a wziął się z młodzieńczym zapałem do autografów. Tu pokazał żelazną wytrwałość: oprócz zeszytów mających ciąg jakikolwiek, pokazały się braki, tak w środku jak i w zakończeniach rozpraw. Ulotne świstki musiał starannie segregować, ażeby w miejscu właściwém wypełniały owe braki lub opuszczenia cząstkowe. Wyborna pamięć, którą zachował prawie do śmierci, posłużyła mu tu niemało. Nie zapomniał o żadnej kartce luźnej, którą raz miał w ręku, a znał przytém gruntownie każdy przedmiot, jaki rozwijał się w autografach Brodzińskiego.

Co za uciecha była F. S. Dmochowskiego, kiedy całość dała się odszukać i bez szecerby można ją było przepisać.

Tak dzień po dniu w bezustannych poszukiwaniach postępując, w ciągu kilku lat przygotował zupełne wydanie pism Brodzińskiego, a wywiązawszy się z obowiązków przyjacielskich dla zmarłego poety i estetyka, w ręce jego córki złożył dziesięć tomów, ułożonych w należytem porządku rękopismów, przepisanych starannie i przejrzanych tak, że w każdej chwili mogły iść pod prasę drukarską.

Je zaraz po ukazaniu się nowój edycji poezyi Mickiewicza 1829 r., a gdy pierwsze wydanie w prędkim czasie wyczerpane zostało z obiegu handlu księgarskiego, ogłosił drugie w r. 1830, z dołączeniem dwóch artykułów swoich z *Biblioteki Polskiej*, to jest: *Uwagi nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiej* i *Uwagi nad Sonetami p. Mickiewicza*. Rozprawy te przedrukował w tym celu, ażeby przekonał czytelnika, z jakiego stanowiska oceniał utwory poetów nowój szkoły romantycznój.

Jeżeli rozkupienie w krótkim czasie pierwszego wydania *Odpowiedzi* F. S. Dmochowskiego, a następnie i drugiego, stawia wymowny dowód, że głos jego miał pewne znaczenie i powagę; bynajmniej to nie wpłynęło na zmianę sądu ogółu, w przedstawieniu go zawsze jako głównego szermierza w obronie upadłego klasycyzmu.

Młodzi zwolennicy, twórcy *Dziadów* i *Sonetów*, przebaczyć nigdy nie mogli Dmochowskiemu, jak śmiał krytykować tak wielkiego poetę. Sam przecież Mickiewicz śmiejąc się powtarzał, że Dmochowskiemu dostało się za wszystkich, a tym którzy go wprędce spodziewali się zobaczyć, polecał, aby mu oświadczenie jego szacunku i życzliwe pozdrowienie zanieśli. Niedosyć, przesłał mu egzemplarz swoich poezyi z własnoręcznym przypiskiem.

Zawsze rozprawa *O recenzentach i krytykach Warszawskich* Mickiewicza, było to uderzenie śmiertelne, ostatnie, wymierzone ramieniem olbrzyma, w spróchniały pień stojącego jeszcze klasycyzmu, który się mu oprzeć nie mógł i runął. Najwięksi jego zwolennicy w żałobnym milczeniu, patrzyli ze smutną zadumą na jego upadek: wielu

Podług tego rękopismu J. I. Kraszewski wydrukował w Poznaniu w ośmiu tomach.

Równocześnie, na usilne nalegania przyjaciół, zabrał się do pisania pamiętników, *Wspomnienia* albowiem które wydał, były tylko lekkim szkicem tych zajmujących opowieści, które z takim wdziękiem umiał słuchaczom swoim udzielać. Nie ukończył ich jednakże, bo ciężka choroba wytrąciła mu pióro z drżącej ręki, a śmierć zbliżała się pewnym krokiem. Czuł ją zdala, a tém pewniejszego o zbliżającym się końcu żywota nabrał przekonania, kiedy swą słynną pamięć nagle utracił. Ze łzami w oczach skarżył się na ten cios smutny przed przyjacielem swoim, który go nawiedzał w tój niemocy. Na kilka dni przed zgonem przypomniał sobie wiersz napisany w pierwszych latach swój młodości, z radością go przedeklamował, ale zaraz potém zgasła pamięć nazawsze i ciemna pomroka ją pokryła.

Od chwili, kiedy już choroba śmiertelna wzięła przewagę nad silnym dotąd organizmem i żółtaczka wywołana moralną boleścią, ubarwiła całe ciało; pomimo tego, oblicze jego zawsze pogodne, wyszlachetniało i wypiękniało. Na tych regularnych rysach twarzy schudzonój, malował się spokój i rezygnacya; czekał ostatniej chwili przygotowany do niej jako dobry chrześcianin i usnął w Bogu zaczynając rok 71 życia, otoczony gronem swój rodziny.

z pomiędzy nich sądziło, że zaraz nastąpi koniec świata; bo pojąć nawet nie mogli, co na jego zwaliskach wyrosnąć może. F. S. Dmochowski, który należycie oceniał geniusz Mickiewicza i pojmował dobrze nową erę poezji polskiej; umiając mnóstwo długich nawet ustępów z jego poezji na pamięć, które deklamował zawziętym klasykom w obronie swojej, gdy mu zarzucali sprzyjanie: „Nowatorom kążącym smak i język;” napastowany przez młodszych romantycznych zapaleńców: o bluźnierstwo przeciw natchnieniu i uczuciu; nie szczędził również cytat i przytoczeń na wykazanie przesady lub śmieszności, w jakie wówczas ślepi naśladowcy Mickiewicza wpadli.

Z końcem roku 1830 ucichła przecież odrazu ta wrzawa i walka romantyków z klasykami, po burzy zajaśniało słońce zgody i pokoju, ogrzewając ziemię Bożą jasnym a ciepłym promieniem swoim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIRWANA WOBEC METAFIZYKI,

czyli ocena podstaw metafizycznych filozofii wyzwolenia ¹⁾, w związku z systematami filozoficznymi Schopenhauera i Hartmanna.

PRZEZ

Seweryna Smolikowskiego.

TREŚĆ.

§ 1. Streszczenie filozofii wyzwolenia.—§ 2. Wykazanie, iż podobnie jak w nauce taki w metafizyce istnieje *prawo nieznikomości*. *Prawo przyczynowości*, nie tylko, że nie osłabia argumentu istnienia Boga (John Stuart Mill), ale przeciwnie jest dla umysłu naszego najjaśniejszym dowodem Jego istnienia; odniesione zaś do pojęcia Istoty Boga, prawo przyczynowości, każe nam z pojęciem tém łączyć *wieczność*, a ztąd nicosię absolutna, *nirwana* niemożliwa.—§ 3. Na dnie każdej filozofii spoczywa jawny lub ukryty absolut, na dnie skoptycyzmu—idealizm, a często nawet mistycyzm.—§ 4. Uzasadnienie poznania ludzkiego na mocy uznania *jednolitości*, przenikającej zarówno świat zjawisk jak i świat myśli w ogóle a ludzkiej w szczególności. Łączność pojęć wieczności i jednolitości. Jednolitość jest drugim atrybutem Boga.—§ 5. Pojęcie absolutu, jego istoty w szkole pesymistycznej, nie wytrzymuje krytyki wobec metafizycznych wymagań myśli naszej. Cała szkoła pesymistyczna niemiecka może być nazwaną *filozofią woli*, albo *apoteozą woli*, w przeciwstawieniu do *filozofii idei* Hegla, a cechą obu tych kierunków jest *hypostarowanie* pojęć składowych, od pojęcia osoby nieodłącznych, a mimo to od tego ostatniego odrywanych i wynoszonych do godności absolutów (*Idea, Wola*).—§ 6. Stosunek Boga do świata niewyraźny i niewyjaśniony w szkole filozofii pesymistycznej, pojęcie absolutu zmieszane z pojęciem świata, a celowość z przypadkowością.—§ 7. Zaznaczenie optymistycznego kierunku idącego w stosunku rosnącym przez całą filozofią pesymistyczną czyli *optymizm w łonie pesymizmu*.—§ 8. Rękojmię osiągnięcia *nirwany*, jakie dają sami jej głosiciele, nie mają żadnej podstawy, ani logicznej, ani naukowej, a ztąd jako oparte więcej na pragnieniu serca (w związku z optymistycznym kierunkiem ich filozofii), aniżeli na dowodach naukowych lub filozoficznych, nie dają one żadnej pewności i niczem téż usprawiedliwionemi być nie mogą.—§ 9. Krótka rekapitulacya, oraz charakterystyka całej szkoły pesymistycznej, jako filozofii zdradzającej zarówno *dogmatyczny* jak i *optymistyczny* kierunek w dążeniach wybitniejszych swoich przedstawicieli (Schopenhauer, Hartmann, Mainländer); czyli odpowiedź na pytanie: *w czém tkwi błąd zasadniczy całej szkoły?*

¹⁾ Patrz: *Najnowsze objawy filozofii pesymistycznej w Niemczech. Filozofia wyzwolenia*. Zeszyty za maj, lipiec i wrzesień *Bibl. Warsz.* z 1878 r.

II.

Wer das erste Knopfloch verfehlt,
Kommt mit dem Zuknöpfen nicht zu Rande.
Goethe.

Przystępując teraz do oceny podstaw *metafizycznych filozofii nicości*, przede wszystkim streścimy w kilku słowach wyłożoną przez nas w pierwszej części pracy niniejszej *filozofię wyzwolenia*, a to dla ułatwienia czytelnikowi ujęcia ogólnego toku dalszego rozumowania.

§ 1. Streszczenie filozofii wyzwolenia.

Bóg i świat, jedność i wielość, bezruch i ruch, swoboda i konieczność ¹⁾,—oto dzieje wszechświata, dwie główne doby jego istnienia, a ztąd i jedyny zakres badań filozofii. Po za Boga nikt myślą nie sięga, od świata nikt oderwać się nie może, bo razem z nim pchnięty jest w taniec śmierci. Ale ten taniec śmierci objawia się życiem, śmierć bowiem to tajemnicza intryga zakulisowa, na scenie świata zaś przejawia się tylko życie i dążenie doń całymi siłami; o celu ostatecznym nikt nie wie, filozofia nicestwa podnosi dopiero koryntę i zdumionemu człowiekowi odsłania nowy, niewidzialny dotąd widok, widok czarowny, jeśli wierzyć nowemu prorokowi, widok rajy, widok zaspokojoynych marzeń, ziszczonych nadziei.

Nim jednak to nastąpi, porwany wirem stworzenia człowiek żyć musi. Bóg zapragnął bowiem śmierci, zapragnął pograżyć się w nicłość bezpowrotną, więc wyrok wydany: *przez życie do nicestwa*; i odtąd wszystko żyć musi, a to by cel ostateczny kiedyś osiągnięty został.

I tak, Bóg umiera, świat się rodzi (*Gott ist gestorben und sein Tod war das Leben der Welt*) ²⁾. Jedność przedświatowa znika, pozostaje wielość. Bóg poruszył się, zbudził się z letargu, ze spokoju przechodzi w czyn i bezruch zamienia się w ciągły ruch, istnienie w wir krążenia. Bóg przemówił, objawił swą wolę i natychmiast potęgą téj woli w świat się rozsypał. Jedność znikła a pozostał aglomerat złożony z indywidualnych dążeń (*der Individuelle Wille*), jakby części składowych ogólnej woli Bożej przestania istnieć.

Ze statyki powstał więc dynamizm, ze spokoju ruch, istnienie zamieniło się w stawanie się, *Werden* heglowskie, ale celem tego stawania się nie jest *rozwijanie* się istnienia w nieskończoność, ale raczej *zwijanie* się w coraz węższe koła, ciągłe zmniejszanie zakresu bytu, słowem stawanie się u Mainländera jest właściwie tém co wiedzie do ziszczenia woli Bożej czyli dążeniem do nicości, do *nirwany*.

¹⁾ Philipp Mainländer. *Die philosophie der Erlösung*, str. 107.

²⁾ Mainländer, l. c. pag. 108, porów, także 321.

O tém wszystkim ma nas pouczać rozwartą przed każdym myślicielem księga przyrody, owe jedyne nieomyłne źródło poznawania woli Bożej.

I tak, celem istot organicznych jest życie, na życie to składa się świat nieorganiczny, który niczém inném nie jest jak tylko materyałem dla świata organicznego, słowem *życiem* organizmów świat nieorganiczny *żyje* się. Ciała stałe dążą do środka ciężkości ziemi, płynne rozlewają się w kierunku poziomym, gazy rozszerzają się na wsze strony, wszystkie zaś dążą do nicości, każde odpowiednią sobie drogą; celem bowiem dążenia każdego z nich jest punkt idealny, punkt po za niemi będący, a ten punkt idealny to cel wszechświata, *to nicość*. Wszystko do punktu tego dąży, prędzej czy później wszystko w nim spocznie. A zadumany nad zjawiskami temi filozof, widzi w całym wszechświecie jedną tylko tęsknotę i jedno dążenie, tęsknotę za nirwaną i dążenie do jej osiągnięcia. *Wyzwolenia, wyzwolenia z więzów życia!* oto hasło jakie przebiega strefy świata, oto wołanie jakie niebios samych sięga. *Wszyscy zbawieni będziecie, sen wieczny wszystkich was pochłonie, nirwana was czeka!* oto „radosna i pocieszająca nowina, jaką obwieszcza światu filozofia wyzwolenia.”

§ 2. Prawo nieznikomości w świecie metafizyki. Metafizyczne pojęcie przyczyny. Łączność pojęć wieczności i Boga.

Wykazaliśmy już ile w tém wszystkim utwierdza nas owa, szeroko rozwartą przed każdym badaczem, *księga przyrody*; wykazaliśmy jak utłudne są te nadzieje *wyzwoleńców*, jak przeciwnie nauka stanowczo zaprzecza możności zniknięcia czegokolwiek bądź z widowni istnienia ¹⁾.

Otóż toż samo *prawo nieznikomości*, jakie stwierdza na każdym kroku badań swoich *nauka*, toż samo prawo istnieje i w świecie *metafizyki*; toż samo prawo narzuca nam nieubłagana *logika* przy rozbieganiu wszelkich bytów, wszelkich istnień, czy to jako idei od rzeczywistości oderwanych, czy to jako myśli w świat zewnętrzny wcielonych.

Jak zaś w świecie materyi nic się nie stwarza ani unicestwia, tak samo też i Bóg Mainländera nie mógł przestać istnieć, dając w zastępstwo swoje świat wolą nicości przez siebie stworzony, świat który ma pójść za przykładem Boga to jest zniknąć. Jeżeli bowiem Bóg musiał dla zniknięcia wcielić się w świat, w cóż wcielił się idee pojedyncze by zniknąć? trudno bowiem przypuścić, ażeby idee pojedyncze a ztąd i ludzie, jako idei téj przedstawiciele, mieli większą łatwość w osiągnięciu celu swego aniżeli ich Stwórca.

¹⁾ Patrz *Filozofia Wyzwolenia*, Bibl. War. zeszyt za wrzesień 1878 r. W osobném zaś wydaniu pracy niniejszej str. 64 i dalsze, gdzie ocenione są naukowe podstawy filozofii wyzwolenia.

Nie mówiąc już o tém, że ze stanowiska filozofii immanentnej niemożliwym jest nawet takie stworzenie, taka kreacja *deistyczna*, w którejby Bóg już nie istniał po stworzeniu, gdyż pojęcie immanentyzmu jest jaknajściślej związane z pojęciem nierozłączności, prędkiej też prowadzi ono do panteizmu niż takiego nowego rodzaju deizmu, jaki głosi Mainländer; otóż powtarzamy, pominawszy to wszystko i przypuściwszy, że świat dopnie swego a raczej bożego celu, to jest, że zamieni się w nicłość: to czemuż będzie ta nicłość?

To będzie istnienie *in potentia*, będzie to *das Seinkönnende* czyli *potentia existendi* Schellinga ¹⁾, albo też będzie to absolut Hartmanna, owe *nieświadome* (*das Unbewusste*) w którym i wola i idea drzeją, spoczywają w spokoju, w którym wola jeszcze nie chce a idea jeszcze nie zdaje sobie sprawy z żadnej myśli, jeszcze się nie przebudziła ²⁾.

Będzie więc to nowa forma istnienia, ale nie nicłość bezwzględna, nie owe *nihil negativum*, jakie głosi Mainländer. Nicłość bowiem pojąć możemy jedynie tylko jako antytezę istnienia obok istnienia, ale samej nicości nie jesteśmy w stanie zrozumieć a témbardziej *zniknięcia istnienia*.

W ogóle *zniknięcie istnienia* podobnie jak jego początek (mamy tu na myśli istnienie w ogóle, nie zaś pewną jego formę) przechodzi zakres pojęć myśli ludzkiej.

Istnienie bowiem i *wieczność* są to pojęcia wzajem się dopełniające a ztąd jednoczące się z koniecznością, nierozzerwalne, naturalnie ile razy pojęcie istnienia bierzemy w bezwzględnym znaczeniu, nie jako formę przemianną, nie jako byt tymczasowy idei, np. organizm, społeczeństwo, ziemia nasza, ale jako przedmiot jedyny myśli, stały jej punkt oparcia, tło niewzruszone rozumu, słowem jako istnienie w najbardziej filozoficznym słowa tego znaczeniu. Bez takiego jednoczenia pojęć istnienia i wieczności nie moglibyśmy nawet przedstawić sobie Boga jako absolutu, jako metafizycznej przyczyny, słowem jako źródła wszystkiego. A do takiego pojęcia o Bogu, jedynego pojęcia logicznie uzasadnionego, dochodzimy właśnie drogą rozumowania opartego na prawie przyczynowości. Zwykle też przytaczają nawet między innymi dowodami istnienia Boga i dowód wynikający jakoby z logicznej konieczności dla myśli naszej przypuszczenia początku wszelkiej rzeczy, jej przyczyny pierwotnej, pewnej *causalitas*, jednym słowem konieczności wytknięcia dla każdej rzeczy chwili jej powstania i wskazania na źródło tego aktu. A ta konieczność szukania przyczyny dla każdej rzeczy nie najbliższej przyczyny ale przyczyny pierwotnej, bezpośredniej, wynikająca z analogii czynów ludzkich, prowadzi ma do uznania istnienia Boga, do przypuszczenia jakby pewnego budowniczego świata. Prawda,

1) Schelling *Kritik der Hegel'schen Philosophie* I. 3. *Vorlesung*.

2) Hartmann: *Philosophie des Unbewussten* 1876, t. II, str. 426, 460. 432. Hartmann odróżnia *potentia- Sein* od *actu- Sein*, *Sein im Wesen* und *Sein in der Erscheinung*, l. c. t. II, str. 14 i 15.

że wszelki czyn, wszelkie następstwo zawsze i wszędzie poprzedzaném bywa daną przyczyną; ani taki argument dowodzący istnienia Boga jest bardzo słabym. Inna bowiem rzecz *prawo przyczynowości* a inna—pojęcie *pierwszej przyczyny*; można nawet powiedzieć, że jedno wyklucza drugie, prawo przyczynowości nie zna *pierwszej przyczyny*, a *pierwsza przyczyna* uwalnia się od prawa przyczynowości, od owego *causal zusammenhang*, które jest osnową znajomości świata i źródłem poznawania praw nim rządzących.

Stusznie też zauważył John Stuart Mill, że szukając pierwszej przyczyny, nigdybyśmy się nie zatrzymali na drodze tych poszukiwań, gdyż nie oparlibyśmy się o żaden punkt stały, ostateczny, ale podnosiłibyśmy się od przyczyny do przyczyny, coraz wyżej, bez końca ¹⁾.

I tak, przypuścimy, że myśl nasza spoczęła już na momencie stworzenia świata, ale mimowoli idzie ona dalej i pyta: jak powstała przyczyna świata, jakim sposobem na widowni bytu zjawił się Stwórca? Daleko bowiem zrozumiałej dla myśli ludzkiej, myśli ograniczonej, przedstawić sobie ciągłe powstawanie przyczyny z przyczyny, ciągły nieprzerwany łańcuch następstw i skutków, aniżeli przypuszczenie zjawienia się czegoś odrazu, bez przyczyny, jak *deus ex machina*, aniżeli rozpoczynanie od stałego jakiegoś punktu czyli od tak zwanego *pierwszej przyczyny* ²⁾.

Zdawałoby się wedle powyższego, że do przedstawienia sobie przyczyny przyczyn, prawa praw, owęj *lex legum*, nigdy dotrzećby nie można. To też Mill obala dowód istnienia Boga na konieczności istnienia pierwszej przyczyny oparty, jako nie dowodzący niczego, a to na tój zasadzie, że prawo przyczynowości bynajmniej nie prowadzi do koniecznego uznania pierwszej przyczyny.

Jest w tém prawda, ale niezupełna; z właściwą sobie jasnością umysłu, sprawiedliwie zauważył Mill niewytrzymałość w obec logiki teologicznego argumentu *budowniczego świata*, ale nie spostrzegł, że błąd nie leży w istocie argumentu tego, ale jedynie w sposobie zastosowania go.

Tu nadarza się nam sposobność zwrócenia uwagi czytelnika, jak różne są drogi prowadzące do prawdy i jak często to co zdaje się przeczyć, gdy źle jest zastosowaném, przeciwnie prowadzi do stwierdzenia danej prawdy, gdy zdołamy wybrać odpowiednią drogę,

¹⁾ J. Stuart Mill, *Three essays on Religion* London. 1874. *Theism*. Patrz ocenę dowodu istnienia Boga, opartego na konieczności przyczynowej czyli rozbiór argumentu *pierwszej przyczyny*.

²⁾ Typem takiego rozumowania opartego na wrodzoném umysłowi naszemu *prawie przyczynowości*, jest indyjskie pojęcie a raczej uplastycznienie świata: *Świat stoi na słońcu, słoń na żółwiu...* A żółw? zapyta nawet każde myślące dziecko, któremu w ten sposób świat przedstawić zechcemy. Spróbujmy tłómaczyć mu, że świat krąży w przestrzeni, albo co dlań zrozumiałej w próżni: a próżnia? zapyta ono.

uwzględnić prawdziwą stronę rzeczy, jednem słowem gdy potrafimy z pomiędzy wielu nici rozumowania uchwycić tę właśnie, która wprost do istoty rzeczy wiedzie, bezpośrednio do danego celu prowadzi.

Tak się ma rzecz i z kwestyą *argumentu przyczynowości*; jest to drabina logiczna, po której można zarówno wspinać się ku górze, do pojęcia bóstwa, jak i schodzić do pojęcia ateizmu lub chaosu, do téj bezdennéj otchłani logicznój, do téj próżni niczém niewypełnionej, w której myśl nasza gubi się ustawicznie bez punktu oparcia dla swoich dociekań, bez linii wytycznéj dla dążeń swoich i bez pochodni rozświecającej drogi, wskazującej zdala błyskający lubo za mgłą ukryty, cel ostateczny istnienia i życia.

Powiedzieliśmy, że w orzeczeniu Milla tkwi prawda ale niezupełna, i rzeczywiście wszystko zależy od tego jaką drogą poszukiwać absolutu, a jak w danym wypadku, jak przez argument przyczynowości wznieść się do pojęcia Boga. Mill wskazał na błąd poprzedników swoich, ale go sam nie sprostował a raczój nie wpadł na myśl wysnucia z tegoż samego argumentu innego wątku myśli, wprost do celu wiodącego, a tym sposobem i sam popełnił błąd nie rozróżniwszy błędnego zastosowania danego argumentu od jego istoty.

Otóż, zdaniem naszym *argument pierwszej przyczyny* oddzielić należy od *prawa przyczynowości* a wtedy to ostatnie prawo właściwie pojete, nietylko że nie utrudni nam zrozumienie istnienia absolutu, ale przeciwnie nawet stanie się dla umysłu naszego najbardziej przekonującym i jasnym dowodem konieczności przypuszczenia takiego absolutu, tylko, jak wyżej powiedzieliśmy, nienależy szukać *pierwszej przyczyny* ale *wiecznej przyczyny*.

Nie pojmujemy nawet jak można mówić o pierwszej przyczynie, chociażby dla określenia Boga. Wszakżeż i teologowie mówiący o pierwszej przyczynie mają zwykle na myśli w nazwie téj zawrzeć *bezprzyczynowość* Boga, to jest głoszenie, że Bóg jako absolut uwalnia się od prawa przyczynowości, że niema po za sobą żadnej przyczyny, gdyż sam jest przyczyną wszystkiego, a więc i siebie, słowem że jest, jakby powiedział Spinoza, *causa sui*. I takie jednakże uwalnianie Boga od prawa przyczynowości, nietylko że nie posuwa naprzód danéj kwestyi, ale przeciwnie, utrudnia jeszcze bardziej wytlómaczenie istnienia Boga, pomijając już to, że nawet ze stanowiska samychże teologów nie jest ono bynajmniej potrzebném dla wytlómaczenia bezwzględności Boga. Istnieje bowiem inna droga, droga bardziej niż ta odpowiadająca prawom logicznego myślenia, droga bardziej naturalna i prosta, to jest, bardziej godząca wymagania umysłu naszego ze zjawiskami otaczającego nas świata a ztąd bardziej niż inne dyalektyczne formułki dowodząca konieczności istnienia absolutu czyli Boga.

Droga ta to właśnie powolne podnoszenie się od przyczyny do przyczyny, to szukanie absolutu, podobnie jak szukamy przyczyn zjawisk nas otaczających. A takim sposobem dochodzimy z konieczności

czności rzeczy do związywania pojęcia istnienia i pojęcia wieczności w jedną nierozzerwalną nić wszechświata. Szukając bowiem ciągle przyczyny przyczyn, a niemogąc oprzeć się o żaden punkt krańcowy, zatapiamy się myślą w wieczność. Tam myśl nasza gubi się wprawdzie w nieskończoności i niemoże ogarnąć jęj w całej jęj istocie, w całej pełni jęj zjawisk, ale znajduje niebawem inny stałszy punkt oparcia, nie pierwszą jednak przyczynę świata, nigdy niezrozumiałą, ale *wieczną przyczynę*, a raczj *wieczne istnienie*, gdyż istnienie bez przyczyny, bez początku.

Otóż pojęcie Boga jest, zdaniem naszym, właśnie takiem pojęciem wieczności istnienia ¹⁾ i daleko tęż łatwiej zrozumieć nam istnienie wiecznej przyczyny świata, aniżeli zjawienie się pośród nicości danego bytu i to samego z siebie a raczj z niczego.

Tego jednakże cośmy mówili o wieczności istnienia w ogóle, nie należy mieszać z wiecznością istnienia świata. Świat bowiem jest tylko pewnem stadyum myśli Bożj i przeto może zmieniać formę swego istnienia; to jest dany świat może przestać istnieć jako wyrażenie tēj lub innj myśli Bożj, ale tēm niemniej źródło jego—Bóg, ten jest wiecznością. Inna bowiem rzecz pojęcie stworzenia świata

¹⁾ Zwracamy przy tēj sposobności uwagę czytelnika na terminologią polską odnoszącą się do malowania pojęć *istnienia*, *istoty*, *istności* i t. d., a o którj mówiliśmy w pierwszej części Filozofii Wyzwolenia. (Patrz Bibl. Warsz. z 1878 r. zeszyt za maj, przypisek na str. 264, w osobném zaś wydaniu niniejszj pracy na str. 9 i 10).

Otóż to co tu powiedzieliśmy, może usprawiedliwi nas, dlaczego słowu *istność* pragnęlibyśmy nadać tak obszerne w metafizyce znaczenie. Istność bowiem w pojęciu jakie tu rozwinęliśmy, to—poniekąd synonim wieczności; że zaś i w pojęciu Boga te dwa atrybuty Jego—istnienie i wieczność łączą się ze sobą, są nierozdzielne, ztąd w słowach *Istność przedwieczna* maluje się najlepší, zdaniem naszym, *istota* Boga, to jest istnienie *par excellence*.

A nawet gdy do tych cech absolutu dodamy niezbędny jeszcze pierwiastek —jednolitość, oraz najwyższy stopień przejawu tēj jedni t. j. pojęcie *osobowości*, to i wtędy użyte na określenie Boga wyrażenie *Istność przedwieczna*, odpowię jeszcze znaczeniu jakie mu nadać pragniemy, gdyż forma zakończenia tego wyrazu nosi na sobie cechę *rzeczowości* i *nieograniczoności*. W ogóle zakończenie rzeczownikowe na *ność* wiąże się często w języku polskim z wyrazami szerokiego zakresu pojęć, a nawet rozszerza ono ich znaczenie a raczj przenosi dane pojęcie w sferę abstrakcyj, jak np. *wiek* (ograniczenie czasu), *wieczność* (rozszerzenie pojęcia czasu).

Jan Kochanowski bardo szczęśliwie użył na określenie Boga, pięknego wyrazu *wiekuisty* (Porównaj między innymi psalm: *Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże* etc.); otóż ten przymiot Boga *eo ipso* odnajduje się w słowie *Istność*, gdyż zakończenie (ność) zastępuje tu poniekąd złożenie słów *wieku* i *istnienia* na określenie wieczności.

a inna zupełnie pojęcie powstawania lub znikania Boga: powstanie świata rozmaitemi drogami objaśniać można, ale istnienia absolutu niemożna odrywać od pojęcia wieczności.

Ci, na przykład, którzy wierzą w Boga stwórcy (z niczego), przypuszczają *eo ipso* dobę kreacyjną (początek świata); ci, którzy przyjmują ducha i materję, mogą zaznaczać chwilę, w której duch wciela się w tę ostatnią, w której myśl przejawia się na zewnątrz (powstanie świata, uporządkowanie chaosu); nie robiący znowu żadnej pomiędzy Bogiem a materją różnicy, mogą jeszcze mówić o ciągłym uzewnętrznianiu się idei i ciągłym rozwoju absolutu, chociażby nawet przez najróżnorodniejsze antytezy (Hegel) ¹⁾; ale wszyscy oni przedewszystkiem przyznają istnienie metafizycznego źródła stwarzania, czyli przyczynę ciągłego rozwoju: jednym słowem absolut myśli i istnienia. A jeśli nawet nie mówią o tём, pytania tego nie podnoszą, to dla tego jedynie, iż przypuszczenie *absolutu* a więc *wieczności źródła świata*, samo z siebie wynika i wydaje się im tak jasnym i tak koniecznym, tak zrośniętym z myślą naszą, że przyjmują je za dowiedzione apriorycznie, *tacite consensu* myśli logicznej, wymagając dowodu od przeczących (*neganti incumbit probatio*).

Słowem, czyto będzie *monizm*, monizm zarówno teistyczny jak i materyalistyczny, czy *dualizm*, czy *panteizm*, czy *panideizm* ²⁾ wreszcie, zawsze i wszędzie na dnie tych systematów filozoficznych leży jeden główny ich punkt oparcia, wszystkie one krążą około jednej osi, jedną mają podstawę, jedną myśl zasadniczą. A wspólnym tym punktem, tą wspólną ich osią i podstawą, jest właśnie pojęcie *wieczności istnienia*, pojęcie absolutu niezmiennego, przeobrażającego się ustawicznie, pod najróżnorodniejszymi przejawiającego się formami, ale tём niemniej niezmiennego co do swój istoty, trwałego w swój istności, słowem istniejącego bez przerwy—*wiecznie*.

Nikt tём z głębszych myślicieli nie mówił nigdy ani o powstawaniu, ani o znikaniu Boga, naturalnie, jeśli temu ostatniemu przypisywać absolut, wszystkość, t. j. istnienie w najobszerniejszym słowa tego znaczeniu.

Jam jest, którym jest ³⁾, oto najogólniejsze, najbardziej metafizyczne określenie Boga, a w tym określniku *jest*, mieści się wieczność, li-

¹⁾ Tu odnieść można wszystkie odcienia panteizmu i ewolucjonizmu duchowego.

²⁾ Zwykle pod panteizmem rozumieją wszystkie systemata, w których głosi się jedność ducha i materji, a raczćj materję identyfikuje się z Bogiem. Wprowadzamy nazwę *panideizm* na oznaczenie specjalnie tego poglądu w filozofii, który absolut pojmuje wyłącznie jako *ideę*, *myśl*, t. j. który we wszechświecie widzi rozwój tej idei (Hegel). Hartmann używa na oznaczenie systematu Hegla wyrazu *panlogizm* i rzeczywiście świat jest u niego dyalektycznym rozwojem myśli, logiczności.

³⁾ *Księgi II Mojżeszowe; Exod. III, 14.* Tak tłumaczy Jakób Wujek

nia, której *oba* końce giną w nieskończoności czasów, w bezgranicznych przestworach wieczności.

Porównaliśmy *wieczność* do linii, której *oba* końce giną w nieskończoności. A przeto gdy mówimy o istnieniu *wiecznej przyczyny*, nie znaczy to jedynie *bez początku* istniejąca, ale i *bez końca*.

Wszystko też, cośmy dotąd mówili o pierwszej przyczynie, stosuje się tém samém i do ostatecznej przyczyny, do skończenia się przyczyn.

I filozofowie pesymiści bowiem przyznają istnienie ich absolutów bez początku (*Wola* jako *noumenon* u Schopenhauera, *das Unbewusste* u Hartmanna, *die einfache vorweltliche Einheit* u Mainländera), ale przytém dowodzą oni możności (Schopenhauer, Hartmann), a nawet konieczności (Mainländer) zniknięcia tych absolutów, a przynajmniej cofnięcia się ich z bytu (Hartmann).

I tak, Mainländer głosi absolutne unicestwienie, pogrążenie się istnienia w nicosć bezwzględna, *nihil negativum*; Hartmann zaś jakkolwiek nie jest pod tym względem równie stanowczym, to jednakże, jak to niżej zobaczymy ¹⁾, przechyla się na stronę prawdopodobieństwa takiego *zaśnięcia* absolutu i nieprzebudzania się go nadal. A lubo ta niestanowczość Hartmanna bardziej jest racjonalną, niż zbyt dogmatyczna pewność Mainländera, źle jednak licuje z tak absolutnie głoszoną przezeń *nirwaną* ²⁾. Pomijając jednak te odcienia w systematach

słowo hebrajskie *Jehovah*, ów tetragramaton יהוה, sformowany od słowa *Hajach* (być).

Podobne określenie *Brahmy* znajdujemy w *Upaniszadach* indyjskich. W *Katha Upaniszad*, w roku minionym po raz pierwszy wydanej, w części drugiej czytamy:

„Ani mowa, ani *manas* (t. j. organ skupiający pojęcia), ani wzrok go (Brahmę) nie dosięga. I jakżeż przedstawić go sobie inaczej, jak mówiąc: *On jest*” (VI, 12).

„....Istota ducha (*âtman*) objawia się temu, kto mówi: *On jest*” (VI, 13).

Porównaj tekst sanskrycki na str. 175 dzieła P. Regnaud: *Matériaux pour servir à l'histoire de la philosophie de l'Inde*; Paris, 1878. *Deuxième livraison*.

¹⁾ Przy rozbiorze wartości rękojmi osiągnięcia nirwany, dawanych przez samychże jej głosicieli. (Porównaj rozdziału niniejszego § 8).

²⁾ U Hartmanna istnienie zjawia się na widownią świata, w skutek zetknięcia się dwu elementów absolutu: *idei* i *woli*; słowem sam absolut może istnieć *in potentia*, ale nie przejawiać się w żadnym bycie. Takie unormowanie tych elementów w *duchu bezwiednym* (*das Unbewusste*) samo z siebie ciągnie następstwo: wieczność owego absolutu bez względu na sposób jego istnienia i przejawiania się. Taka metafizyczna, osnowa *filozofii nieświadomego* postawiła Hartmanna w bardzo trudném położeniu, które stało się dlań bez wyjścia, gdy zaprzagnął udowodnić głoszoną przez siebie nirwanę (§ 8).

wskazujących za cel świata i istnieniu—*nicość*, rzecz można, że w zasadzie cała współczesna nam szkoła filozofów pesymistów przekrawa pojęcie wieczności, przepoławia istotę absolutu, robiąc go bez początku, ale przyznając możność jego skończalności.

Dziwna tu niekonsekwencya, jakby wieczność mogła płynąć w jedną tylko stronę, jakby można było przyczynie od wieków istniejącej, naznaczyć pewien kres, granicę i datę zniknięcia.

Otóż to zasadnicze prawo umysłu naszego, prawo przyczynowości, które służyło nam za nieć Aryaduy, prowadzącą do samego absolutu oraz do zaznaczenia wieczności istnienia (w najogólniejszym słowa tego znaczeniu), posłuży nam tém samém i za broń odporną przeciwko współczesnej nam w filozofii niemieckiej a fanatycznej wierze w *nirwanę*.

Do przypuszczenia bowiem możności osiągnięcia nirwany, pesymiści niemieccy byliby wtedy dopiero upoważnieni, gdyby dowiedli, że ich absolut (*wola*) bytuje w czasie, t. j. gdyby mu wytknęli datę zjawienia się. Czego jednakże nikt jeszcze dowieść nie usiłował, tak dalece samo to przypuszczenie jest antylogiczném.

A takim sposobem widzimy, że gdybyśmy mogli przypuścić pierwszą przyczynę, bylibyśmy tém samém najzupełniej uprawnieni i do przypuszczenia ostatniego kresu działania téj przyczyny, czyli do przypuszczenia przyczyny niweczającej istnienie, niszczącej to co pierwsza przyczyna zdziałała, a raczej—ustanie wszelkiej przyczyny, wyczerpanie się jój zakresu. Byłaby to *causa finalis* ¹⁾, a jako celowość zawierałaby się już w osnowie pierwszej przyczyny, i na téj drodze *nicość bezwzględna* przedstawiłaby się nam: z jednej strony jako konieczność logiczna, z drugiej zaś jako konieczność dziejowa, albo raczej rozwojowa (biorąc ewolucyę świata za dzieje istnienia). Wtedy i punkt zero (*Nullpunkt*) Hartmanna i *punkt idealny*, punkt nicości Mainländera, odnalazłyby swoją przyczynę, swoją rację bytu; w pierwszej przyczynie wtedy łatwo byłoby już wysledzić metafizyczny zarodek nirwany, dążenie wszystkiego do nicości.

Mainländer obciął być konsekwentniejszym w uzasadnieniu nirwany, objaśnia więc powstanie świata jedynie celem Boga zniknięcia, a tym sposobem do programu nicości wciąga i samego Boga; lubo jednakże pozornie jest tu konsekwencya, konsekwencya w budowaniu systematu, ale cóż z tego, gdy budowa ta na niczém nieoparta wznosi się w powietrzu, a przytém pomijając już fantastyczność w takim opiewaniu losu świata, popołała tu Mainländer błąd zasadniczy przeciwko pojęciu absolutu, nieprzyznając mu niezbędnej, istotnej cechy jego—*wieczności*.

¹⁾ Bierzemy to wyrażenie w znaczeniu, jakie mu nadawali *perypatetycy* a następnie i *scholastycy*. Odróżniali oni w każdej rzeczy cztery przyczyny: 1) *causa efficiens*; 2) *causa materialis*; 3) *causa formalis*; 4) *causa finalis*. Ta ostatnia to właściwie cel, który rzecz dana powołaną jest osiągnąć.

Otóż powtarzamy jeszcze raz, pesymiści chcący udowodnić swoje nirwanę, powinni by jedynie tą drogą starać się ją uzasadnić, bo to jedyna droga logiczna, jedyna droga, na jaką wskazuje i której domaga się *racyonalne* myślenie. Ale jakżeż trudnym jest uzasadnienie takiego przypuszczenia, wręcz przeciwnego prawom logiki ludzkiej i wogóle tak sprzecznego z ustrojem myśli naszej.

Mogli byśmy wprowadzić, idąc po drodze, jaką Dawid Hume ¹⁾ torował Kantowi ²⁾ i na której ten ostatni tak wybitnie zajął stanowisko, rozgraniczyć świat *rzeczywisty*, niezależnie od naszego poznania istniejący, ów świat *sam w sobie* (*das Ding an sich*), od świata naszej wyobraźni, czyli istnienie prawdziwe od jego utudy, i twierdzić następnie, że to co przeciwne nawet wrodzonemu ustrojowi myśli naszej, jej kategoryom logicznym, może być prawdziwe po za sferą naszych dociekań, po za obrębem ludzkiej poznawalności, ludzkiej pojętności. Ale w takim razie, gdzie kryterium dla prawdy, gdzie chociażby najmniejsza rękojmia prawdopodobieństwa płodów naszych dociekań, wyników naszej pracy umysłowej? Skeptycyzm skrajny bowiem, logicznie pojęty, każe milczeć się i niekonsekwentnym czyni wszelkie badanie, wszelkie zaciekanie się rozumu.

Skeptycyzm taki co do poznania prawdy bezwzględnej prowadzi też, jak słusznie zauważył sam Hartmann, do przekonania, że wszystko cokolwiek istnieje, jest tylko pozorem, czyli innemi słowy, prowadzi do wiary w bezwzględną iluzję (*der absolute Illusionismus* ³⁾).

¹⁾ David Hume: *An Inquiry concerning Human understanding*. London, 1748.

²⁾ Imanuel Kant: *Kritik der reinen Vernunft*. Königsberg, 1781.

³⁾ E. v. Hartmann: *Das Ding an sich und seine Beschaffenheit, Kantische Studien zur Erkenntnistheorie und Metaphysik*. Berlin 1871.

Prawda, że i filozofia Hartmanna zdiera jedna po drugiej wszystkie iluzje, że jej zadaniem — wytrzeźwienie człowieka ze zbytnej jego wiary, a ztąd powyższe przekonanie Hartmanna wydać się może sprzecznym z osnową całej jego filozofii. W tém jednak niema jeszcze sprzeczności; inna bowiem rzecz skeptycyzm co do istnienia w ogóle i co do możności poznania prawdy, a inna zupełnie rzecz, skeptycyzm co do urzeczywistnienia się naszych pragnień, naszych dążeń i oczekiwań, jednem słowem wątpliwość co do realizacji naszych ideałów. To ostatnie właśnie głosi Hartmann, łącznie z całą szkołą filozofów pesymistów (Schopenhauer, Mainländer i inni).

Jezeli jednak w powyższej ocenie skeptycyzmu przez Hartmanna nie widzimy sprzeczności z jego systematem filozoficznym; to przecież, gdy mowa o iluzjach w ogóle, niemożemy pominąć innej sprzeczności, tkwiącej w całej szkole pesymistycznej. O ile bowiem pesymiści uważają siebie za wyleczonych ze wszelkich iluzji, popełniają oni błąd psychologiczny, gdyż wszyscy oni krążą i nadal w zaczarowanym kole złudzenia. Szkoła pesymistyczna bynajmniej nie zrywa z iluzjami.

Idealy i w niej pozostają, treść ich tylko się zmienia. A takim

Jeżeli zaś wymagania umysłu naszego, prawa logiczne, powinny być dla nas rękojmią, że dojdziemy do prawdy i służyć nam za jej kryterium, gdyż inaczej ustaje możność wszelkich dociekań i rozumowań; to, pytamy, na mocy czego pesymiści od tych praw myślenia logicznego wyzwolić się usiłują, to głosząc brak rozumu, w ogóle przejawu jakiegokolwiek bądź *myśli* we wszechświecie ¹⁾, to stwarzając nowe a sprzeczne z wymaganiami myśli naszej pojęcie *absolutu* (?) *rozdwojonego* (?) ²⁾ to wreszcie dzieląc zakres istnienia na dwa byty odrębne, dwa momenty zupełnie oddzielone od siebie, to jest moment istnienia Boga i moment istnienia świata, jako dwa szczeble do osiągnięcia nicości? ³⁾.

Naturalnie, że wolno każdemu wszelkie hipotezy stawiać na rynku filozoficznym, ale udawadniać rzeczy pewne takimi dowodami, które same w sobie już zawierają negację twierdzenia ⁴⁾, jest to, co najmniej—niezważać na wymagania logicznych prawideł myślenia, nieuwzględniać praw tożsamości i sprzeczności myśli. Jak zauważaliśmy jednak byłoby to jedynie możebnym w razie, gdybyśmy z zasady zaprzeczyli myślom naszym możności poznania istotnej prawdy, to jest gdybyśmy uważali wymagania logiki za zmysłowe formy naszego myślenia, którym nic w rzeczywistości nie odpowiada. Choć i wtedy uwalnianie się od tych form zmysłowych nie dałoby nam żadnej rękojmi, że dojdziemy do lepszych wyników, bo jak już wspomniano, obraca się wtedy w niwecz wszelkie kryterium myślenia a tém samym upadają i wszelkie pobudki do szukania drogi do prawdy wiodącej i badania osiągniętych drogą tą rezultatów.

To, *logicznie* nieusprawiedliwione stanowisko zajął w filozofii niemieckiej pomiędzy innymi i Schopenhauer.

§ 3. Skeptycyzm graniczy często z idealizmem a nawet z mistycyzmem.

Odziedziczywszy po Kancie skeptycyzm, Schopenhauer, nie wziął jednak po nim w spadku *wstrzemięźliwości filozoficznej*, zamiast więc

wspólnym ich ideałem jest właśnie—*nirwana*. Jak zaś niżej zobaczymy (§ 8) jestto właśnie wiara na niczem nie oparta. Ten illuzjonizm, z którego nieudało się i pesymlstom wyleczyć w zupełności, zlewa się z zasadniczym charakterem ich filozofii, to jest z dogmatyzmem i optymizmem (porów. § 9); a nawet, rzec można, to ostatecznie zawdzięczać oni powinni swemu niewyleczeniu się z dążeń idealistycznych a ztąd nakręcaniu, lubo bezwiednemu, całej filozofii do—nirwany. Na inném miejscu zobaczymy jak dalece było to naturalnym następstwem kierunku ich filozofii. Tu zwracamy jeszcze uwagę czytelnika na wzajemną łączność skeptycyzmu i illuzjonizmu (w pojęciu Hartmanna) z istotnym pesymizmem a dogmatyzmem—z optymizmem (ukrywającym się często nawet pod płaszczem filozofii pesymistycznej). (Porów. § 7 niniejszego rozdziału).

¹⁾ Schopenhauer. ²⁾ Hartmann (§ 5). ³⁾ Mainländer.

⁴⁾ *Skeptycyzm* Schopenhauera; *teorya prawdopodobieństwa* u Hartmanna; *nauki przyrodnicze i astronomia* powołane na stwierdzenie słabnięcia siły we wszechświecie przez Mainländera.

ograniczyć się na krytycyzmie wielkiego swego poprzednika, jał budować *systemat* filozoficzny, począł oceniać życie i nareszcie wskazał cel dla całej ludzkości.

Zapomniał jednak Schopenhauer o tém co sam głosił o subiektywizmie pojęć naszych, a mianowicie zapomniał on, że umysł jest *slugg woli* ¹⁾, materyalném jój narzędziem ²⁾, że rozum to nie miara bezwzględna rzeczy, to nie sprawdzian metafizyczny, ale tylko produkt woli, wytwór chwilowy mózgu, niemający nic wspólnego z istnieniem w ogóle; wytwór któremu nic nie odpowiada po za utudą (*der Schein*) nas otaczającą, że, wreszcie, wszystko cokolwiek przedstawia się nam jako istniejące jest fantasmagoryą, jest produktem myśli naszój, od niój wyłączenie zależném zjawiskiem.

„Zaledwie po tysiącoletnich dociekaniach i krążeńiach filozofii w dziedzinie *przedmiotowej* (*objektives Philosophiren*), odkryto nareszcie, powiada Schopenhauer, iż pomiędzy wieloma rzeczami nadającemi zagadkowość światu i wprowadzającemi nad nim w zadumę, najpierwszą i najważniejszą jest ta—że, jakkolwiek świat jest niezmiernym i wypełnionym w przestrzeni (*massiv*), to przecież istnienie jego (*das Dasein*) wisi na jednej nitce. Nitką tą jest każdorazowe przeświadczenie (*jedesmalige Bewusstsein*) w poznającym subiekcie, przeświadczenie, które istnienie całego świata warunkuje ³⁾.”

„*Świat*, powiada Schopenhauer, *jest mojem przedstawieniem*” ⁴⁾.

Oto teoria subiektywizmu myśli naszój, odziedziczona po Kancie i doprowadzona przez Schopenhauera do skrajnego sceptycyzmu. A przy tak postawionój kwestyi co do kryterium myśli naszój, jakżeż niekonsekwentnym wyda się każdemu Schopenhauer, gdy ocenia życie, gdy twierdzi stanowczo, że ono nie nie warto, gdy wreszcie wskazuje środki ocalenia, głosząc *nirwanę*.

1) Schopenhauer: *Parerga und Paralipomena*. Leipzig 1854 r., t. II, str. 78.

2) Schopenhauer: *Die Welt als Wille und Vorstellung*. Leipzig 1877 r. t. II. Księga 2. Rozdział 19. *Vom Primat des Willens im Selbstbewusstsein*.
 ...„Der Wille ist metaphysisch, der Intellekt *physisch*; der Intellekt ist, wie seine Objekte, *blasse Erscheinung*; Ding an sich ist allein der Wille: sodann in einem mehr und mehr bildlichen Sinne, mithin gleichnissweise: der Wille ist die Substanz des Menschen, der Intellekt *das Accidens*: der Wille ist die Materie, der Intellekt die Form: der Wille ist die Wärme, der Intellekt das Licht.” (Schopenhauer *l. c.* pag. 225).

3) Schopenhauer: *Welt als Wille und Vorstellung*, t. II, str. 4.

4) „*Die Welt is meine Vorstellung*—ist, gleich den Axiomen Euklids, ein Satz, den Jeder als wahr erkennen muss sobald er ihn versteht; wenn gleich nicht ein solcher, den Jeder versteht, sobald er in hört.” (Schopenhauer *l. c.*).

Obeznanych jednakże z historią myśli ludzkiej, niespodzianki takie dziwić nie powinny; na dnie wszelkiego skeptycyzmu bowiem mieści się idealizm, na dnie każdej *filozofii* ¹⁾ spoczywa jawny lub ukryty absolut ²⁾. Kant pomimo *subiektywizmu* myśli doszedł do *rzeczy sa-*

1) Prawda, że tak zwana *filozofia pozytywna* wyklucza ze swego programu pojęcia bezwzględne, jak *przyczynowość metafizyczną, celowość, Boga*. Ale 1) Konsekwentnie pojmowana *szkoła pozytywistów* nie jest filozofią, tylko *metodą badań*; 2) O ile zaś pytania metafizyczne, dotyczące się pojęć absolutnych, są nieodzowne przy wszelkich badaniach, dowodzą na sobie samych przedstawiciele pozytywizmu, którzy ilekroć razy chcą być filozofami, ilekroć razy chcą łączyć fakta w pogląd systematyczny, stają się bezwiednie metafizykami i wpadają nietylko już w skrajny idealizm ale nawet i w mistycyzm.

Naturalnie, że w tém winić nie można ich metody badań jako metody, ale możemy widzieć w tém dowód jak trudno jest myśli naszej obejść się bez potrącania o pytania absolutne, i jak ci co pytania te z zasady rugują z zakresu swoich badań, tém łatwiej w odwrotną wpadają przesadę.

Porównaj między innymi studyum nasze drukowane w *Bibl. Warsz.* w zeszytach za miesiąc czerwiec i lipiec z 1875 roku p. t. *Religia pozytywna czyli nowa powszechna religia ludzkości*. Rozbierając tam drugą fazę działalności umysłowej *Comte'a*, zwróciliśmy uwagę i na ostatnie prace *Littré'go*, dowodzące silnie rozwiniętego w nim metafizycznego elementu myśli. (Patrz wstępną część wspomnianego studyum (czerwiec), w osobnej zaś odbitce str. 8).

2) Niéma też żadnego *systematu* filozoficznego, w ogóle żadnej filozofii, któraby mogła rozumować bez uznania pytań bezwzględnych. Pozytywizm np. lubo podaje recepty na wyleczenie się z téj choroby umysłowej, bynajmniej nie dowodzi na sobie samym skuteczności tych przepisów. Zresztą i sami pozytywiści zmuszeni są uznać istnienie absolutu, a lubo filozofia ich ma ograniczyć się na pytań *względnych (relatives)*, jakkolwiek nie dąży ona do rozstrzygnięcia pojęć absolutnych; to jednak gdyby tylko przedstawiciele jęj chcieli zastanowić się nad tém, z kąd bierze się u nich pojęcie *względności*, musieliby przyznać, że w samej téj nazwie jest już uznanie antytezy absolutu a zatem, że głosząc *względność* wiedzy ludzkiej (*la relativité des connaissances humaines*), wychodzą bezwiednie z uznania istnienia pojęć *bezwzględnych*. I rzeczywiście pojęcie i poczucie bezwzględności tak dalece wrodzonym jest myśli naszej, że ominąć go nigdy nie bylibyśmy w stanie. A w takim razie psychologiczno-metafizyczne zbadanie przyczyny tego faktu powinnyby właśnie stanowić najgłówniejsze zadanie filozofii.

Słowem żadna filozofia nie przeczy istnienia absolutu, systemata różnią się tylko przekonaniem co do możności lub niemożności dotarcia do absolutu. *Herbert Spencer* nazywając absolut *the Unknowable* uznaje tém samym jego istnienie, a głosząc względność pojęć ludzkich, możność osiągnięcia nawet tych względnych pojęć, czyni zawisłą od istnienia tego absolutu. (*First Principles*. Część I. Rozdział IV). „Twierdzić, że nie możemy poznać absolutu, jestto, powiada *Spencer*, uznawać tém samym jego istnienie. Zaprzeczając możności dotarcia do *istoty* absolutu, przyznajemy w duchu, istnienie absolutu.” (Porównaj także zakończenie § 26, oraz § 60. *First Principles*).

měj w sobie (*das Ding an sich*); Schopenhauer, obaliwszy kryterium myśli znalazł inną drogę, niż rozum, by dojść do swego absolutu—*woli*.

Droga ta, to wewnętrzne umysłowe widzenie (*intellektuelle Anschauung*¹⁾). Jestto rodzaj kontemplacji a raczej natchnienia, w którym widzimy *bezpośrednio* istotę rzeczy.

Tylko takie bezpośrednie oglądanie absolutu daje nam, zdaniem Schopenhauera, prawdziwe poznanie²⁾, ono tylko zdolne jest zapewnić nam zbawienie, odwracając wolę naszą od życia, niszcząc ją w samym zarodku.

Otóż i wpłynęliśmy pełnemi żaglami na morze idealizmu a nawet mistyki. I któżby zrazu uwierzył, że uwieńczeniem skeptycyzmu może być mistycyzm? A jednak tak jest w rzeczywistości.

Powiedzieliśmy, że na dnie każdego skeptycyzmu tkwi idealizm. Tutaj u Schopenhauera skeptycyzm graniczy z mistycyzmem.

Nemezis logiczna sprawiedliwie dosięga Schopenhauera za przekroczenie zasadniczych praw logiki. Gwałt zadany prawom konse-

„Ce qui est au dela du savoir positive, powiada Littré, soit matériellement le fond de l'espace sans bornes, soit intellectuellement l'enchainement des causes sans terme, est inaccessible à l'esprit humain. Mais inaccessible ne veut pas dire nul ou non existant” (*Auguste Comte et la philosophie Positive*. Paris 1864, str. 519).

W inném dziele pisze Littré: „La domaine ultérieur est celui des chose qui ne peuvent être connues. La science positive professe de n'y rien nier, de n'y rien affirmer; en un mot elle ne connaît pas l'inconnaissable; mais elle en constate l'existence. Là est la philosophie supérieure; aller plus loin est chimérique; aller moins loin est désertter notre destinée. (*La science au point de vue philosophique; Les hypothèses de cosmogonie positive*).

¹⁾ Nazwę tę razem z pomysłem zapożyczył Schopenhauer od Schellinga, z tą jednak różnicą, że u Schellinga głoszenie wewnętrznego oglądania (*intellektuelle Anschauung*) wypływa z zasad jego filozofii (*Identitätssystem*), dążącej do pogodzenia dwóch zakresów bytu subiektywnego i obiektywnego (idealizmu i realizmu), jednoczących się w bezwzględnym i sobie świadomym bycie—*absolucie* (*der Transcendentale Idealismus*). Gdy tymczasem u Hegla toż same *wewnętrzne widzenie* (*intellektuelle Anschauung*) nie zgadza się 1) z jego skeptycyzmem kantowskim 2) z oddzielaniem pojęć woli od idei i wynoszeniem pierwszój do absolutu a robieniem drugiej narzędziem jej przechodniem. W ogóle w filozofii Schopenhauera można dopatrzeć wiele pomysłów zaczerpniętych z systematu Schellinga, lubo w odmienny sposób użytokowanych. Za taką kopalnię pomysłów, zdaje się, służyły mu głównie prace Schellinga z lat 1796 i 7, drukowane w *Niethammer's philos. Journal* pod tytułem: „*Philos. Briefen über Dogmatismus und Criticismus* oraz „*Abhandlungen zur Erläuterung des Idealismus der Wissenschaftslehre*.” Obie te prace przedrukowane zostały w Schellinga: *Philos. Schriften* wydanych w Landshut 1809.

²⁾ „*Alle Wahrheit und alle Weisheit liegt zuletzt in der Anschauung*.” (Schopenhauer: *Welt als Wille und Vorstellung*, t. II, str. 79).

kwencyi myśli, mści się na jego sprawcy, broń, którą mizantrop z Frankfurtu użył na zagładę istnienia, zwraca się przeciwko niemu samemu, *myślenie* które Schopenhauer uznał za bezsilne, ustępuje z jego systematu, ale miejsce jego zajmuje *przeczcucie*, a tym sposobem sceptycyzm popycha go w objęcia nie tylko już idealizmu ale i mistycyzmu.

I słusznie, kto dobiwszy do stałego ładu wszelkiej filozofii (*absolutu*) pali za sobą okręty, które niosły go przez tajemnicze morze praw logicznych; ten gdy chce powrócić do punktu wyjścia swojej filozofii (nirwany) zapożycza skrzydeł fantazyi lub idzie za popędem serca, a wtenczas nie rozum jest kryterjum dla takich systematów filozoficznych, ale uczucie, nie analiza zjawisk i myśli, ale wiara w osiągnięcie tego, co stanowi cel naszych pragnień, pobudkę naszych dążeń.

Wszystko to wiedzie nas do nader ważnej kwestyi, sposób rozwiązania której stanowi o bycie wszelkiej filozofii, daje podstawę wszystkim dociekaniom i wytyka cel dla odwiecznych badań naszych, lub też ubezasadnia je ogłaszając prawdę za niedościgłą a ztąd bezowocnym czyniąc ję szukanie. I na co bowiem filozofować, tworzyć systemata, zaciekać się w wywodach metafizycznych, szukać Boga we wszechświecie lub dopatrywać się Jego odbicia w duchu naszym, skoro niemamy żadnej pewności, że to myślenie nasze, to dociekanie doprowadzi do pewnych wyników, do rezultatów niezaprzeczonych, czyli w ogóle, że prawda jest nam dostępną? Jednym słowem, przedewszystkiem i każdemu chodzi o *uzasadnienie naszego poznania*, o rozstrzygnięcie wątpliwości, czy to o czém rozum nas objaśnia jest jedynie tylko *subiektywną* prawdą, czyli też prawdzie tej odpowiada rzeczywistość *obiektywna*.

Od czasu Kanta nikt już bez takiego zbadania siły naszego umysłu filozofować nie może.

§ 4. Uzasadnienie poznania ludzkiego równolegle przeprowadzone z wykazaniem jednolitości absolutu.

Uzasadnić nasze poznanie znaczy zgłębić wszystkie tajniki myśli, przeważać wszystkie niemal zdobycze wiedzy ludzkiej, rozstrzygnąć wszystkie ję sprzeczności i dać gotowy wyrób całej filozofii, czyli, praktycznie rzecz biorąc, odbiegnąć o całą przestrzeń międzyplanetarną oddzielającą nas od przedmiotu obecnej pracy. Dla tego też z lekka tylko dotknąć możemy danego pytania, dając ostateczne wyniki badań naszych, ich zaś stronę dowodową *szkicując za ledwie i to w najogólniejszych rysach*.

Chcąc jednak wprowadzić czytelnika w tę nową sferę myśli a raczej w to zboczenie od pracy niniejszej, umieścić go musimy w samym środku danej kwestyi. Że zaś niemożemy na długo odrywać uwagi jego od głównego przedmiotu badań naszych, to jest krytyki nirwany, przeto pomijając zarówno dogmatyczną jak i historyczną stronę tego nowego pytania,

uwodatniony tylko wybitniejsze, typowe kierunki, w jakich pytanie to uzewnętrznio się w dziejach myśli ludzkiej.

Kwestya *uzasadnienia myśli* naszej czyli *jój kryterjum* rozpada się na dwa pytania logicznie z sobą związane, a ztąd i w dziejach filozofii spotykamy dwa odpowiednie pytaniam tym dążenia, dwa prądy ściśle z sobą związane lubo chronologicznie oddzielone.

I tak najpierw rodzi się pytanie, czy prawa logiczne myśli, czy ogólne wyobrażenia nasze i związane z nimi pojęcia jak *przestrzeń, czas, prawo przyczynowości* są nam wrodzone (Kant); czy też wyrabiają się drogą doświadczenia, za pomocą zmysłów (Locke); jedném słowem czy są nam dostępne *a priori*, czyli też jedynie *a posteriori* do nich dochodzimy?

Sposób rozstrzygnięcia tych pytań stanowi *idealne lub empiryczne* stanowisko względem poznawania ludzkiego,

Myśl nasza nie poprzestaje jednak na rozstrzygnięciu tego pytania. W ślad za niém idzie inne.

To drugie pytanie, stanowiące w zakresie kryterjum myśli ludzkiej, jakby drugi stopień filozoficznej jój rękojmi, jest następującej osnowy: *czy rzeczy jakie poznajemy. czy prawdy logiczne są prawdami same w sobie czyli też wyłącznie tylko prawdami dla nas?*

Pierwsze utrzymuje *racyonalizm* (Spinoza, Decarrtes, Leibnitz ¹⁾, drugie *skeptycyzm*. Ten ostatni ma różne odcienia a głównymi typami jego są: *skeptycyzm empiryczny* Hume'go i *skeptycyzm idealistyczny*, czyli *subiektywizm myśli naszej* albo *idealny jój formalizm* Kanta.

W ogóle zauważyć można, że w nowszych dziejach filozofii spotykamy dwie grupy zapasników umysłowych, dwie, że się tak wyrazimy, *kampanie* logiczne, w których przedmiotem walki jedna i taż sama myśl, jedno dążenie, choć w odmiennój nieco formie przeprowadzone. Po stronie sensualizmu i empiryzmu stoją (lubo w pewném oddaleniu chronologiczném) Locke i Hume; po stronie idealizmu, (także przez czas oddzieleni)— Leibnitz i Kant ²⁾.

¹⁾ Do możności poznania prawdy dochodzi prócz racyonalizmu i *mistyryzm* (*Malebranche*), choć inną drogę wskazuje a mianowicie: natchnienie, wewnętrzne widzenie. *Ideizm* znowu Hegla albo jak go Hartmann nazywa *panlogizm* wysnuwa nawet byt cały z myśli: dyalektycznemu procesowi myśli odpowiada wedle Hegla rzeczywistość.

²⁾ Oto chronologiczne ostoje téj, nader ważnej dla rozwoju myśli ludzkiej, podwójnej kampanii: *Leibnitz versus Locke, Kant versus Hume*.

I	}	Locke, <i>An essay concerning human understanding</i> , 1690 r.
		Leibnitz, <i>Nouveaux essais sur l'entendement humain</i> , napisane 1704 roku, a wydane po śmierci autora w 1765 r.
II	}	Hume, <i>Inquiry concerning human understanding</i> , 1748.
		Kant, <i>Kritik der reinen Vernunft</i> , 1781.

Jak zaś Locke stanowił punkt wyjścia dla racjonalizmu Leibniza, tak Hume dla subiektywizmu Kanta.

Badanie dziejów tych zapasów umysłowych nader jest pouczającym, bo antytezy zarysowują się tam wyraźnie, a popchnięte do swój krańcowości—ostrzegają świadka téj walki o wzajemnych ich niebezpieczeństwach; z drugiej zaś strony dla tych którzy wnikają głębiej w istotę i naturę myśli ludzkiej, dla tych którzy przeważają na szali sądu wszystkie te wyniki badań,—antytezy saméj myśli słabną, zbyt ostre kanty zaokrągłają się, chropowatości ścierają na korzyść prawdy bezwzględnej, wykazującej w duchu pojednawczym gdzie leży przyczyna tak sprzecznych rezultatów, gdzie przesada i jednostronność.

To pojednawcze a raczej uniwersalne stanowisko, polega zdaniem naszym, na łączeniu idei w myśli naszej, będącej z ideą przenikającą wszechświat, to jest na łączeniu praw logicznych myśli z logiką istnienia. Takie jedynie stanowisko uzasadnia wiarę w możliwość dojścia do prawdy, a tym sposobem daje podstawę wszelkiej filozofii, wszelkim dociekaniom naszym.

Jak uniwersalizm ten pojmujemy, i na czém go opieramy pozna czytelnik z dalszego toku rozumowań naszych, mających na celu wykazać bezzasadność metafizycznych podstaw pesymizmu. *Uzasadnienie zaś myślenia ludzkiego* przeprowadzimy równoległe z uwydatnieniem drugiego atrybutu Boga, atrybutu od pojęcia absolutu nieodłącznego, to jest pojęcia *jedności, nierozłączności* tego ostatniego ¹⁾.

Wykazaliśmy wyżéj, że *wieczność* jest jednym z atrybutów Boga, drugim jego atrybutem jest *jednolitość*. Mnogość zjawisk świata łączy się w jedność celu i jedność harmonii, myśl nasza, będąca odbiciem téj myśli i harmonii, jaka świat cały przenika, łączy téż wszystko w jedną, syntetyczną całość, szuka praw dla zjawisk i uogólnia te prawa w jedno *praprawo*, w jedno wspólne źródło przyczynowości. A skoro mówimy *prawo*, mówimy *konieczność*, czyli *przyczynowość* logiczna. Inna bowiem rzecz *prawidłowość* powta-

¹⁾ Zaznaczyliśmy trzy typy niekonsekwencji w filozofii pesymistycznej, płynące z uzasadniania pewnych poglądów dowodami, zawierającemi w sobie zaprzeczenie tego, do udowodnienia czego były właśnie użyte (patrz pracy niniejszej § 2 in fine). Wykazaliśmy tę niekonsekwencją u Schopenhauera, która go pchnęła na drogę mistycyzmu (§ 3). Rozwijając dalej pojęcie jednolitości, jako nieodłączne od pojęcia absolutu, *eo ipso* usprawiedliwimy zaznaczenie niekonsekwencji Hartmanna w głoszeniu rozdwojenia w łonie jego absolutu (*das Unbewusste*). Bliższe uzasadnienie krytyki absolutu Hartmanna znajdzie czytelnik w § 5. tegoż rozdziału. Nielogiczność pomysłu Mainländera, oddzielającego dwa byty, dwa stadya istnienia, nieprzepartą tamą, niczém niezapelnioną przepaścią logiczną, wykazemy w § 6.

rzania się zjawisk a inna zupełnie ich *przyczynowość* ¹⁾). To rozróżnienie jest nieodzownym dla zrozumienia szczebli, po których myśl nasza wznosi się ku absolutowi. Nierozróżnienie tych pojęć było właśnie przyczyną rozwielenia się w nauce *teorii sensualizmu*, to jest przypisywanie całego procesu myślenia wyłącznie sile zmysłów naszych. (Locke a po części i Hume w teorii prawa przyczynowości). Otóż to prawo czyli ta konieczność logiczna jednocząca zjawiska świata w jedną nierozzerwalną całość, piętnująca je wspólnością celu i harmonią w dążeniu, jest wyrazem jednolitości. wszech-harmonii i wszech-syntezy absolutu. Ale z kąd mamy prawo do tego rodzaju uogólnień, z kąd myśl nasza czerpie tę siłę logiczną zwiążującą to, co zmysłom naszym przedstawia się w mnogości zjawisk?

Zmysły bowiem nasze nie są w stanie związywać faktów, łączyć je w jeden nierozzerwalny łańcuch przyczyn i skutków; zmysły, co najwięcej, drogą refleksu, mogą zestawiać pewne zjawiska, zestawiać mechanicznie ale nigdy *logicznie*. Pojęcia zaś na samym zmysłowym materiale oparte, nie są w stanie przedstawić nam *przyczynowości*, ale co najwyżej *prawidłowość* w powtarzaniu się pewnych zjawisk. Przy tym ostatnim procesie myśli (jaki posiadają i zwierzęta), umysł odegrywa już pewną rolę; *pamięć tych zestawień* odtwarza je przy następnych ich powtórzeniach się, ale *rozum* szukający przyczyn koniecznych, następstw logicznych, nie bierze w nim jeszcze żadnego udziału.

„Pojętność (*perception*) zwierząt, mówi Leibnitz, ma pewne podobieństwo do rozumu; ale pojętność ich opiera się wyłącznie na pamięci zjawisk, bynajmniej zaś nie na znajomości przyczyny tych ostatnich. Jeśli np. pies ucieka przed kijem, którym był uderzony, to dlatego, że pamięć psa łączy z kijem ból, jakiego doznał. Podobnie postępują i ludzie, dodaje Leibnitz, o ile są empirykami, to jest w trzech-czwartych częściach czynów swoich: wyglądają oni np. dnia jutrzejszego na tój zasadzie, że dotąd tak bywało. Tylko astronom, dodaje Leibnitz, oczekuje dnia na mocy rozumu, a nawet i to przewidywanie straci swą podstawę, gdy przyczyna dnia, która bynajmniej nie jest wiecznotrwałą, istnieć przestanie. Prawdziwe bowiem rozumowanie, ciągnie dalej Leibnitz, opiera się na prawdach koniecznych czyli wiecznych (*les vérités nécessaires ou éternelles*), jakeimi są prawdy logiczne, arytmetyczne, geometryczne, w których łączność idei jest niewątpliwą, a wniośki niechybne” ²⁾.

1) *Prawidłowość* zjawisk, to jest zestawianie pewnych faktów stale sobie towarzyszących, dostępną jest i zwierzętom; *przyczynowość*, to jest logiczne łączenie zjawisk, przyznawania im konieczności prawa, pojmuje tylko człowiek.

2) Leibnitz, *Principes de la nature et de la grâce*; nr. 5. Porów. także *Monadologie*; nr. 26—28. Leibnitz porównywa tu wiedzę empiryczną i ro-

„Związywanie (*Verbindung, conjunctio*) mnogości nie może być nigdy dziełem samych zmysłów,”¹⁾ powiada *mędrzec królewiecki*, ów skeptyk *par excellence*, bo skeptyk z *uzasadnienia*, a nie z *zasady*. „Ze wszystkich zaś przedstawień naszych (*Vorstellungen*), dodaje on, związywanie jest jedynem przedstawieniem nie ze świata przedmiotowego czerpaném, ale mającém swe źródło w samym subiekcie, gdyż łączenie takie jest aktem samodzielności tego ostatniego”²⁾.

W ogóle cały ustęp z *krytyki czystego rozumu* Kanta, mówiący o możności łączenia pojęć,³⁾ jest wyborną bronią przeciwko szkole sensualistów i empiryków.

Jasna analiza myśli wiodła go jeszcze dalej, postawiła go niemal u granicy dzielącej świat ułudy od prawdy bezwzględnej.

Od uwydatnienia czynności myśli naszej objawiającej się przy łączeniu zjawisk, Kant przechodzi następnie do wykazania *syntetycznej jedności apercpepy*⁴⁾, którą odróżnia od *kategorji jedności*⁵⁾ i którą stawia jako zasadę, pierwiastek i źródło naszych pojęć wrodzonych: jedném słowem po szczeblach dedukcyi Kant dochodzi do jedni pierwotnej, do uznania *transcendentalnej jedności tkwiącej w samopoznaniu ludzkim* (*die transcendente Einheit des Selbstbewusstseins*) i dzięki której mamy możność poznawać *à priori*.

To też doszedłszy z nim razem do zaznaczenia *tęj syntezy primordialnej*, *tęj tajemniczéj jednolitości myśli naszej*, skupiającej w sobie wszystkich zjawisk i form świata odbicie, ogniskującej w jednym punkcie różnorodność i sprowadzającej do jedni największe napozór sprzeczności—wpada się mimowoli w zadumę i nie wie się zrazu co bardziej podziwiać: czy potęgę dedukcyi i jasność rozumowań Kanta, czy też fragmentarność myśli ludzkiej w ogóle.

Jakto! więc można było siłą geniuszu dotrzeć tak daleko i zatrzymać się nagle, stanąć na krawędzi metafizyki, nie zajrzawszy nawet w jęj głąb' nieskończoną?

zumową do wiedzy lekarzy empiryków, nieznających teorii, i lekarzy teoretycznie wykształconych.

1) Imanuel Kant's *Kritik der reinen Vernunft*, herausgegeben von Hartenstein, Leipzig, 1853, str. 122: „Allein die *Verbindung* (*conjunctio*) eines Mannigfaltigen überhaupt kann niemals durch Sinne in uns kommen und kann also auch nicht in der reinen Form der sinnlichen Anschauung zugleich mit enthalten sein;...”

2) „... und unter allen *Vorstellungen* die *Verbindung* die einzige ist, die nicht durch Objekte gegeben, sondern nur vom Subjecte selbst verrichtet werden kann, weil sie ein Actus seiner Selbsthätigkeit ist.” (Kant, *l. c.*).

3) *Transcendentale Deduction der reinen Verstandesbegriffe*. § 15. *Von der Möglichkeit einer Verbindung überhaupt*. *l. c.* str. 121—3

4) Kant, *Kritik der reinen Vernunft* § 16. str. 123 § 17. str. 125—6.

5) Kant, *l. c.* § 16. str. 123. § 10.

Krok tylko jeden, jeden polot myśli, jedno nowe ogniwo nanizane na łańcuch logicznego rozumowania, a Kant oderwałby się od świata uludy i stanąłby drugą stopą na gruncie równie twardym, równie pewnym jak analiza myśli; doszedłby do wyników równie pewnych jak ten, że zmysły nie zwiążują różnorodności.

Gruntem tym—analiza zjawisk świata, a tym wynikiem—pojęcie *universalizmu*, prowadzące do zrozumienia łączności pomiędzy jedną myślą i jedną sferą świata¹⁾.

Dlaczego Kant jeszcze jednego kroku nie zrobił, dlaczego nie dojrzał w świecie całym tego samego rozumu, tych sanych praw jakie myśl naszą przenikają; dlaczego rozum zrobił podobną formą bez treści, podobną uludą jak wrażenia zmysłów naszych? Czy nie uczynił tego jedynie przez zbytnią ostrożność *krytycyzmu* swojej filozofii, przez powzięte z góry przekonanie o niemożliwości znalezienia spójni pomiędzy bóstwem a człowiekiem; czy też w istocie nie miał on logicznie do tego prawa? Jednym słowem czy nie chciał, czy też rzeczywiście nie mógł Kant tego uczynić?

Oto pytania, które treścią swoją wypełniły całą dobę stuletnią filozofii, a i dotąd jednomyślnie rozstrzygniętymi jeszcze nie zostały.

Prawda, że i Kant dotarł do rzeczy samej w sobie (*das Ding an sich*), ale jak wspomnieliśmy, nie uzasadnił on tego filozoficznie; do absolutu swego nie doszedł on, lecz skoczył, osiągnął go *par sauts et par bonds*. A jeśli doń skoczył, to dlatego, że jak powiedzieliśmy, na dnie skeptycyzmu, nawet filozoficznie uzasadnionego, za jaki podaje Kant swój skeptycyzm, leży idealizm, istotą każdej filozofii jest absolut.

Pomijamy bliższe wyjaśnienia tej kwestyi spornej, czy dojście do *das Ding an sich* wypytywa z jego metody badań czy nie²⁾, a śpieszymy do tego, co ma dla nas bezpośrednią ważność. Otóż zaznaczamy, że podobnie jak Leibnitz³⁾ wykazał jednostronność poglądu Locke'a,

¹⁾ Dążenie do wynalezienia tej jedni, do spojenia tego co Kant rozerwał, stało się też hasłem całej szkoły filozofów idealistów niemieckich. Cały kierunek filozofii pokantowskićj, *kierunek jednoczący*, w wybitniejszych swoich przedstawicielach (Fichte, Schelling, Hegel) wyraża usiłowanie myśli germańskićj, by wyzwolić się od narzuconych jej duchowi pęt skeptycyzmu. *Subiektywny idealizm* Fichtego, *transcendentalny idealizm* Schellinga i *bezwzględny idealizm* Hegla, oto stopniowanie, oto szczeble idealistyczne, po których myśl wspina się ku absolutowi: oto falowanie a raczej oscylacje ducha od *subiektywizmu* Kanta do *panideizmu* Hegla. Wyrzucona za nawias filozofii *idea* (jako absolut) pod różnemi formami powraca do spekulacji niemieckićj, aż ostatecznie zasiada na jej tronie. Ta apoteoza idei nie trwa jednak zbyt długo. Schopenhauer ponawia znak zapytania przez Kanta postawiony, strąca *ideę* z olimpu germańskićgo i ogłasza wszechwładne panowanie—*woli*.

²⁾ Dla nas udowadnia ono jeszcze silniej ten pewnik, że na dnie każdej filozofii tkwi pojęcie absolutu, którego nikt uniknąć nie zdoła.

³⁾ *Nouveaux essais sur l'entendement humain*. Livre 2d, § 2:

twierdzącego że *w myśli naszej niema niczego, prócz tego tylko co jej dostarczają zmysły* ¹⁾, dodając do powyższego zdania: *z wyjątkiem saméjże myśli* ²⁾; tak znowu Kant krytycznym rozbiorem myśli ludzkiej obalił skeptycyzm Humego, skeptycyzm dogmatyczny, nieuzasadniony krytyką rozumu. Słowem pierwsze pytanie co do kryterium myśli naszej, to jest pytanie, czy pewne ogólne pojęcia są nam wrodzone, czyli téż zdobywają się przez doświadczenia zmysłowe, zostało rozstrzygnięciem na korzyść idealizmu i racjonalizmu, zarówno przez Leibniza jak i Kanta. Co do drugiego jednak pytania, czyli drugiego stopnia rękojmi poznania naszego, myśliciele ci różnią się zasadniczo; rozchodzą się oni na dwie strony: jeden wpada w objęcia racjonalizmu, od krańcowości którego ratuje go uniwersalizm (Leibnitz), drugi dochodzi do idealnego skeptycyzmu (Kant).

Przedsięwziawszy filozoficzną krytykę siły umysłu naszego, ocenę jego istoty, Kant doszedł do negatywnego rezultatu, bo do *subiektywizmu* pojęć, który niczém inném nie jest, jak skeptycyzmem filozoficznym, krytycznym w przeciwstawieniu do skeptycyzmu empirycznego, dogmatycznego (Hume). Wedle Kanta bowiem, podobnie jak zasadnicze pojęcia rozsądku (*Verstand*), czyli kategorye myśli naszej ³⁾, są jedynie formami myślenia (*Gedankenformen*), którym nic nie odpowiada poza własną ich sferą; tak téż jedynie subiektywnym nabytkiem myśli są wrodzone rozumowi naszemu (*Vernunft*) idee (*Ideen*) jak *Bóg, świat, dusza*. A jeśli Kant nie doszedł do zupełnego skeptycyzmu i do zaprzeczenia istnienia odpowiednich ideom tym przedmiotów, to jedynie wychodząc z zasad czysto *praktycznych* ⁴⁾; tak zwany przezeń *rozum praktyczny*, dopiero wskazał mu konieczność uznania istnienia Bo-

„L'expérience est nécessaire, je l'avoue, afin que l'âme soit déterminée à telles ou telles pensées, et afin qu'elle prenne garde aux idées qui sont en nous; mais le moyen que l'expérience et les sens puissent donner des idées? L'âme a-t-elle des fenêtres, ressemble-t-elle à des tablettes; est-elle comme de la cire? Il est visible que tous ceux qui pensent ainsi de l'âme, la rendent corporelle dans le fond. On m'opposera cet axiome, reçu parmi les philosophes: que rien n'est dans l'âme qui ne vienne des sens. Mais il faut excepter l'âme même et ses affections. *Nihil est in intellectu quod non fuerit in sensu*, excipe: *nisi ipse intellectus*.” Dzieł Leibniza wydania Janet'a t. I. str. 78.

¹⁾ *Nihil est in intellectu quod non fuerit in sensu*, *Locke*.

²⁾ „*nisi ipse intellectus*.” *Leibnitz*.

³⁾ Kategorye te — to pojęcia *przyczynowości, jedności, konieczności*, i. t. d. Wedle Kanta takich wrodzonych nam kategoryi myśli jest dwanaście, dzielą się one na 4 grupy, to jest pojęć: *ilościowych, jakościowych, stosunku i sposobu istnienia* (Modalität). Porów. *Kritik der reinen Vernunft*. 3. Abschnitt § 10. Von den reinen Verstandsbegriffen oder Kategorien. Wydania Hartensteina str. 106.

⁴⁾ *Kritik der praktischen Vernunft*, Riga, 1788 r.

ga, nieśmiertelności duszy i wolnej woli, a to dla umożliwienia moralnego rozwoju człowieka.

Pomijamy tę nielogiczność, bo jeśli nawet Kant w tym względzie nie wytrwał w swoim krytycyzmie, to jest doszedł do wyników praktycznego rozumu, to jeszcze nie dowodzi, żeby on sam, żeby jako wyznawca zasad czystego rozumu dowierzał tej drugiej seryi wyników. Ważniejszą nierównie luką w jego *krytycznej* filozofii jest twierdzenie, że po za subiektywnymi ideami niema odpowiadającej im rzeczy, czyli prawdy przedmiotowej

Że idee te są związane z ustrojem myśli naszej, to prawda, ale żeby były tylko ułudnemi formami, na to niema dowodu. Przeciwnie, jeżeli w myśli naszej są z konieczności rzeczy pewne formy i idee, od otaczającego nas świata i zjawisk jego niezależne; to ta ich konieczność wskazuje źródło nie przypadkowe ale celowe, wskazuje metafizyczne *prawo przyczynowości*, a nie samą tylko prawidłowość funkcji myślenia. Słowem jeżeli mamy wrodzone pojęcia o jedności, konieczności, przyczynowości, to dla tego, że ta jedność, ta przyczynowość i konieczność warunkują byt nie tylko rozumu naszego ale i istnienia w ogóle. Ta logiczność dla tego tkwi w myśli naszej, że jest podstawą wszelkiego ducha, wszelkiej myśli. A jeśli mózg nasz uorganizowany jest logicznie, to dla tego, że logiczność przenika świat cały. Nim zaczęliśmy myśleć logicznie, logiczność już istniała.

Niezwrócenie uwagi przez Kanta na metafizyczną przyczynę wrodzonych pojęć naszych, doprowadziło go do *subiektywizmu*, zamiast do uniwersalizmu idei i rozumu.

A miał jednak Kant poprzednika wielkiego, kolosa myśli, potęgę geniuszu—Leibnitza, którego myśli nienależało usuwać jako produktu wyłącznie tylko *racyonalizmu*, to jest zbytniego dowierzania dedukcyjnój sile rozumu, gdyż pomysły jego znajdują swoje potwierdzenie i w zjawiskach otaczającego nas świata.

I Leibnitz, podobnie jak Kant, obalił dowody sensuizmu i empiryzmu, ale nie zatrzymał się on na subiektywizmie myśli, lecz przeniknął wzrokiem ducha niezmierzoną. A jeśli Kant mógłby mu zarzucić, że uniósł się na skrzydłach *czystego rozumu*, który nie daje rękami odpowiedności myśli naszej ze światem; to znowu Leibnitz miałby prawo odeprzeć, że Kant jedynie praktycznym rozumem starał się dopełnić *luki* czystego rozumu i że przeto do absolutu doprowadziły go potrzeby nie *logiczne*, ale *etyczne*.

Dla jasności zestawimy jeszcze działalność Leibnitza i Kanta na polu myśli ludzkiej: porównamy filozoficzną ich doniosłość.

Kant jasno dowiódł i to, dla nas przynajmniej nie podlega już żadnej wątpliwości, że źródłem poznania naszego nie są jedynie zmysły, ani że z przyzwyczajenia wynika pojęcie nasze o przyczynowości (Hume); Leibnitz wykazał, że myśl nasza nie jest czystą tablicą (*tabula rasa*), na której zmysły zapisują dopiero treść swoją (Locke), ale że są

pewne prawa, pewne pojęcia wrodzone, pomagające nam jednoczyć to, czego dostarczają zmysły. I na tém polu Kant wraz z Leibnizem służyć mogą za odporę przeciwko całemu sensualizmowi i empiryzmowi.

Podobnie jak wedle Kanta, tak i wedle Leibniza samém doświadczeniem (empiryzmem, badaniem *à posteriori*) nie moglibyśmy poznać rzeczy, gdyż wszystkie pojęcia empiryą zdobyte, jako oparte na faktach *szczegółowych* i *przypadkowo* pod rozbiór nasuwających się, noszą cechę ułamkowości i przypadkowości; przeciwnie zaś poznanie racjonalne, drogą rozumową prowadzone (*à priori*), t. j. oparte na zasadach (*principes*), które z istoty swojej są: *ogólne, konieczne* i *wieczne*¹⁾—daje nam dostęp do prawdy.

Te zasady, te prawdy ogólne, powszechne, są wedle Leibniza wrodzone duszy naszej, lubo znajdują się w niej nie w całej pełni swego rozkwitu, ale w zarodku (*virtualiter*)²⁾. Gdyby te wieczne prawdy (*vérités éternelles*) nie leżały na dnie duszy naszej, gdyby nie były jej wrodzone, nie byłibyśmy w stanie mieć żadnego *racyonalnego* pojęcia o rzeczy, t. j. nie *przypadkowego*, ale *rozumnego*; żadna też nauka nie byłaby możliwą³⁾.

„Świadomość tych prawd wiecznych i nieodzownych (*nécessaires*), powiada Leibnitz, odróżnia nas od zwierząt; ona to jest źródłem rozumu naszego, ona warunkuje nauki, ona wreszcie daje nam możność poznania siebie samych i *Boga*⁴⁾).

¹⁾ „Il y a aussi deux sortes de vérités, celles de raisonnement et celles de fait. Les vérités de raisonnement sont *nécessaires* et leur opposé est impossible, et celles de fait sont *contingentes* et leur opposé est possible. Quand une vérité est nécessaire, on en peut trouver la raison par l'analyse, la résolvant en idées et en vérités plus simples, jusqu'à ce qu'on vienne aux primitives” (Leibnitz. *La Monadologie*, nr. 33).

„...ceux qui connaissent ces vérités nécessaires sont proprement ceux qu'on appelle animaux raisonnables, et leurs âmes sont appelées esprits. Ces âmes sont capables de faire des actes réflexifs, et de considérer ce qu'on appelle moi, substance, monade, âme, esprit; en un mot les choses et les *vérités immatérielles* (Leibnitz: *Principes de la nature et de la grâce*, nr. 5.)

²⁾ *Connaissances virtuelles, virtualités naturelles*. Odpowiada to prawdom powszechnym (*prolepses*) Stoików oraz pięknemu wyrażeniu na określenie prawd tych użytemu przez Skaligera: *saemina aeternitatis* (nasiona prawd wiecznych). Porów. także Leibniza: *Nouveaux essais sur l'entendement humain, Avant-propos*.

³⁾ „Et c'est ce qui nous rend susceptibles des sciences ou des connaissances démonstratives” (*Principes de la nature et de la grâce, fondés en raison*; nr. 5. Porów. *Monadologie*, nr. 29—30.

⁴⁾ Leibnitz: *Monadologie*, nr. 29; porów. także nr. 30, oraz: *Principe de la nature et de la grâce fondés en raison*; nr. 5.

Tyle wspólności pomiędzy Kantem i Leibnitzem; tu jednak zatrzymać się musimy. Ostatnie wyrazy przytoczonego zdania Leibniza (poznanie siebie i Boga), rzuca niezapelnioną przepaść pomiędzy tych dwu myślicieli.

Lubo Kant, podobnie jak Leibnitz, doszedł do *idei wrodzonych*, ale postawiwszy na czele swojej filozofii *subiektywizm* myśli, nie mógł już szukać dalej jej istoty; nie dał też nam głębszego uzasadnienia istnienia myśli wogóle, a idei wrodzonych w szczególności, słowem nie wyjaśnił ich genezy. Leibnitz przeciwnie, nie zatrzymał się przy znaczeniu pojęć wrodzonych, on idzie dalej, stara się uzasadnić swój racjonalizm, a tym sposobem rozszerza widnokrąg swojej filozofii. Myśli ludzkiej każe on biedz w nieskończoność, a ścigając światy prawidłowo mknące w przestrzeniach i szukając wielkości w najmniejszych przejawach stworzenia, dochodzi do *wszechharmonii* ¹⁾, a przez nią do *uniwersalizmu*. I Kant za podstawę swojej filozofii wzięł metafizykę, ale metafizyka jego ogranicza się wyłącznie na rozbiórce *możliwości poznania* prawdy, gdy tymczasem Leibniza metafizyka bada *możliwość rzeczy*; pierwsza analizuje i ocenia *myśl naszą*, druga *uzasadnia istnienie* w ogóle, a więc i *myśli*.

Jak zaś co do pojęć wrodzonych, Leibnitz stanął na drodze najracjonalniejszej ze wszystkich, jakimi dotąd idealiści pojęcia aprioryczne objaśnić usiłowali, a to dzięki odnalezieniu pojęć tych w *istocie ducha ludzkiego*, jako jego cechy nieodzownej, jako siły w nim w zarodku spoczywającej (*virtualiter*); tak znowu głosząc *prawo nieprzerwalności*, *prawo ciągłości* (*la loi de la continuité*) ²⁾, zarówno w świecie materialnym ³⁾, jak i duchowym ⁴⁾, uwydatnił jedność ducha,

¹⁾ Leibnitz: *Nouveaux essais sur l'en. h.*; przedmowa. Wyd. Janet'a, t. I, str. 16: „Tout est conspirant (*σὺμπνοια πάντα*, comme disait Hippocrate)... cette admirable harmonie préétablie de l'âme et du corps, et même de toutes les monades ou substances simples...”

„...l'harmonie des âmes et des corps, qui fait que chacun suit parfaitement ses propres lois sans être troublé par l'autre et sans que le volontaire ou l'involontaire y doivent être distingués” (*Nouveaux essais*; Livre IV, chap. 16, str. 507.

²⁾ Leibnitz: *Essais de Théodicie*. Partie III, nr. 348. „...cette belle loi de la continuité, que j'ai peut-être mise le premier en avant et qui est une espèce de pierre de touche dont les règles de M. Descartes, du P. Fabry, du P. Paradies, du P. Malebranche et d'autres, ne sauraient soutenir l'épreuve;...”

³⁾ Leibnitz: *Nouveaux essais sur l'en. h.*; Livre IV, chap. 16, str. 507: „Tout va par degrés dans la nature et rien par saut, et cette règle à l'égard des changements est une partie de ma loi de la continuité. Mais la beauté de la nature... demande des apparences de sauts et pour ainsi dire des chutes de musique dans les phénomènes...”

„Tout est plein dans la nature. (*Principes de la nature et de la grâce*; nr. 3. Porównaj także nr. 6.)

⁴⁾ „...une perception ne saurait venir naturellement que d'une autre

a ztąd i dostępność prawdy dla myśli naszej. Z obu tych pomysłów wyprowadzićby można ścisłe złączenie praw myśli subiektywnej z prawami ducha wogóle, a ztąd związanie tych światów, które Kant rozzerwać później usiłował.

Jak pomiędzy ciałami niema próżni, tak również pomiędzy monadami czyli duchami, niema, zdaniem Leibniza, świata pustego, oddzielającego je zupełnie. Jak w przyrodzie niema przerw ¹⁾, albo raczej są one tylko pozornymi, gdyż w rzeczywistości stanowią prawidłowe przejścia, np. pauzy w muzyce; tak i pomiędzy monadami niema rozdziału, w ich hierarchi zaś niema najwyższej monady, podobnie jak w stopniowaniu rzeczy niema najwyższego stopnia: wszystko bowiem dąży do nieskończoności ²⁾.

Dalej, jak w przyrodzie niema *vacuum formarum*, tak wszelki możliwy stopień indywidualności, wszelka idea skończona ma odpowiednią sobie monadę, musi koniecznie być wcieloną w konkretną istotę.

To prawo ciągłości Leibniza jest pomysłem nader wielkim i nader doniosłego znaczenia w nauce. Kreśląc je Leibnitz prześcignął zdobywcze naukowe późniejszych wieków; cały *evolucjonizm* dzisiejszy i *prawo doboru* również opiera się na nieistnieniu w przyrodzie *vacuum formarum* ³⁾. Dla nas jednakże nierównie ważniejszym jest udowodnienie, że nie istnieje *vacuum metaphysicum*. Prawo ciągłości jest bowiem prawem uniwersalnym, ono nie stosuje się wyłącznie tylko do zjawisk świata ale i do — myśli, do świata ducha. To też pomiędzy przyrodą a duchem w systemacie Leibniza niema sprzeczno-

perception, comme un mouvement ne peut venir naturellement que d'un antre" (*Monadologie*, nr. 23).

¹⁾ Można by też w tym względzie zgodzić się z Józefem Supińskim oo do używania wyrazu *przeroda* zamiast *przyroda* (*Myśl ogólna fizyologii wszechświata*). Rzeczywiście *przeroda* oznacza wprost przeradzanie się, ciągły ruch i życie, ale ozy wolno dla celów filozoficznych zmieniać brzmienie wyrazów, a powtóre: przeradzanie się ma jeszcze specjalne znaczenie: zmiany gatunków, ich przeradzanie się, a ztąd oznaczałoby i zawię i zamało.

²⁾ „Car tout va à l'infini dans la nature" (*Monadologie*, nr. 6). „Elles (les monades) vont toutes confusément à l'infini, au tout" (*Monadologie*, nr. 60).

³⁾ Dziwimy się też dlaczego uozeni przedstawiający filiację pojęć naukowych, odnoszących się do najnowszych tych teoryi przyrodniczych i szukający zarodka tych myśli aż u filozofów greckich (jak n. p. u Arystotelesa); dlaczego, powiadamy, nie uwydatniają zasługi na tém polu Leibniza. (Oscar Schmidt. *Nauka o pochodzeniu gatunków i Darwinizm* W polskim przekładzie pr. A. Wrzeźniowskiego. Warszawa 1875). Odsyłamy ciekawszych do ważniejszych miejsc w dziełach Leibniza, które dowodzą jak dalece twórczą siłą gieniuszu Leibnitz przeniknąć zdołał prawa ustroju świata: *Nouveaux essais* IV. 16.; *Monadologie* N. 74. 82; *Principes de la nature* N. 3. 6.; *List VI. do Bourguet*; *Consid. sur le princ. d. l. vie*; IV, V i VI *list do Wagnera*.

ści, antytezy; przeciwnie, panuje tam *analogia*, inaczej, powiada on, byłaby to luka, przerwa w planie stworzenia.

„Ci, którzy zwierżetom zaprzeczają duszy a innym tworom świata materyalnego, wszelkiej pojętności i ustroju organicznego, powiada Leibnitz, nie rozumieją dokładnie wszechmocy Bożej, gdyż przyznając lukę w skali doskonalenia się czyli przerwy w postępowym łańcuchu form, wprowadzają tém samym pojęcie niegodne Boga. Lukę tę można nazwać *próżnią metafizyczną*, przyznawanie jednakże takiej próżni jest równie niedorzeczném jak przypuszczanie próżni materyalnej czyli fizycznej.”¹⁾

Wykazanie tej jedni, tego węzła łączącego każde jestestwo ze wszechświatém²⁾ stanowi osnowę filozofii Leibnitza, a pomimo nawet, że i jego stanowisko w filozofii było dogmatyczném, gdyż z góry dowierzał dedukcyjnej sile umysłu naszego, że *ex tripode* głosił nieomylną pojęć wrodzonych i dostępność dla nas *prawd wiecznych, nieodzownych (vérités éternelles, nécessaires)*; to jednak od tego skrajnego racjonalizmu ratowało go *uniwersalne* stanowisko w obec filozofii, to jest szukanie w świecie zewnętrznym odbicia i stwierdzenia prawd wiecznych. Opierając zaś całą swoją filozofię zarówno na prawach myśli, jak i na prawach zjawisk otaczającego nas świata, stanął Leibnitz o całe niebo wyżej od sceptycyzmu.

Już przez to samo, że uwzględnił psychologiczny rozbiór myśli i że w brew twierdzeniu idealistów dogmatyków udowodnił istnienie *pojęć małych* czyli *nieświadomych (perceptions petites, perc. insensibles)*,³⁾ że do oznaczenia istoty duszy wprowadził pojęcie zarodka

1) Leibnitz, *Epis. ad Wagnerum de vi activa corporis VI*:

„Qui vero brutis animas, aliisque materiae partibus omnem perceptionem et organismum negant, illi divinam majestatem non satis agnoscunt, introducetes aliquid indignum Deo, et incultum, nempe *vacuum* perfectionum sen formarum, quod *metaphysicum* appellare possis, non minus rejiciendum, quam *vacuum materiae seu physicum.*”

2) „...cette liaison, que chaque être a avec tout le reste de l'univers.” *Nouveaux essais sur l'ent. h.* Avant-propos, wyd. Janet'a str. 16.

3) „Ces petites perceptions forment cette liaison que chaque être a avec tout le reste de l'univers.... On peut même dire qu'en consequence de ces petites perceptions le présent est plein de l'avenir et chargé du passé, que tout est *conspirant (σύνπνοια πάντα...)* et que dans la moindre des substances des yeux aussi perçants que ceux de Dieu, pourraient lire toute la suite des choses de l'univers.” (*Nouveaux essais sur l'ent. h.*, Avant-propos, str. 16).

„C'est aussi par les perceptions insensibles que j'explique cette admirable harmonie préétablie de l'âme et du corps.”

„En un mot les *perceptions sensibles* sont d'un aussi grand usage dans la pneumatique, que les *corpuscules* dans la physique et il est également déraisonnable de rejeter les uns et les autres, sous prétexte qu'elles sont hors de la portée de nos sens. Rien ne se fait tout d'un coup, et c'est une

ducha i rozwijanie się jego z siebie samego, to jest rozwijanie się ducha w nieskończoność; Leibnitz oparł filozofię swoją zarówno na idealizmie jak i realizmie, gdyż zarodek myśli objaśnił on duchową jego istotą a rozwój tego zarodka siłą natury, siłą *analogiczną* ze zjawiskami świata zewnętrznego ¹⁾.

A takim sposobem duch ludzki u Leibnitza, ani jest gotową już substancją udzieloną nam od Boga w całej pełni jej rozkwitu (dualizm Descartes'a), ani też nie przedstawia pustej tablicy, na której zmysły kreślą swoje prawa (Locke). Myśl nasza nie jest ani obcą naleciałością z zewnątrz do nas wnikającą ²⁾, siłą zapożyczoną, ani też płodem zmysłów naszych; słowem ani w zupełności obcą nam istotą, ani też wyłącznie naszym wytworem. Duch ludzki czyli dusza jest duchem w zarodku, dążącym do samorozwoju drogą samopoznania; myśl nasza jest *istotą* ducha, cechą odeń nieodłączną, a raczej zdolnością ducha do rozwijania się w nieskończoność.

Otóż prawo ciągłości fizycznej i metafizycznej, wzajemna łączność pomiędzy światem materji i sferą duchową, rozwijanie się ducha drogą coraz jaśniejszego przedstawiania sobie ³⁾ wszechświata i prawd ogólnych, wiecznych—stanowią właśnie zdobycz i oryginalność filozofii Leibnitza, która, że użyjemy ulubionego porównania jój twórcy, rzeczywiście *brzemienną jest w następstwa*.

Z tych kilku punktów wytycznych filozofii Leibnitza, z tych kilku pomysłów, rzuconych śmiałym polotem geniuszu, ale rozrzuconych tu i owdzie po dziełach jego i nie rozwiniętych w systemat filozoficzny, a przez nas tu zaledwie naszkicowanych a nawet tylko zaznaczonych, zbudowaliby można całokształt syntetycznej filozofii, jednoczącej dwa byty: materji i ducha i wskazującej dla badań i dociekań naszych nieskończoność, *uniwersalizm*.

Tylko takie jednoczenie zjawisk wszechświata, tylko takie wiązanie różnorodności daje punkt oparcia dla badań filozoficznych; ono tylko zapewnia nam możliwość dojścia do trwałych wyników filozofii, bo ono tylko daje *reklamę* prawdy. Rozrywanie bytów materji i ducha prowadzi do dualizmu, w obec którego rozczłonkowana myśl nasza, naprożno dąży do źródła istnienia, naprożno szuka punktu oparcia: bie-

de mes grandes maximes et des plus vérifiées, que la nature ne fait jamais des sauts." (l. c. p. 17).

„Tout cela fait bien juger, que les perceptions remarquables viennent par degrés de celles qui sont trop petites pour être remarquées." l. c. p. 17-18.

¹⁾ *Nouveaux Essais*. Livre IV. Chap. 16. §. 12.

²⁾ „Les monades n'ont pas de fenêtres." Leibnitz (Monadologie, N...)

³⁾ „Elles (les monades) vont toutes confusément à l'infini, au tout, mais elles sont limitées et distinguées par les degrés de perceptions distinctes" (Leibnitz, Monadologie, N. 60.)

gnie ona po dwu liniach równoległych, ginących w nieskończoności, ale nieznajdujących żadnego możliwego punktu zetknięcia. Dziś przy tak wielkich postępach i tak bogatych odkryciach w dziedzinie przyrodoznawstwa i filozofia nowe znajduje podstawy, nowe odświeżają się dla niej horyzonty; widokrąg jej nie zacieśnia się bynajmniej, ale rozszerza, a lubo nauki ścisłe i przyrodzone głoszą dumnie wyzwolenie się od filozofii, zerwanie raz na zawsze z metafizyką, to jednak ta ostatnia pozostaje i nadal *światłem nauki*, wedle szczęśliwego wyrażenia jednego z myślicieli ¹⁾.

Po za ostatnią komórką życia, po za tym rozsądkiem wszelkiego istnienia wyrasta jeszcze olbrzymi znak zapytania i tu zaczyna się metafizyka, tu strzeże wrót prawdy, drogi do absolutu—filozofia. Czy absoluty są nam dostępne, to inne pytanie; zapewne że istoty rzeczy nikt zbadać nie jest w stanie, choćby dla tego samego, że myśl nasza nie może ogarnąć wszystkiego a przytém koło jej działalności zbyt wazkie a narzędzia zbyt słabe. Ale jeżeli zakres tak mały, to jednak i w tym zakresie mieści się cała nieskończoność, niewyczerpane nigdy pole dla badań i dociekań. A z tego, że nam niedostępna wszystkość, nie idzie zatém, by w naszym zakresie bytu wszystko było złudzeniem i utudą, by w najmniejszych nawet zjawiskach nie przebijała też sama myśl wszechświata, tenże duch bezwzględny, nieogarnięty i nieskończony zarówno w nieskończoności małej jak i wielkiej.

Wszelkie téż twierdzenie o subiektywizmie myśli naszej jest przesądaniem kwestyi rękojmi poznania prawdy czyli kryterium myśli, a jako takie grzeszy dogmatyzmem.

Kant na mocy badań swoich miał wszelkie prawo twierdzić, że pewne formy i kategorie myśli oraz pewne idee są nam wrodzone; niemiał jednak prawa wyciągać ztąd wniosku i podawać go stanowczo, za prawdę nieomylną, że wszelkie prawdy przez nas poznane są natury subiektywnej. Że pewne formy i kategorie myśli są związane z organizmem myśli naszej czyli z jej organem—mózgiem; że zmysły i doświadczenia same nie dostarczają nam całej treści pojęć, lubo pobudzają i rozwijają myślenie: wszystko to należy uznać za rzecz pewną i jasną, a badaniom Kanta i Leibnitza przyznać wielką wagę w udowodnieniu drogą filozoficznój dedukcyi tego, co równolegle idący rozwój wszystkich gałęzi przyrodoznawstwa stwierdza coraz silniej. Ale z tego cośmy razem z Kantem za rzecz dowiedzioną uznali nie wypływa jeszcze, żeby w świecie zewnętrznym, w świecie nas otaczającym nie było niczego coby myśli naszej odpowiadało; żeby jedném słowem logiczne wymagania myśli, pewne jej kategorie, jak prawo przyczynowości, wieczności i harmonii czyli jednolitości istnienia były mrzonką, złudzeniem, oazą, jaką widzi spragniony spoczynku wędrownik wśród nieskończonej pustyni,

¹⁾ *La métaphysique set la lumière de la science.* E. Vacherot: *La métaphysique et la science ou principes de métaphysique positive.* Paris 1863, t. III, str. 405.

ale której nie dosięgnie swemi krokami, bo to tylko złudzenie. Otóż twierdząc że w świecie zewnętrznym niema przedmiotów odpowiadających myśli naszej, Kant wpadł w dogmatyzm, bo nie dał na to dowodu. I to stanowi lukę w jego teorii, to zbliża go do dogmatycznej filozofii poprzedników jego, a przez to samo zmniejsza *krytyczne* stanowisko, jakie Kant *jedynie* zająć pragnął w dziejach filozofii. To też i *krytycyzm* Kanta nosi odcień idealizmu, co nas dziwić nie powinno; na dnie każdego skeptycyzmu bowiem, jak zauważyliśmy, chociażby nawet subiektywizmu, to jest skeptycyzmu filozoficznego, udowodnionego (za jaki Kant swój krytycyzm podaje),—na dnie każdego skeptycyzmu powiadamy, leży z konieczności rzeczy *idealizm*.

Idealizm snujący wszystko wyłącznie z *myśli naszej*, tę ostatnią jedynie za kryterium prawdy uważający i dowierający jej bez granic czyli *racyonalizm*, słusznie potępionym został przez Kanta jako dogmatyzm; ale w takim razie czyliż skeptycyzm nie jest także dogmatyzmem, czyliż bowiem tak zwany subiektywizm Kanta będący przeciwagą racjonalizmu można nazwać wyłącznie krytycyzmem? Słowem niedaném było Kantowi ograniczyć się na krytycyzmie, podobnie jak pozytywistom nie daném jest ograniczyć się na samej metodzie badań; na dnie każdej filozofii bowiem tkwi absolut.

Jeżeli zaś ani racjonalizm ani skeptycyzm nie daje zupełnej prawdy, nie znaczy to jeszcze, ażeby idealizm będący wspólną ich podstawą był kierunkiem z zasady błędnym, i żeby empiryzm jedyną był drogą do prawdy wiodącą. Empirya jest metodą badań a skoro stanąć pragnie na równi z filozofią (empiryzm), to jest skoro przechodzi w metafizykę, staje się także idealizmem i jeszcze skłonniejszą jest wtedy niż inne kierunki do wpadnięcia w dogmatyzm a nawet mistycyzm.

Jedyną drogą do prawdziwej filozofii jest *uniwersalizm*, taki mianowicie uniwersalizm, jaki wyżej rozwinęliśmy, to jest idealizm przeniesiony z myśli naszej na myśl absolutu, czyli idealizm złączony z empiryzmem idealnym; *idealizm* o ile myśl stawia się na świeczniku istnienia i *empiryzm idealny* że tak nazwiemy, o ile w świecie nas otaczającym poszukuje się myśli absolutu, o ile dla wyjaśnienia naszej myśli przywołuje się w pomoc zjawiska nas otaczające. Takie badanie przyrody w najogólniejszem słowa znaczeniu daje trwałość naszym badaniom a zarazem rękojmię dojścia do prawdy przedmiotowej a nie tylko podmiotowej (Kant).

Takie łączenie dwóch metod badań opiera się na pierwiastku jednolitości, postawionym za kanon wszelkiego istnienia a więc zarówno istnienia świata jak i myśli naszej. Ale czy mamy prawo wierzyć w jedność, w harmonię myśli naszej i otaczającego ją świata? Otóż na to odpowiemy, iż daleko łatwiej przypuścić, że jednolitość stworzenia, że owa harmonia, która przestwory świata przenika, jest wspólną zasadą bytu wszystkiego co istnieje, aniżeli wierzyć bez żadnego na to dowodu, że mózg nasz inaczej był stwarzany, wedle innych praw rozumu jak wszechświat; że dla naszej myśli inne wynalezione zostały prawa, aniżeli dla myśli wszechświata przenikającej: że jednym słowem jesteśmy obcym elementem wśród świata,

istotami żyjącymi z niego i w nim obracającymi się ale niemającymi nic wspólnego nie tylko już z jego osnową materyalną, zjawiskową, ale i z duchową jego zasadą, z rozumem jaki objawia się w prawach nim rządzących. Otóż wedle Kanta mózg należałoby uwolnić od łączności materyalnej ze światem a myśl naszą od styczności lub analogii z myślą świat przenikającą. *Prawo jednolitości*, jedności, które w zarodku znaleźliśmy u Leibniza a które podnieśliśmy do drugiej zasady bytu ¹⁾, każe nam usunąć te przypuszczenia a tym sposobem daje nam ręką poznania prawdy. Inna rzecz, powtarzamy, czy ją w całości ogarniemy, czy dla nas jest dostępną w zupełności; ale to pewna, że wszystko nie jest złudzeniem, wyłącznie tylko *fatamorganą*. A zresztą nawet i to co widzimy w myśli, co jest dla nas w danej chwili fatamorganą, nie wyłącza się od praw myślenia, nie wyzwala się od praw przyczynowości i jednolitości, będących kanonami dla wszelkiego istnienia czy myśli czy zjawisk.

Jeśli wędrownik nie znajduje w daném miejscu oazy, obraz której widział przed sobą, to nie dowodzi jeszcze że oaza ta nie istnieje: gdyby jęj wcale nie było, nie odbiłyby się w warstwach powietrza; gdyby prawa łamania się światła nie były zawsze i wszędzie obowiązującymi, gdzie tylko światło istnieje, wędrownik nie ujrzałby jęj odbicia przed sobą. Ta, ożywcza dla duszy naszej, oaza—istnieje, prawda absolutna nęci wzrok duszy nie jednego znużonego na tym padole wędrownika i szczęśliwy kto ujrzy chociażby tylko jęj odbicie, chociażby tylko jęj *fatamorganę*. Omyli się on może co do miejsca i kierunku położenia tęj oazy, ale tęp niemniej nasyci duszę swoją tym czarownym, ożywczym widokiem. A widok taki to wieczność—dla istnienia, to nieskończoność—dla myśli.

Myśl ludzka dzielić może atomy bez końca i rozszerzać może przestrzeń—bez granic. A podstawą wszystkich tych zjawisk jest prawo przyczynowości i prawo ciągłości, a ztąd wieczność i jednolitość.

Zastosowanie tych praw myślenia czyli praw *istnienia w ogóle* do zjawisk najbardziej różnorodnych i sprzecznych napozór, prowadzi nas do prawdy. Bo ta cząstka prawdy jaką odkrywamy, co do natury swojej nie różni się od prawdy absolutnej, zakres jęj inny, ale istota rozumu też sama. Jeśliby Bóg mógł myśleć jak my myślimy, jeśliby myśli Jego nie były raczej tworzeniem, niż abstrakcją myślową, podobnie jak myśl która przez mózg nasz przesuwą się: to i u Boga zarówno jak i u ludzi promienie kota byłyby sobie równe.

Nim bowiem kto nakreślił koło, promienie jego były już równe; nim świat zjawił się na widowni bytu, nim myśl nasza w prawa logiczne uzbrojoną została, rozum i jego prawa były wieczną prawdą, a ztąd i prawem koniecznym dla wszelkiego istnienia, więc i dla bytu naszego. A jeśli tym naszym rozumem, granicami materyi i zmysłów odciętym

¹⁾ Za pierwszą zasadę bytu a zarazem możności poznania naszego uznaliśmy *prawo metafizycznej przyczynowości* (§ 2).

od jego źródła wiecznego—od bytu uważanego w sobie, jedném słowem Boga ¹⁾),—nie możemy poznać Tego ostatniego w Jego istocie, w całości Jego atrybutów, to możemy poznać Go z dzieł, z objawień się Jego, z tworów wszechświat zamieszkujących i z całego obszaru zjawisk istnienia.

Badania tego rodzaju każą nam wszędzie widzieć harmonią, jedność, *przyczynowość* ²⁾, to jest celowość. Ztąd jak wieczność uznaliśmy za atrybut istnienia (w najogólniejszém słowa tego znaczeniu), a doszliśmy do tego pojęcia przez przemienność form i istot, słowem przez czasowość tworów; tak musimy téż uznać jedność, jednolitość w zjawiskach wszechświata, wszechistnienia, a dochodzimy do téj jedności drogą mnogości, różnaitości, a nawet—antytezy w pojedynczych zjawiskach, łączących się w jedną całość. Dla ducha bowiem uzbrojonego w teleskop myśli, jakim jest wzrok puszczony w dal wieków i badający przyczynę przyczyn, zacierają się różnorodności i widnieje tylko jedność, harmonia, podobnie jak przemienność typów i bytu dla tegoż ducha przedstawia wszędy pulsujące wieczne życie. Jak do pojęcia dobra dochodzimy przez zestawienie go ze złem, do pojęcia piękna przez brzydotę, do pojęcia prawdy przez zaznaczenie fałszu; podobnie téż do jedności dochodzimy przez różnaitość, a nawet przez antytezy. Jak kolory tęczy skoncentrowane są w ognisku wydającym jedno światło bezbarwne, podobnie zjawiska świata widziane oczyma ducha, zlewają się w jedną całość. A że taka jednolitość może łączyć się jedynie z pojęciem wieczności, bo dla rozbicia jedności potrzebaby zatrzymać wieczność, przerwać tok jój, rozerwać łańcuchowe następstwo; to i pojęcie to jednolitości złączyć musimy z pojęciem wieczności i odnieść do pojęć absolutnych, czyli uznać je za atrybut albo objawienie bóstwa, absolutu.

Jedność objawia się w różnych formach w przyrodzie, a po szczegółach jój uzewnętrznień się, dochodzimy do jedni najogólniejszój; słowem w pojęciu jedności jest pewne stopniowanie. Stopniowanie to nie zmienia istoty rzeczy, zasadniczego pojęcia jedności, gdyż wypływa ono zawsze z jednego źródła, ale zmienia formę jój przejawiania się. Tém właśnie stopniowaniem jedności, odróżniają się pomiędzy sobą oddzielne byty, odrębne istoty. Można téż powiedzieć, że siła jedności, potęga jednoczącego elementu w istotach, czyli siła ich ducha idzie równolegle ze wzrastającym powikłaniem, z potęgującą się w nich różnorodnością; słowem z bogactwem treści, zawartój w pojedynczych tworach wszech-świata, wzrasta ich siła skupiająca, czyli ich odrębność duchowa. Im bowiem większa siła potrzebną jest dla opanowania tych antytez, dla skierowania ich ku jednemu celowi; tém jedność ta jest bardziej zaakcentowaną, silniej zarysowaną i tém wybitniejszą odznacza się *indywidualnością* ³⁾.

1) Będącego wedle szczęśliwego wyrażenia *Spinozy*—*causa sui*, a wedle naszego systematu *causa aeterna*.

2) Przyczynowość to znaczy nie tylko prawdziwość, ale konieczność téj prawdziwości, logiczną jój zasadę.

3) Zwracamy uwagę na znaczenie wyrazu *individuum* i *indywidualność*.

Jedność objawia się nam w różnych formach w przyrodzie. I tak: w świecie materii a raczej w świecie zewnętrznym ¹⁾, mamy całą skalę uogólnień praw i stopniowe schodzenie ogółu do szczegółów. Jednoczenie tych ostatnich tém większą wydatnia potęgę, im większa jest rozmaitość mających się opanować zjawisk, jakoto: prawa mechaniki niebieskiej, prawa fizyczne, chemiczne, biologiczne czyli objawy życia w organizmach w coraz bardziej skomplikowanych ich składnikach i w coraz wybitniejszej potędze i jaśniejszej harmonii, bo harmonii złożonej z największych dyssonansów, jakie z konieczności rzeczy powstają wśród różnorodności specjalnych żywiołów i wśród takiego mnóstwa odcieni i własności składników. Najwyższy stopień takiej jedności przedstawia nam tu na ziemi świat organiczny. Organizm wszelki jest też typem pojęcia jednolitości, to jest pewnego centrum duchowego, skupiającego w sobie dzięki organizacyjnej sile swojej najróżnorodniejsze elementy świata; a wśród organizmów najpotężniejszym przedstawicielem harmonii i siły duchowej, jest organizm biologiczno-duchowy z cechą osobowości czyli indywidualizmu, jaki uzewnętrznia się w człowieku. Pojęcie jedności, harmonii organicznej i duchowej, dochodzi w nim do najwyższej, dla nas przynajmniej, potęgi. Duch ludzki jest tą duchową jednością, w której władze ducha dochodzą do samowiedzy i samopoznania; dusza ludzka ogniskuje w sobie różnorodności, co warunkuje jej swobodę, a dzięki tej jedności jest ona *indywiduum κατ' ἑξοχην*, czyli przedstawia się jako *indywidualność*. Dzięki samopoznaniu posiadamy osobowość, a dzięki samodzielności osobowość tę rozwijamy sami, wyrabiając w nas coraz silniejszą indywidualność, która zdobywa się walką, piętnuje się charakterem.

Powiedzieliśmy, że jednia, jednolitość, jest atrybutem Boga, że

Pierwszy oznacza to, co się już nie dzieli (*in-dividuo*), co się nie rozpada na części, jednem słowem jednostkę, całość w sobie zamkniętą. Pojęciu jednostki można bardzo szerokie nadawać znaczenie, np. jednostka społeczna—człowiek. *Indywidualność* oznacza już wyższy stopień pojęcia jedności, oznacza typowość, niezmienność duchową, odrębność cech np. charakteru, czy też wybitność myśli, słowem samodzielność. Wogóle powiedzieć można, że to co stanowi *jednolitość* w organizmie, w świecie materii, co ją skupia w pewną formę i nadaje jej treść wyłączną, to odniesione do życia duchowego, stanowi *osobowość*. Jednolitość organiczna może być nazwaną jednostką organiczną, *indywiduum*, jednolitość duchowa w pewnej duchowej jednostce stanowi *indywidualność*. *Indywidualność duchowa* jest *osobowością silnie zaakcentowaną*.

¹⁾ Z umysłu mówimy w świecie *zewnętrznym*, pojmując przez to świat zewnątrz nas będący, t. j. uważając nas samych, a raczej myśl naszą, za centrum, za pozycję ogniskującą odnośnie do badanych zjawisk; nie mówimy zaś świat materalny, bo i w tym świecie zjawisk najbardziej bezwiednych nawet, przebija duch; samo prawo, jakie niemi rządzi jest już widocznym dla nas objawem niewidzialnego ducha, a raczej myśli jego genezą harmonii, czyli prawa będącej.

dla nas najwyższym objawem takiej jedności jest indywidualność, czyli osobowość ludzka już wyrobiona duchowo. Otóż ta osobowość, ta jaźń jest w nas odbiciem osobowości, jaźni absolutnej. Do poprzednich więc istotnych cech absolutu dodać musimy pojęcie osobowości, czyli, że absolut jest osobowością, ale osobowością nieograniczoną, bo w duchu swym jednoczącą wszystkie odbłyски indywidualności. Duch Boży utrzymuje w jedni najbardziej różnorodne elementa świata, jest on, że się tak wyrazimy, osią, wkoło której krążą światy, jest on harmonią dźwięków wszechstworzenia.

Otóż i określiliśmy absolut, jakim on przedstawia się nam na mocy wymagań, już nietylko wyłącznie etycznych, ale wymagań *metafizycznych*, wymagań opartych na uwzględnieniu zjawisk świata i wniesienia w wewnętrzną duchową stronę człowieka.

Na mocy uznania prawa przyczynowości, nietylko w mózgu naszym (Locke, Hume) ale i w bycie nas otaczającym, wyprowadziliśmy z niego wieczność istnienia, a następnie jednolitość zjawisk świata. Na mocy uznania tej jednolitości dochodzimy do przekonania, że tak zwane *subiektywne* prawa myśli naszej (Kant), są odbiciem w nas myśli absolutu, że wszystkie tak zwane kategorie myśli naszej dlatego tylko i o tyle są obowiązującymi dla logiki rozumu, że i o ile przenikają świat cały. A ztąd jeżeli mówimy o prawach przyczynowości dla myśli naszej, to również dla myśli świat cały przenikającej, jeśli mówimy o uniwersalizmie, wieczności, jednolitości istnienia i myśli, to również dlatego, że ona we wszechświecie przebija.

Streszczając teraz wszystko, cośmy o kryterium myśli naszej mówili, równoległe z niem prowadząc zaznaczenie jednolitości Bożej i łączności zjawisk świata materii i świata duchowego, powiemy że istnienie filozofii związane jest z istnieniem absolutu, czyli Boga i jeśli mówimy teraz o *nirwanie wobec metafizyki*, to dlatego, że świadomi jesteśmy położenia naszego nie wobec nicości, ale wobec *wielkiego nieznanego*, owęj *Istności przedwiecznej, jednolitej*, której *duch* odzwierciedla się we wszechświecie.

Ztąd też mamy przekonanie, że przecież prawdę poznać możemy, chociażby i nie w całkowitym jej kształcie, choćby tylko jedną jaką miliardową jej cząstkę, dla nas dostępną. Dlatego też i prawo przyczynowości w najwyższem jego pojęciu nie przedstawi się nam wyłącznie jako przyzwyczajanie się myśli, *nawyknięcie* jej (*a matter of habit or custom*) do zestawiania (*conjunction*) pewnych zjawisk *stale sobie towarzyszących*, a niemających pomiędzy sobą węzła konieczności (*causal link*), czyli konieczności metafizycznej (Hume) ¹⁾; aui też jako zasa-

¹⁾ Hume: *An Inquiry concerning Human Understanding*. Sect., VII. Hume zaprzecza koniecznego związku (*necessary connection*) pomiędzy przyczyną (*cause*) i jej skutkiem (*effect*). Wszystko co możemy wiedzieć o stosunku pewnych zjawisk pomiędzy sobą, sprowadza się, zdaniem jego, do zestawiania

dnicza wprawdzie podstawa myśli naszej, nieodzowna forma rozumu, tém niemniej jednak niedająca żadnej rękojmi istotnej prawdy, będącój tylko subiektywnym naszym przedstawieniem świata i jego zjawisk (Kant) ¹⁾. Przeciwnie zaś, to prawo przyczynowości przedstawia się nam jako zlewające się z pojęciem wieczności istnienia, a tym sposobem służy nam za ogniwo, wiążące prawdę subiektywną z obiektywną i daje nam zarazem punkt oparcia przy badaniach świata i dochodzeniu prawdy, wskazując możliwość zetknięcia się myśli naszej z myślą absolutu.

A do takiego pojęcia, do takiego kryterium dochodzimy na mocy przekonania, wspartego i udowodnionego spostrzeżeniami zjawisk nas otaczających, oraz zatapianiem się we własną naszą istotę. Wszystko to doprowadziło nas do wniosku, że myśl, to jest logiczność świat cały przenikająca i nasza myśl są zbratane spójnią metafizyczną, że prawa logiki, czyli rozum, jest olbrzymiem ogniwnem, skuwajacém wszystkie zjawiska świata, zarówno świata przyrody jak i świata myśli, w jeden nierozzerwalny łańcuch stworzenia, w kołowym swym obrocie rozpościerający się w nieskończoność i roztaczający się — w wieczność.

Słowem rozum, którym świat jest nacechowany, znajduje odzwiek w myśli naszej, a ta znowu jest odbiciem wspólnego źródła *prawidłowości, jedności i harmonii*—Boga. Absolut przenika wszystko, a raczej wszystko jest w absolutcie. Inaczej nie rozumielibyśmy

takowych, do niezmiennego związku pomiędzy niemi (*invariable conjunction*), ale nigdy do koniecznej ich zależności (*causal link*).

Słusznie zauważył Lewes (*History of Philosophy*, t. II, str. 317), że samo następstwo faktów, chociażby niezmienne, nie wystarcza do zrozumienia przyczyny, inaczej bowiem dzień byłby przyczyną nocy, błyskawica przyczyną pioruna. Sprawiedliwie też odróżnia on *causal nexus* od *casual sequence, connection* od *conjunction*. Porównaj także: Lewes l. c. t. II, str. 319—322.

¹⁾ Imanuel Kant's: *Kritik der reinen Vernunft*, 1781. Tu Kant styka się z Schopenhauerem.

Ten ostatni uważał filozofię Kanta za jedyną, z pośród wszystkich, godną głębszego badania. Podobnie Mainländer za swoich prawodawców uważa Kanta, a następnie Schopenhauera. Dziwna rzecz tylko, dlaczego uznając skrytyczną stronę w filozofii Kanta za najwyższy szczyt, do jakiego myśł ludzka doszła, ani Schopenhauer, ani Mainländer, nie rozwinęli elementu tego konsekwentnie, ale wpłynęli na ów „bezbożny ocean transcendentalizmu,” o niebezpieczeństwach którego tenże sam Kant ostrzegał.

Schopenhauer przytém odwraca pojęcie stosunku woli do rozumu; nie umysł u niego warunkuje wolę, ale odwrotnie wola powoduje umysł, który jest jej funkcją. A takie pojmovanie tego stosunku woli do rozumu, uważa on za jedyny prawidłowy wynik filozofii Kanta. Tu już przebija dążność do apoteozy woli, tu skeptycyzm zlewa się z idealizmem. O przykłady takich połączeń nie trudno w dziejach filozofii, a tenże sam Kant, który natchnął całą szkołę pesymistów (prócz Hartmanna) skeptycyzmem, przedstawia pod tym względem prototyp.

zasad logicznego myślenia, nie moglibyśmy wzajemnie wymieniać swoich poglądów i spierać się o ich prawdziwość. Inaczej nie wytwarzalibyśmy systematów filozoficznych, ani wykrywalibyśmy praw naukowych przez uogólnienie prawidłowości zaznaczanej w zjawiskach świata.

Jak w sumieniu naszym mamy pochodnię, rozświecającą tajemnicze szlaki dobra bezwzględego; tak w myśli naszej złożone są drogi skazy prawdy bezwzględnej. Inna rzecz, czy do dobra bezwzględnego lub prawdy absolutnej zbliżamy się, czy są one dla nas dostępne w zupełności: jednym słowem, czy możemy dotrzeć do samego absolutu. *Nie danem jest człowiekowi dojść w czémkolwiekbydź do celu*, zauważył historyk-filozof ¹⁾, *chwałą zaś jego jest samo to do celu dążenie*. Otóż samo to dążenie do absolutu dobra i prawdy, wskazuje nam łącznik, ogniwo, wiążące nas z bóstwem i dowodzi nadziejskiego, niematerialnego naszego pochodzenia, a zarazem daje nam rękojmnię zgodności osnowy myśli naszej, z osnową myśli, świat cały przenikającej.

Jeżeli zaś sumienie stawia nam przed oczy duszy ideały dobra, to rozum: ideały prawdy. A skoro mówimy ideały, myślą odrywamy się od świata zjawisk, szukamy tego co po nad nie się wznosi, tego co nie jest względnym, zależnym, ale samoistnym, a więc absolutnym. Same zmysły nie wiążują zaznaczanych zjawisk, przedstawiają one wprawdzie *co* i *jak* jest, ale nie dają pojęcia prawa, nie nasuwają nam myśli, że to co jest *z konieczności tak jest*. Jak etyka szuka tego co *powinno być* ²⁾, tak filozofia w ogóle tego, co *jest koniecznym*, co istnieje z konieczności rzeczy, w widokach pewnego celu i pewnej przyczyny, tego, czego rozum wymaga *bezwzględnie*. A te *imperatywy* myśli, te wymagania konieczności, to—odbicie w nas absolutu, to—umodelowanie myśli naszej na wzór myśli świat cały przenikającej: to—*konieczność logiczna*. A skoro mówimy *konieczność*, potrącamy bezwiednie o tę najwyższą nutę wszechświata, o ten istnienia wszelkiej harmonii zadatek i przyczynę, jednym słowem—o absolut i *wieczność* ³⁾.

Widzimy więc, że taż sama droga, która prowadziła nas do uznania konieczności istnienia absolutu (to jest prawo przyczyno-

¹⁾ Guizot: *Histoire de la civilisation en France*; Paris, 1874 r., tom I, str. 30. „...en aucune chose peut-être, il n'est donné à l'homme d'arriver au but: sa gloire est d'y marcher.”

²⁾ Niektórzy autorowie niemieccy słusznie też określają etykę, jako: *die Wissenschaft des Seinsollenden*. Nie zgadzamy się wprawdzie na pierwszą część określenia etyki (*die Wissenschaft*), ale nazwę *das Seinsollende* uważamy za bardzo trafną i szczęśliwą.

³⁾ Pojęcie *konieczności* łączy się też najzupełniej z pojęciem *wieczności*. Koniecznym jest to, co nie może przestać istnieć czy w znaczeniu bytowania, czy też logiczności. To też i w różnych językach logika myśli odbiła się w logice budowy i brzmienia wyrazów. *Necessitas* łacińskie, złożone z *ne* i *cesso*

wości), odkrywa przed nami cały nowy widnokrąg istnienia, jako absolutu tego odbicie, i daje nam pewność uchwycenia tój *jedni*, tój *harmonii*, która panuje światom i myśli naszej. Zaznaczenie tój jedności usuwa sceptycyzm co do poznania wzajemnej łączności i zawiśłości zjawisk świata, a odniesione do absolutu: jedność i harmonia, konieczność i prawo, potrącają o *wieczność* i obalają w samej jój osnowie wiarę w osiągnięcie nicości, a tym sposobem strącają z widowni współczesnej nam filozofii niemieckiej, złowrogie jój widmo—*nirwanę*.

Oto jak metafizyka pojmuje *istnienie*, *wieczność*, *jednolitość* czyli w ogóle—*absolut*. Oto zarazem i odpowiedź jój na pytanie, czy *nirwana*, taka jaką szkoła pesymistyczna głosi, jest możliwą, czy ma w filozofii głębsze uzasadnienie?

Nim przystąpimy teraz do szczegółowej krytyki zasadniczych podstaw filozofii nicości, obejrzyjmy się poza siebie i zobaczymy do czego doprowadziły nas dotychczasowe poszukiwania.

I tak zaznaczyliśmy najprzód, że w myśli naszej odbija się myśl wszechświata, że rozum przenikający całość bytu jest ogniwem stworzeń a *jedność* którą całe istnienie jest nacechowane, daje nam rękojmią poznania prawdy, jeśli nie w całości jój przejawów, to przynajmniej jój cząstkę, jój odbicie. Ale ta cząstka prawdy, choć mała swym *zakresem*, w *istocie* swojej zbliża nas do idei absolutnej, do Boga. Staraliśmy się dalej wykazać, że pojęcie absolutu jest *wrodzone* myśli naszej i że z *konieczności rzeczy* łączy się z pojęciem *wieczności*, które stanowi zakres bytowania, a ztąd że pojęcie to nie da się usunąć z naszych dociekań; że towarzyszy nam w tedy nawet, gdy staramy się rugować je z myśli, w imię pewnych systematów filozoficznych (pozytywizm) lub prologów przedświatowych oraz finałów metafizycznych (pesymizm).

znaczy: co nie przestaje, co niema granicy w bytowaniu. W naszym języku odmiennie uformowane słowo *konieczność*, morfologicznie i eufonicznie odpowiada słowu *wieczność*. Końcówka *ność* nadaje wyrazom oznaczającym granicę, ułankowość (*koniec*, *wiek*),—bezgraniczność, jakby rozszerzało ich pojęcie. Podobnie jak zakończenie *keit* w niemieckim języku (*Ewigkeit*, *Nothwendigkeit*) i zakończenie *ity* w angielskim (*necessity*, *eternity*). W rosyjskim języku *konieczność* odpowiada naszemu *skończalność*, a nasza konieczność wyraża się przez *nieobchodimost'*. Jestto obrazowe przedstawienie konieczności, właściwe duchowi słowiańskiego języka; Kochanowski szczęśliwie tóż użył wyrażenia podobnego: *nieobeszły* krąg ziemi. W pokrewnych sobie wyrazach: polskim *nieobeszły* i rosyjskim *nieobchodimyj* (lubo inne nadane im znaczenie) maluje się najlepiej powinowactwo myślowe, a ztąd i językowe pojęć *wieczności* i *konieczności*. W nowszej filozoficznej terminologii rosyjskiej weszło w użycie *kanciecznaja przyczyna*, w znaczeniu przyczyny ostatecznej, celowej: *causa finalis*, *cause finale*.

Słowem, sądzimy, że zdołaliśmy przekonać czytelnika o tój prawdzie zasadniczej, że zarówno jak w świecie zewnętrznym, zmysłowym niemamy dowodu, by rzecz ginęła w nicości lub by powstawać mogła z niczego ¹⁾, tak też i w świecie metafizyki, w świecie istnienia κατ' ἔξοχην, myśl nasza wzbrania się twierdzić, by nawet sam Bóg mógł powstać z niczego, by zjawiał się na scenę bytu lub zchodził zeń bezpowrotnie: jedném słowem, by powstawał lub znikał.

Twierdzić inaczej byłoby *contradictio in adjecto*, bo wtedy Bóg nie byłby Bogiem i z konieczności rzeczy musielibyśmy szukać innych wyższych pierwiastków ponad Nim stojących. Wtedy Bóg nie byłby źródłem odwiecznym ani stwórcy świata, ale tylko jego organizatorem, zawiadowcą ²⁾, lub wreszcie budowniczym świata, jak w pojęciach starożytności klasycznej lub w teizmie Stuarta Milla.

Absolut taki byłby wtedy tylko antropomorficzną istotą, wyższą wprawdzie od człowieka, o wiele odeń potężniejszą, ale zawsze zależną od czegoś jeszcze wyższego, czegoś co ponad nią samą się wznosi: jedném słowem od prawdziwego Boga, czy nazwą Jego *αὐταντη*, *fatum*, to jest idea konieczności, której sami bogowie ulegać musieli; czy też idea dobra bezwzględnego, idea sprawiedliwości, idea prawego, którą Mill, na podobieństwo filozofów starożytnych wyniósł u schyłku dni swoich po nad Boga samego ³⁾.

Wprawdzie przez takie postawienie po nad Bogiem wyższego jeszcze pierwiastku, Mill wytknął człowiekowi nader szczytną misję współpracownictwa ze swoim Stwórcą, pomagania Temu ostatniemu w dążeniu do osiągnięcia największego możliwego dobra a to przez zwalczanie nieustannie na drodze tój spotykanych przeszkód; ale tym sposobem pojęcie absolutu przeniósł on właściwie po nad owego Boga konstruktora, i bynajmniej przez to nie ułatwił nam zrozumienie absolutu.

Oto jeszcze jeden przykład, dowodzący jak koniecznym jest dla myśli naszej oparcie się o absolut, któryby dla wszystkich zjawisk był przyczyną ostateczną, a takie pojęcie absolutu nieodłączne też jest z jednéj strony od pojęcia *istnienia*, z drugiej zaś *jednolitości* ⁴⁾,

¹⁾ Porównaj pracy niniejszej Części III, Rozdział I. *Ocena podstaw naukowych filozofii wyzwolenia*. Bibl. Warsz. wrzesień 1878 r. W osobnym zaś wydaniu str. 50.

²⁾ W religiach starożytnych Indyi często spotykamy takich pośrednich bogów, którym *Istność samobytna* porucza uorganizowanie świata, albo też powierza im zawiadywanie światem już stworzonym.

³⁾ John Stuart Mill: *Three essays on Religion*. London 1874. *Theism*.

⁴⁾ Te dwa atrybuty (*wieczność i jedność*) nie wyczerpują pojęcia absolutu, zwłaszcza przy zwykłym rozumieniu tego drugiego. Zwróciliśmy już na to uwagę, że najwyższém uzewnętrznieniem się jedności, jednolitości jest *osobowość*, to jest centrum samowiedne, a które nazwać możemy w ogóle *duszą*

podniesionych do najwyższej potęgi, to jest *wieczności* i *osobowości* łączących się w jedno pojęcie *Istności przedwiecznej* czyli *ducha bezwzględnego*.

A tak naszkicowawszy w ogólnych zarysach istotę absolutu a przytém wykazawszy odporne stanowisko metafizyki względem pojęć nirwany, zobaczymy teraz jak wyglądają absoluty w szkole pesymistycznej a głównie jak autorowie tych systematów łączą w jednym pojęciu absolutu te dwa tak przeciwne sobie pojęcia jak Bóg i nicność, istnienie w najobszerniejszym słowa tego znaczeniu czyli wieczność a z drugiej strony unicestwienie czyli nirwanę.

Nim jednak przystąpimy do wykazania główniejszych sprzeczności i bijących w oczy błędów logicznych, jakie filozofowie ci popełniają z *konieczności rzeczy* ¹⁾, zauważymy w ogóle, że tak zwane ich absoluty, ich *noumenony*, ich bogowie wreszcie, nie odpowiadają wymaganiom myśli naszej, wymaganiom, jakie ta z konieczności logicznej z pojęciami temi łączy. W obec takiego bowiem pojęcia o Bogu, jakie metafizycznie uzasadnić staraliśmy się, ani *Wola Schopenhauera*, ani *Nieswiadome* (das Unbewusste) Hartmanna, ani wreszcie Bóg Mainlandera, to jest w ogóle żaden absolut tych koryfeuszów szkoły pesymistycznej, nie zaspakają myśli naszej, gdyż nie przedstawia się jej—przyczyną i źródłem świata, ale tylko czczą nazwą, pojęciem

a w Bogu—*duchem*. Określenie nasze *centrum samowiedne* odpowiada *pod pewnym względem* temu co Leibnitz nazywa substancją (*La substance est un être capable d'action*), unikamy jednak tej nazwy dla panteistycznego odcienia, jakie w dziejach filozofii z tą nazwą zrosło się. Otóż tylko przy takim pojmowaniu tych atrybutów (istnienia jako wieczności i—jedności jako osobowości) określenie absolutu będzie zrozumiałem, ale i to jeszcze bynajmniej niewyczerpuje jego istoty. Nie mogą jednak na tém miejscu wykladać traktatu o *teizmie*, ani rozwijać zasad *ontologii*, zmuszeni byliśmy poprzestać na tém, co uważaliśmy za nicodzowne i to ograniczyć się na jaknajogólniejszym przedstawieniu prawd, dla toku rzeczy niezbędnych a mianowicie na uwydatnieniu głównie tych dwu cech od pojęcia Boga nieodłącznych, z istotą Jego logicznie związanych. Już samo to zaznaczenie wystarczy nam dla zbijania szkoły pesymistów, dla wykazania sprzeczności na jakie w niej co krok natrafiamy odnośnie do pojęcia absolutu. Zresztą uwydatnienie wieczności i jednolitości w bóstwie wynika wręcz z zadania naszego: usprawiedliwienie dla czego możemy ufać rozumowi ludzkiemu, dlaczego w badaniach filozoficznych możemy mieć pewność dojścia prawdy, choć ograniczonej zakresem swoim ale nieograniczonej w *istocie*.

¹⁾ Mówimy z *konieczności rzeczy*, gdyż raz postawiwszy sobie za zadanie dowiedzenie możności *nirwany* (jako nicości bezwzględnej) czyli dowiedzenie tego co sprzeciwia się wszelkiej filozofii, nie byli oni w stanie ominąć trudności przez tę ostatnią stawianych im w tém dążeniu; usuwając zaś to trudności bez logicznej na nie odpowiedzi, już tém samém torowali sobie drogę do *dogmatyzmu*.

rzeczy niepojętych, zestawieniem rzeczy tak różnych a nawet tak ze sobą sprzecznych jak istnienie i niebyt, wieczność i znikomość.

To też, jak niżej zobaczymy, dla zrozumienia absolutu filozofii wyzwolenia trzeba by mózgi zrozumieć zestawienie antytez w jednym pierwiastku i wzajemne ich pochłonięcie się, trzeba by zdołać przedstawić sobie *istnienie nieistniejące* i *niebyt istniejący*, co przyznajemy, przechodzi zakres myśli ludzkiej.

Dla ułatwienia sobie, dla ulżenia w tym ciężkim wysiłku mózgu, można wprawdzie stworzyć w abstrakcyi nową furtkę dla myśli i kazać tą furtką wymykać się absolutowi ze sceny świata (*Mainländer*), albo też na dane hasło przywoływać go napowrót przez ten cudowny kanał metafizyczny (Hartmann). Ale czy to odpowie oczekiwaniom szukających prawdy, czy to zaspokoi wymagania logicznego myślenia, czy wreszcie wypełni jakąkolwiek bądź treścią te, choćby najbardziej misterne ale na tak kruchej podstawie wzniesione, rusztowania scholastyczne?

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Kronika poznańska.

Po świetnym i licznym karnawale, jakiego bodaj się można było spodziewać, zawitali do Poznania obiecani goście z Krakowa, profesorowie hr. Tarnowski i dr. Bobrzyński, którzy zechcieli udarzyć nas na cele dobroczynne czterema odczytami o literaturze polskiej z szczegółowym uwzględnieniem zasług, jakie dla tej literatury położyła Wielkopolska. Pierwszy odczyt z 27 lutego przypadł w udziale profesorowi Bobrzyńskiemu, którego wstępne słowa przeznaczone na powitanie nas, nacechowane były tą poważną prostotą, jaka towarzyszyć winna pierwszemu witaniu. Sala była imponująco zapełniona, serca nastrojone na nutę radosną.

P. Bobrzyński zaczął odczyt swój pierwszy od preludium etnograficzno-geograficznego, szkicując w kilku zarysach okolice między Odrą i Wisłą, które nieuposażone przez przyrodę, zmuszały prastarych mieszkańców, Polaków, do ciągłego znoju i walki z klimatem i sąsiadami. Pas ten obszerny kraju, podzielił prelegent na Wielką i Małopolskę, z przeważnym w tych dwu dzielnicach żywiołem *panskim*, i na Mazowsze, z przemagającą raczej klasą *małych właścicieli*. Walka ta ciągła i ten ciągły znoj wyrobiły w Polakach pewną szorstkość, ognistość i niezależność charakteru, któreto przymioty uzdolniły ich właśnie do podejmowania bezustannego bojów i znojów. Wśród

takich okoliczności, wśród tak twardych stosunków, jakże mowa być mogła o uprawianiu nauk, o literaturze, o poezji? I wprowadzenie Chrześcijaństwa nie wiele w tym względzie zmieniło i chyba zakonnik jaki w odległym klasztorze, lub syt dostojęństw panu duchowny poświęcał się studyum. Wincenty Kadłubek dopiero po zstąpieniu ze stolicy biskupięj począł kręślić kronikę, a Janek z Czarnkowa pisać o czasach Kazimierza W. dopiero wtenczas, kiedy wpływ Kurozwęskich obrzydził mu panowanie Ludwika i namiestnictwo matki jego, Elżbiety i spowodował go do odmalowania świętego czasów Kazimierzowych, a szpetnego naszkicowania Ludwikowych. Dopiero kiedy po *unii z Litwą* wzrosła potęga Polski i kiedy po *bitwie pod Grunwaldem* wywalczyła sobie prawo do poszanowania u ościennych mocarstw, a warunki pokoju wewnątrz: dopiero wtenczas promienie szersze światła rozlewać się zaczęły po kraju. W wiekach XIII i XIV nauki w Polsce rozszerzać się tylko mogły na gruncie scholastycznym, a że zainteresowanie się żywsze temi naukami przypadło w czasie, kiedy duch św. Tomasza i Bonawentury już się z scholastyki był ulotnił; więc też owoce tych studyów nie mogły ani przyczynić się do rozwoju myśli, ani do zwolnienia ducha z formuł ciasnych; pod względem zaś politycznym zaszkodziła nawet scholastyka Polsce, przyczyniając się do rozrostu przywilejów różnych i prywaty na niekorzyść dobra kraju. Dwa wypadki zmieniły stan ten niepomyślny: *obudzenie się klasycyzmu* we Włoszech i *wzwyż wspomniane zwycięstwo pod Grunwaldem*. Młodzież polska biegła zaczerpnąć z krynicy humanizmu, nowęj, ożywczej dla ducha nauki i szerzyła ją potem nie bez korzyści po ojczyźnie. Grzegorz z Sanoka, Jan Długosz, oto główni przedstawiciele owęj epoki, która i pod względem politycznym nowych szukała torów. Dzieła Tacyta, Cycerona, Homera, Wergilego, Horacego, Platona, Tudydydesa, Sofoklesa, służyły za wzór nowemu pokoleniu, które zdala od więzów scholastycyzmu, zaczęło niweczyć stare formuły, a sięgać po nowe. Jednym z świetnych skutków przeobrażania się w narodzie, było *podniesienie się akademii Krakowskiej*, która przyczyniła się niepomalu do rozszerzenia zamiłowania do nauk ówczesnych.

Z pośród wybitnych postaci XV wieku, oddał prelegent jędrnóm słowem postać kasztelana poznańskiego Jana Ostroroga, znakomitego statysty patryoty i prześcigającego czas swój bystrego polityka. Skutkiem ciągłych walk o byt wyrobił się był w Polakach duch silny wolności osobistęj. Każdy starał się o samodzielność i ztąd wypłynęła wielka ilość ówczesnych przywilejów. Szlachta, duchowieństwo, miasta i małe nieraz lokalności lub korporacye, cieszyły się każde swemi przywilejami, z których niczego uronić nie chciały dla pożytku ogólnego.

Znajomość klasycznych pisarzy przyczyniła się do znajomości prawa rzymskiego, które, jak wiadomo, monarchizmem przesiąknięte było, i tento moment monarchiczny uwydatnił Ostroróg w swém piśmie, traktującém o *naprawie Rzeczypospolitej*. Prelegent przypisał temu

pismu kasztelana naszego aż znaczenie programatu, na którym opierały się później próby wszelkie zreformowania układu politycznego Polski. Ostroróg radził wzmocnić władzę króla, którą nazwał niezawisłą od narodu; radził zrzec się przywilejów na rzecz ojczyzny, która jedno prawo dla wszystkich mieć powinna; radził dbać bardziej o język ojczysty, zaniedbany dla czeszczyzny, której hołdował dwór, a upośledzony dla niemieczczyzny, która zbytnio panowała po klasztorach i po miastach (dodajmy, że wołał i wołał i o ucięcie łba *Krzyżackiemu gadowi*, aby znów osiąść Baltyk). Początki poezji w XV wieku spowite były w szatę łacińską, a przedstawicielem jej pierwszym był Włoch w Polsce przebywający, Callimach Buonacorsi. Tutaj p. dr. Bobrzyński dał nam udatny i jasny obraz dążności i chęci do nauk i ogłady, jaka panowała na dworze tak króla jak i możniejszej szlachty, a mianowicie dostojników Rzeczypospolitej. Potrzeba też było znajomości łaciny w relacjach z dworami europejskimi, potrzeba było wysyłać bezustannie posłów, a potrzeba ta wytworzyła szereg ludzi świątliwych, odznaczających się i nauką i wymową. Z pośród grona tego prelegent wybrał dwu Wielkopolan: Andrzeja Krzyckiego z Małego Krzycka, ziemi Wschowskiej, senatora i dostojnika Kościoła, oraz Klemensa Janickiego z Januszkowa, ziemi Kujawskiej, syna wieśniaczego, protegowanego przez Krzyckiego i przez wielowładnego Kmitę. Janicki pierwszym był pieśniarzem polskim w łacińskim języku. Krzycki, dyplomata, niezwykły nauk wielbiciel, poeta nielada, czyto kiedy orszańskie opiewa zwycięstwo, czy też kiedy wielbi Zygmunta lub odzywa się do jego żony, Barbary Zapolskiej i t. d., niema reputacji dobrzej w Polsce, bo się splamił dworactwem, płaszczył przed Boną, gonił za intratnemi beneficjami, a ostrą i jadowitą satyrą smagał często niesłusznie innych, jak np. Latalskiego. Prelegent nie odmówił Krzyckiemu gotowości do posług dla ojczyzny, dbałości o karność duchowieństwa i t. d., ale postawił obok dodatnich stron i ujemne. Wstęp o Klemensie Janickim, tym polskim Tybulu, z pewnym zamiłowaniem i rzewnością oddał szanowny prelegent. W wierszu do Wargackiego pokazał nam przywiązanie Janickiego do ojczyzny, w rozmowie Błazna z Jagiełłą uwydatnił poczucie potrzeb ojczystych, w wierszu do Elżuni odsonił nam całe bogactwo duszy serdecznego tego piewcy, wreszcie w modlitwie jego do Matki Bożej, udzielił nam ostatni dźwięk rozbołałego chorobą i nieszczęściami rodziny serca.

Po tym pierwszym odczycie odbył się wielki *raut* składkowy na sali hotelu francuzkiego, gdzie całe towarzystwo poznajamiało się z szanownymi profesorami, a damy nasze witały zarazem panią hr. Tarnowską, z mężem do Poznania przybyłą.

Drugi odczyt miał w dzień następny hr. Tarnowski, podejmując dalszy ciąg wątku literatury od Zygmunta I, do Augusta III Sasa. W dziwnie porywających słowach przedstawił nam prelegent w dwu godzinach dwa całe wieki, tak obfite w wydarzenia. Potężne to były słowa; targał niemi nieraz aż do szpiku kości, jak gdyby chciał w du-

szach naszych rozpłomienić ten ogień co czyści, wskazując na wady, których pozbyć się wszyscy musimy, jeśli lepsza ma nam zabłyśnąć dola. Położenie Polski za Zygmunta I, odszkieciwał jasno i dobitnie, poczem zatrzymał się długo nad postacią Frycza Modrzewskiego. Mimo świetności i sławy, jakiej używała wówczas Polska, widne już były oznaki, dokąd dojść musi naród, gdy sam sobie nie nałoży hamulca. Kokosza wojna w roku 1537, uwydatniła dosadnie i jaskrawo tę niesforność uprzywilejowanego stanu, który nietylko wszystkie urzędy sam posiadał, ale i nie pozwalał nieuprzywilejowanym posiadać własności ziemskiej, który w nierówności takiej praw nie dopatrywał groźnych dla przyszłości skutków. Prelegent na te punkta kładł umyślnie nacisk, gdy kreślił obszernie społeczne znaczenie pism Modrzewskiego, który w swych oracyach *pro poena homicidii*, gromił nierówności praw i kar, oburzał się na różnicę, jaką prawodawstwo stanowiło w karaniu zabójstwa między szlachcicem a nieszlachcicem, żądał równości i wołał w imię prawa natury i chrześcijańskich zasad o sprawiedliwość: który w swym *Philadelphus* ciskał pioruny przeciw prawu, niepozwalającemu nieszlachcie posiadać ziemi i dowodził, że prawo to albo znieść trzeba, albo też zwolna wszystkich mieszczan uszlachcać: który w swém piśmie *de emendanda republica* podał program organizacji innój rządu, finansów i szkół, a mianowicie wojska. Niechęć do katolicyzmu Modrzewskiego, dała natomiast pochop prelegentowi do osądzenia surowego prac jego reformatorskich w dziedzinie kościelnej, a zarazem scharakteryzowania w ogóle odszczepieństwa ówczesnego w Polsce, które znów na przykładzie właśnie Modrzewskiego uwydatnił z wielką siłą przekonania. Modrzewski od króla do papieża, od sejmu do prymasa udawał się z pismami swými, żądając przyjęcia swych formuł zasadniczych, mających pogodzić katolików z niekatolikami, a mianowicie z Aryanami, a wlać w ustrój kościelny ducha republikańskiego. Zaiste dosyć już było w Polsce tego republikanizmu, aby go jeszcze wprowadzić i w dziedzinę kościelną.

Poezyi okres złoty otworzył Jan Kochanowski. Prelegent nie zatrzymał się tu długo, ale w kilku rzutach jasnych przedstawiwszy nam tego pogodnego, a zarazem umiającego tak rzewnie płakać piewę, wykazał potem, że na nim zaczęła się ale właściwie i skończyła zarazem na dłuższy czas epoka świetności, której nie odtworzyli już Wielkopolscy rymotwórcy: Klonowicz ani Miaskowski. Charakterystyka Klonowicza wypadła bardzo ostro. Prelegent nie dopatrywał w jego płodach żadnego talentu poetycznego. Co do *Flisa* można się na ten sąd zgodzić, aleć Klonowicz sam we wstępie zowie ten swój płód traktatem o sztuce nawigacyjnej po Wiśle i o spławianiu pszenicy do Gdańska. *Worek Judaszów* mienił szanowny prelegent zszyciem niezgrabnym czterech skór, *Victoria Deorum* nazwał niesmacznym płodem. *Roxolania* jedna zyskała pochwałę i nie można się też było inaczej spodziewać. Malowniczy ten opis ziem Czerwonoruskich, lasów ich, stadnin, barci z miodem, rześkich i wesołych juhasów, miast i siół i zamków i dworów z ich zwyczajami, począwszy od piosnek niań-

czynnych, a kończąc na brodatym popie u grobu, umiał szanowny prelegent oddać jaknajpobawniej, dając folgę żalowi, że poemat ten nieswojskim językiem Kłonowicz wyśpiewał. Z szczęśliwych naśladowców Kochanowskiego wystaje ponad innych Miaskowski, z którego kilka poetyczniejszych miejsc przytoczył prelegent.

Wiek XVII z całą swą sepezną postacią uwidomił nam wzruszająco prelegent. To co poczęte zostało na naszą zgubę za Ludwika, to odzieranie królewskości z znaczenia, a przysparzanie sobie przywilejów, zaczęło teraz przynosić owoce. *Kokoszéj wojny* zasiew wyrosł w bujne kłosa w wolnej elekcji, w rokoszu Zebrzydowskiego, w objawach różnych, a wszystkich przestraszających, za panowania Jana Kazimierza. Zapał sepeśny ogarniał tutaj prelegenta, bo był to zapał czerpany z bólu nad rozpamiętywaniem przeszłości, który odczuwaliśmy wszyscy głęboko. Odmawiać pieniędzy na wojsko, sromotnie tył podawać pod Piławicami, rozejść się zpod Beresteczka, rokosz podnosić jak Lubomirski, zdradą się trudnić jak Radziejowski, przywoływać Szwedów do kraju, sejm zrywać, bunt kozacki lekceważyć: oto zbierać plon z czasów onéj koszyckiej za Ludwika wolności.

Ocalała wprawdzie Polska, ale ocalała może cudem, ostoniona płaszczem Najświętszej Panny z Jasnój Góry, przed której ołtarzem ślubował nieszczęśliwy król poprawę doli poddanych. Gdyby znakomitsi ze szlachty poszli byli za przykładem króla i śluby te wykonali, byłaby i reszta co patryotyczniejszej szlachty szła w ich ślady i byłaby Polska wyszła z tego błędnego koła: nicokieżnanéj wolności. W téj epoce trzech nam przedstawił prelegent pisarzy wielkopolskich: Twardowskiego i dwu Opalińskich marszałka i wojewodę. Twardowskiego kilku słowy Zimorowicza charakteryzuje prelegent, mówiąc: „że inaczej miernicy, a inaczej malarze świat konterfektują,” Łukasza Opalińskiego wspomina jako obrońcę Polski przeciw Barkłayowi, na Krysztofie Opalińskim zatrzymuje się natomiast przydłużej; Krysztof napisał dużo satyr. Prelegent w potężnym słowie dał folgę oburzenia: na tego satyryka, który suchéj nitki nie zostawił na nikim a który sam pełen był wad, występków i zbrodni, przez się tak dzielnie smaganych na tego zdrajcę, co ze złości i na złość kapitulacją zawarł ze Szwedem i oddał mu na łaskę i niełaskę dzielnicę, której był wojewodą. Sobieskiego wielka postać zakrywa jeszcze na chwilę ruiny zewnętrzne gmachu państwowego. Polska postawiona między chciwą działanią i zdobyczy sąsiadką, a spanoszonym z łaski Polski mnichem apostata, była już nieuchronnie straconą. Wszystko się rozpada lub zapada, sejmy nie dochodzą, karnosć niknie, dawna obowiązkowość rwie się, Polska staje się codziem bardziej zajędną karczmą stojącą otworem dla wszystkich. I nie znaleźć w niej ani jednej piersi „na miarę Fidyasza,” wszystko mierności. Był wszelako jeden wówczas jedyny mąż, umiejący odczuć dolę kraju i jego potrzeby, Stanisław Leszczyński, ale choć umiał ją odczuć a potrzeby zrozumieć, brakło mu mocy i wiary w swój własny *głos wolny*. (My powiedzmy

że Leszczyński, przyjmując koronę z rąk najezdźcy, nie pomału wstrząsł prawem publicznem polskiego narodu). Przyszedł na tron Sas, owa figura znikczemniała moralnie opilstwem i porubstwem i knowająca nadto jeszcze jako król polski podział téjże Polski, i panował aż lat 30, nurzając jeszcze głębiej kraj w kale demoralizacyi, a gdy umiera, nie Leszczyński tron obejmuje, chociaż nań wybrany został, (*ten raz*, dodajmy), wedle ustaw krajowych, bo nieprzyjaciele nasi jakby urągając polskiemu osławionemu *veto*, *swoje veto* kładą na szalę przeciw temu wyborowi. Wspomnieniem autora *Anatomii Rzeczypospolitej*, Stefana Garczyńskiego, zakończył prelegent porywający swój odczyt.

Trzeci odczyt przypadł z kolei profes: Bobrzyńskiemu. Prelegent mówił o Staszicu. W nim starał się ześrodkować lepszą dążność Stanisławowskich i późniejszych czasów, o ile objawiała się nietylko w piśmie ale i w czynie. Szkicem czasów saskich rozpoczął prelegent wątek opuszczony przez p. Tarnowskiego i również jak ten ostatni nie szczędził barw jaskrawych, aby zozydzić każdemu głębiej czującemu sercu i poważniej patrzącemu się rozumowi ów okres bachanalii i orgii cynicznych, którym August II przydywał. Streszczony w przysłowiu narodu: „Za króla Sasa: jédz, pij i popuszczaj pasa,” pozostanie wiecznym świadectwem smutnego upadku, jaki wynikł z premisów historycznych, o których obadwaj prelegenci z takim naciskiem się rozwodzili. Gdy nareszcie rozegrał się pierwszy akt dramatu, rozbiór, zaczęto szukać środków, jakiemiby zapobiedz się dalszemu upadkowi Państwa i narodu. Droga była tylko jedna: naprawa smutnego stanu społeczności, w której część dzieścią ciemiężyta reszta. Monarchia Ludwika XIV doszła była do szczytu absolutyzmu, monarchia Stanisława Augusta do szczytu niemości. We Francyi doszło do tego, że monarcha mógł być powiedzieć: Państwo, to ja, w Polsce zaś do tego, że każdy szlachciz na mocy *liberum veto* miał siebie za Państwo i nadużywając téj swój nieokreślnej wolności, jedném słowem zrywać mógł sejmy i niweczyć choćby najzbawienniejsze uchwały takowego. We Francyi zasada Ludwika XIV doprowadziła do ogromnej rewolucyi, w Polsce zasada szlacheckiej wolności doprowadziła do rozdarcia i pogrążenia w gruzach istnienia państwowego. Wielhorski kiedy zobaczył Russa, rzekł doń: „patrz obywatelu, na Polskę, ona urzeczywistniła twój rzekomy ideał, a patrz dokąd zaszła, patrz i zapłacz nad ogromem naszej niedoli.” Wpływ francuzki rewolucyonistów w jednym mianowicie kierunku szkodę przyniósł Polsce. Mimo zepsucia obyczajów nie znikła była jeszcze z serc ogółu polskiej szlachty, wiara dawna, żyła jeszcze u ognisk domowych, posilała jeszcze serca polskie. Reformatorowie francuzcy hasłem wolności bez Boga, opartéj li na ubóstwieniu rozumu ludzkości, odzierać zaczęli Polaków z wiary, oziębiać ich serca dla niéj. Ale byli i mężowie, którzy umiejąc rozróżnić co dobrego przynosiło rozbudzenie ducha we Francyi,

jeśli się tego dobrego, a na czele tych mężów stanął Wielkopoleński ksiądz Stanisław Staszic. Nie miała wprawdzie wówczas Wielkopolska ani uczestników na obiadach czwartkowych, ani dziejopisów ani poetów, ale miała trzech mężów, co jak świeczniki zajaśniali na widnokregu społeczeństwa i nauk: Staszica z Piły i braci Sniadeckich z Żnina. Staszic mieszczańskiego pochodzenia, bez innej tradycji, jak chyba upośledzenia stanu, do którego należał, wykształcił się za granicą, a powróciwszy do ojczyzny, nie wiedział co ma począć. Będąc mieszczańcem, nie widział dla siebie przyszłości, a przecież pałał chęcią służenia tój tak bardzo nieszczęśliwej ojczyźnie. Gdy tak walczy w nim ambicja z miłością kraju rodzinnego, nadarza mu się sposobność przyjęcia miejsca mentora u synów ordynata Zamoyckiego. Nie waha się ani chwili i miejsce ofiarowane przyjmuje. Rozmyślając na tém swoim stanowisku, bądź jakbądź, podrzędnem, nad dolą kraju, widzi coraz jaśniej, co go gubi, co go ubezwładnia: swawola $\frac{1}{10}$ części narodu przy poddaństwie zupełnem $\frac{9}{10}$ części, brak rządu, brak oświaty, brak wymiaru sprawiedliwości, brak wojska i środków utrzymania takowego. Te wszystkie spostrzeżenia swe, układa Staszic w całość organiczną i występuje z dziełkiem: *Uwagi nad życiem Jana Zamoyckiego, do dzisiejszej Rzeczypospolitej Polskiej zastosowane*. W niem rozbiera z wielką ścisłością trzy punkta: potrzebę rządu sprężystego, wychowania publicznego, wojska licznego i uwłaszczenia włościan. Dzieło aczkolwiek wydane bez nazwania autora, wielkie wywarło znaczenie. Czytano je po pałacach, dworach i miejskich domach. Profesor Bobrzyński odczytał kilka dzielnych ustępów i dowodził że wpłynęło to dziełko Staszica niepomiernie i na radę królewską i na komisję edukacyjną i na sejm czteroletni. Dla sejmu czteroletniego stanowiło ono niemal program. Zaczęły duszę Staszica odzwierciedlają najlepiej pomysły o uwłaszczeniu chłopów, o podniesieniu moralnej i materialnej doli tych milionów, w których spoczywa przyszłość lepij zrozumianego zadania narodowego, które dostarczają materiału wojsku a kraj bogaci pracą i skromnym życiem. Staszica osoba rośnie pod tym względem do rozmiarów wielkich, skoro poglądy i rady jego mogły tak obfite dla pomyślności kraju przynieść owoce. Przyniosły je też istotnie, choć w części tylko. Organizacją szkół jemu zawdzięcza Polska. Inne reformy skonały w zaczątku wśród szczęku broni i nacisku obcej przemocy. W r. 1790 napisał Staszic *Przestrogi dla Polski*, w których z większym jeszcze naciskiem i z obfitszą jeszcze wiedzą przemawia za poprzednio wygłoszonymi przez siebie prawdami: mężowie silnych przekonań zostawiają zawsze po sobie ślady niezatarte takowych. Lubo nie mógł Staszic wprowadzić w życie narodu reform, jakie uważał za konieczne dla odrodzenia jego, więc choć pokazał za każdorazową sposobnością, że słowa i rady jego nie były czeze, ale płynęły z głębi duszy. Jako wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a potem prezes, jął się pracy około

kwestyi przyrodniczych, powodowany znakomitemi, dwu wielkopolan braci Śniadeckich pracami; jako referendarz, radzca, a nakoniec minister stanu Królestwa kongresowego, podniósł przemysł i handel; jako właściciel dóbr Hrubieszowskich, uposażył wsie swe samorządem i położył podwaliny dobrobytu ludu w nich zamieszkałego. Staszic umarł w r. 1826, przewidując wstrząśnienia, jakie naród przechodzić będzie. Był świadkiem zwątpienia porobiorowego, nadziei rozbudzonych wojnami Napoleona, wreszcie zwrotu uczuć narodowych po upadku Napoleona. Temu wezbraniu uczuciowego patriotyzmu pragnął Staszic zapobiedz pismem w r. 1815 wydanem p. t. *Myśli o równowadze politycznej Europejskiej*. Występuje w niem z myślą połączenia się szczepu słowiańskiego wedle zasady federacyjnej, przepowiada unią Niemiec i politykę Austrii względem nas. Naród myśli téj Staszica, o ile tyczyła się rozwoju narodowego w spółce z Rosyją, nie przyjął, ale co się tyczy programu pracy *wewnętrznej*, wraca do niego po każdój klęsce.

Tak streszczamy odczyt szanownego prelegenta. Dziś w trzech zaborach, mówił pod koniec profesor, myśli Staszica uwidoczniają się: Królestwo kongresowe gromadzi zasoby materialne, Galicya naukowe, na Wielkopolskę zaś przypada wielkie zadanie zespolenia warstw społecznych.

Nie możemy tutaj zamilczć, że szanowny prelegent zalekko zbył znaczenie konfederacyi barskiej, zalekko ocenił konstytucyą 3 maja, ów pomnik niespożyty ocuczonego ducha narodowego; zamało przycisku położył na konfederacyą targowiecką, a już zanadto doktrynersko ocenił znaczenie legionów i ówczesnych aspiracyi. Może szczupłe ramy odczytu przeszkoda mu w tém były i z tego téż tylko powodu nie chcemy mu słusznych zkądinąd robić zarzutów. Grzmiące oklaski publiczności towarzyszyły zakończeniu odczytu szanownego profesora.

Czwarty odczyt, którego przedmiotem była literatura polska XIX wieku, a mianowicie literatura wielkopolska, miał p. Tarnowski. Osób wieku przeszło zgromadziło się na sali Bazaru, zgromadziło się niemal wszystko, co wyróżnia się wśród nas rozumem, poświęceniem i zamiłowaniem tradycyi. Profesor zaczął od uwagi, jak fatalnie się to zdarzyło, że upadek Rzeczypospolitej naszej przypadł na wiek XIX, wiek, w którym zasady i pojęcia wszelkie mącą się i pozbawione będąc właściwej podstawy, powodują ludzi do dziwnej zmienności. Gdyby rozbiór Polski wydarzył się w wieku XVII, dola jej byłaby zapewne lepszą, bo wówczas popłacały jeszcze chrześcijańskie zasady. Ale że przypadł w wieku XVIII, pozbawionym wszystkiego tego, co się zowie publiczną moralnością, nacechowanym królobójstwem, ubraném w szatę legalności, czegoż się było można spodziewać? Prelegent porównał tutaj Polskę z Dantem, którego wśród mozolnej pielgrzynki napada wilk, pantera i lwica. Dantego broni od upadku zupełnego Wergiliusz, przewodnik wśród znojów pozaświatowej wędrówki; narodu naszego broni literatura. Ojcowie nasi, na których spadł cios straszny, ażali nie byli podobnymi do tych synów światłości, których Milton przedstawia

w stanie osłupienia zupełnego, straconych z wyżyn na padół płaczu i znoju? Byli podobnymi do nich, ale tylko w części, tamci bowiem zawyli nieprzejednaną zemstą i wiecznym buntem, podczas gdy nasi ojcowie, jak pokazuje ówczesna poezja, ani dyszeli zemstą, ani żyli buntem, ale w uznaniu winy cierpieli cicho, z nadzieją w sąd ostateczny Opatrzności. Znaleźli się przecież ludzie, którzy najprzód w pogadankach mniejwięcej poufnych, potem w liczniejszych zebraniach zastanawiać się zaczęli nad potrzebą oświaty w narodzie, aż pogadanki i zebrania te znalazły wyraz publiczny w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, w którego gronie mieścili się głównie reprezentanci klasycyzmu, będący przeciwnikami nieprzejednanymi rodzącego się romantyzmu. Koźmian, Osiński, Dmóchowski: oto filary klasycyzmu, a z pomiędzy nich Koźmian w roli jakoby Hektora; z drugiej strony Mickiewicz z plejadą satellitów, jak np. Odyńcem, Korsakiem i t. d., w środku zaś u nich generał Morawski, Wielkopolanin wraz z Niemcewiczem i Brodzińskim. Klasyków reprezentowało pismo *Astrea*, romantyków *Dziennik Warszawski*. Wtém Śniadecki wystąpieniem swém, śmiertelny cios zadaje klasykom, podczas gdy Mickiewicz *swém przemówieniem* zwraca ducha narodowego na inne tory. Trudno tutaj w krótkości odtworzyć ten wspaniały obraz szermierki, jaki prelegent przedstawił; trudno powtórzyć ten świetny koloryt, jakim zaprawił tę wyższą odczytu swego, odezwę Mickiewicza i odpowiedź na nią spłoszonych klasyków. Powiemy raczej co p. Tarnowski wygłosił o generale Morawskim, tym pośredniku sympatycznym między obu obozami.

Jego *Listy do klasyków i romantyków*, zawierały tyle zdrowego sądu, przepełnione były takim zrozumieniem rzeczy, głosiły takie prawdy, że dziś, gdy już pół wieku przeminęło, bodajby można lepiej przedstawić tę walkę i to, co w głębi niej świeciło życiem, a co już było martwością. Te listy Morawskiego rzucają niepomierne światło na obu obozów żywotny stosunek. Generał Morawski winien być przecież i ze względu na inne swe płody odznaczony. Jego *Bajki* postawił prelegent obok *Bajek Krasickiego* i wyznaczył im wyższe podobno stanowisko, przynajmniej ile sądzić mogliśmy z klasyfikacji tego rodzaju utworów poetycznych, jaką prelegent wypowiedział. Na poparcie swego zdania, zacytował kilka najlepszych bajek Morawskiego, a mianowicie słynną: *O osle nad osłami*, która odznacza się zasobem trafności i humoru niezrównanego. I *Dworek mego dziadka* obszernie a pochlebnie rozebrał prelegent, chociaż przyznał, że poemat lepiejby się jeszcze wydał, gdyby autor mniej był poświęcił miejsca opisowości, a więcej działaniu dziaduniowemu. Generał Morawski był, jak wiadomo, i dobrym tłómaczem płodów obcej literatury. I nad tą stroną jego poetyczności zatrzymał się prelegent, upatrując w niej słusznie niepomierną zasługę. Wspomnienie obok generała Morawskiego, generała Chtapowskiego, słynnego w swym czasie rolnika, da się w odczycie literackim wprowadzić zrozumieć, ale tylko wtenczas, gdy się nie pominie i innych na polu gospodarstwa pracowników, którzy znani wszystkim, umieli ten

swój zawód oblec w szatę pewnej poetyczności, jak np. Maciej hr. Mielżyński. Stefan Garczyński piewca *Wacława*, ulubieniec Mickiewicza, nie mógł naturalnie innego, jak tylko życzliwego doznać sądu od prelegenta; wszelako głębiej nie zapuścił się prelegent w zalety i wady Garczyńskiego poezyi. Mówiąc o początku trzeciego dziesiątka naszego stulecia, wyraził prelegent boleść swą nad zjawiskiem tułactwa gromadnego, ale zarazem oddał temu tułactwu cześć przynależną za to, że umiało zatrzymać ducha i wyrazić go nadto w żywotnych instytucjach. Potrafił i o następne, pełne smutku i zawiedzionych nadziei lata. Z żyjących pisarzy potrafił tylko wyjątkowo i mimochodem o Cieszkowskiego i ks. biskupa Janiszewskiego. O niedawno zmarłych takich mężach, jak np. Libelcie, o dawniej zmarłych: Edwardzie hr. Raczyńskim, Tytusie hr. Działyńskim, wspomniał wprawdzie prelegent, ale wspomnienie to, mniemamy, było zbyt hurtowne, a chociaż wspomniał o księdzu Janie Koźmianie, kładł raczej przycisk na jego wiedzę wogóle, na jego gorliwość w służbie publicznej i na jego talent organizatorski, aniżeli na jego literacką pracę, której świadectwo dał zinarły, w wychodzącym długi czas pod jego sterem *Przeglądzie Poznańskim*. O historyku Moraczewskim, o takim erudycie jak Łukaszewicz, którego przecież prace nawet zacięci przeciwnicy wysoko cenić umieli, nie wspomniał wcale. Czyż nie narzuca się tutaj samo przez się myśl, że szanowny prelegent czerpał zbytnio z relacyi pokrewnych swym przekonaniom kół? Te usterki, o których wspomnieć mieliśmy sobie za obowiązek, uprzytomniły nam się dopiero po skończonym odczycie; podczas odczytu zostawaliśmy pod urokiem słów prelegenta. Mianowicie pod koniec odczytu tego ostatniego, wszelka krytyka umilknąć musiała, bo końcowe słowa prelegenta wytryskały z takim zapalem, przepętnione były taką życzliwością i takim ogniem, wykazywały tak wiele spótzucia dla naszej doli, objawiały takie zrozumienie naszych potrzeb i prac, zwracały się z taką siłą ku stropowi niebieskiemu, że oddech tylko tamować trzeba było w piersiach. A gdy wreszcie na zakończenie wygłosił prelegent prastarego naszego hymna pierwsze wyrazy, łgdy zawołał: „Bogarodzico, Dziewico, zisćij nam, spuść nam zmiłowanie Twego Syna,” cała sala jak mąż jeden, zabrzmiała oklaskiem.

Profesor Bobrzyński mówił jasno, dobitnie, patrzal się raczej obiektywnie na rzecz, którą wyluszczał; profesor Tarnowski olśniewał oryginalnością porównań, okazywał niepomierną bystrość sądu, chociaż często zbyt ona była absolutną.

Obaj profesorowie posługiwali się językiem doborowym, organ obudwu był doniosły, ale podczas gdy profesor Bobrzyński czasem prowincjonalnych użył naleciałości, prof. Tarnowski dykeją wprawdzie zawsze zatrzymał czystą, ale była ona czasem nieco manierowaną.

Po ukończonym tym ostatnim odczycie szanownych profesorów, pożegnało ich nasze Towarzystwo na wspólnym obiedzie, w którym 260 osób pćci obojga brało udział.

Dziś przebrzmiały głosy zacnych naszych gości, ale w pamięci ogółu pozostaną jeszcze na długo te postacie ojczyście, jakie wymowne ich słowa wskrzesiły, a być może że i wywołają w niejednej duszy pragnienie zapoznania się bliższego z przeszłością, bez której ani teraźniejszość, ani przyszłość należycie zrozumianą być nie może.

Imponujący widok przedstawiała sala Bazaru podczas odczytów. Wszystko niemal co Księstwo zawiera z wybitniejszych osób płci obojga, zobaczyć było można; przeszło po 500 osób zapełniało lokal i bodaj już kilka osób więcej byłoby mogło się w nim pomieścić. To też suma nielada zebraną została na cele dobroczynne, zważywszy, że bilety wnijsia wziąć tylko było można na wszystkie cztery odczyty razem, co wynosiło od osoby cztery talary, czyli 12 marek.

Skoro już o dobroczynności mówimy, nie wypada nam pominąć milczeniem Towarzystwa św. Wincentego á Paulo, które nielada wsparcie zostało przez te odczyty szanownych profesorów. Towarzystwo to ogłosiło krótko przed odczytami bilans swój. Dochodu miało w r. 1878:

z darowanych Listów zastawnych	92	marek
z różnych zapisów	105	"
z datków	250	"
z kwesty na mieście	2873	"
z kwesty w kościołach	202	"
z fantów	215	"
z zabaw karnawałowych	1402	"
z loteryjnych biletów	1800	"
z zapisu ks. kan. Polczyńskiego	100	"
panie miłosierdzia złożyły	1652	"
	<u>8691</u>	marek

W szpitalu utrzymywano stale 30 osób, a na opiece w mieście było miesięcznie w przecięciu 45 chorych. Po nowym roku bieżącym zebrano:

z loteryi	581	marek
z bufetu przy rozdawaniu fantów	400	"
z koncertu amatorskiego	860	"
z balu d. (20) 2	1145	"
	<u>2986</u>	marek

Co czyniło razem 11677 marek

I szpital dla chorych dzieci hojnie zasilony został, bez wątpienia, z sumy zebranej z odczytów. Szpital ten pomieszcza rocznie do półtora tysiąca dziatwy. Dobrowolnemi dźwigniony siłami i ordynowany przez gorliwego lekarza, cieszy się opieką Sióstr Miłosierdzia, których Zakład już od czasów namiestnictwa księcia Radziwiłła istnieje, a zasilany bywa bezustannie bądź zapisami nowemi, bądź sumami, wyznaczonemi przez sejmy prowincjonalne Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Kończę tę kronikę podając wam treść *petycji* do parlamentu, jaką Zarząd Centralnego Towarzystwa rolniczego w Wielkiem Księstwie Poznańskiem przesłał do Berlina. Poznaćcie z tej *petycji*, że to co pisuję o naszej tutaj biędzie i w ogóle położeniu ekonomiczném, jest prawdziwém. Oto *petycja*:

„Spotgowane ostatniemi laty środki komunikacyjne Ameryki i Rossyi podniosły, łącznie z niezwykłą urodzajnością tamecznej gleby a bajecznie niskiemi cenami produkcji, eksport płodów rolniczych tych krajów do tego stopnia, iż gospodarstwo rolne czeka niechybna ruina, jeżeli się konkurencyi przemożnej nie nałoży jakiegoś hamulca. Ceny bowiem płodów, skutkiem wypowiedzianej nam walki, spadły już do takiego *minimum*, iż przeciętne dochody gospodarstw naszych pokrywają zaledwie liczne nader podatki i ciężary państwowe, prowincjonalne, gminne, szkolne, kościelne, na ubóstwo miejscowe, z budowli i utrzymania dróg, assekuracyi od ognia i gradu płynące; a cóż dopiero wszelkie inne właściwe koszta gospodarskie. Szczęśliwy ten rolnik, który obok tego wybiję jeszcze choć część wysokich zazwyczaj procentów hypotecznych.

O jakiejbądź rencie od kapitału w gospodarstwo włożonego, o wynagrodzeniu za pracę, trud i nadwreżone zdrowie i mowy niéma. Pojedyncze wyjątki, o ile zachodzić mogą, służą li do stwierdzenia reguły.

Dalszym wynikiem tych opłakanych stosunków są:

1) Powszechne ubożenie kraju, spowodowane spadnięciem siły konsumcyjnej aż do zera, najwালniejszego i najliczniejszego konsumenta, mieszkańca wsi.

2) Rosnąca obawa przed wyrobieniem się i po wsiach proletaryatu socyalistycznego, ponieważ właściciel zniewolonym jest zaniechać wszelkich melioracyi, zarobek dających, oraz ograniczyć użycie drogiego robotnika w ogóle do możliwej minimalnej granicy.

3) Strata olbrzymich kapitałów: *a)* jużto w ziemi spadającej gwałtownie w cenie z powodu nieodpowiadającej kosztom produkcyjnym i kapitałowi zakładowemu renty; *b)* jużto spadających przy mnożących się subhastach sum hipotecznych.

4) Wyrabiające się skutkiem ogólnego zubożenia nieukontentowanie i demoralizacya mieszkańców wszystkich klas.

Ze stosunki takie, nader smutne, rzeczywiście zachodzą, jest rzeczą notoryczną. Chcących im zaprzeczyć, policzyć chyba należy do owój niepoprawnej rzeszy, która z pobudek aż nadto przejrzystych, usiłowała przed niedawnym jeszcze czasem zanegować w ogóle istnienie jakiejbądź biędy.

Na dowód, że skargi rolnika na zabójczą iście konkurencyą zagranicy nie są bynajmniej przesadne, powołujemy się dorywczo na dwa sprawozdania poważnych firm kupieckich, z których jedna w blizkim nam nad Bałtykiem Gdańsku, a druga w dalekim, bo nad Renem położonym, Neuss zamieszkała. Ze sprawozdań tych za rok 1878, zawięra pierwsze następujące dosłowne ustępy:

„Pogląd na handel zbożowy kończącego się z dniem dzisiejszym roku, poucza nas na nowo o przewadze Ameryki, stawającej się z każdym rokiem więcej zabójczą. Do wszelkiego importu Wielkiej Brytanii w pszenicy i mące pszennej dostarcza Ameryka obecnie około 50 proc. (do niedawna dostarczała tylko jeszcze 10—25 proc.), podczas gdy eksport Niemiec do Anglii w tych artykułach uszczuplił się z biegiem czasu z 40 proc. do 10 proc. i t. p.”

Sprawozdanie drugie konstatuje, iż sam eksport pszenicy z Nowego Yorku wynosił w r. 1878 buszli 49,474,692, podczas gdy w r. 1877 wynosił jeszcze tylko buszli 16,129,645, a obniżenie się niebywałe cen żyta przypisuje przemożnemu dowozowi towaru obcego czyli rossyjskiego.

Zważywszy przeto, że przy istniejących już a na przyszłość niewątpliwie zwiększających się jeszcze środkach komunikacyjnych, nie mogących jak powiększyć z każdym rokiem podaż zagraniczną, obecną klęskę uważać należy nie jako przypadkową i doraźną, lecz jako nieustającą, rosnącą i trwałą; zważywszy, że gospodarstwo rolne w Niemczech z przyczyni wyłuszczonej, już tak podupadło, iż produkcya jego nie pokrywa w znacznej części potrzeb własnego kraju, podczas gdy Państwo to, jako nie posiadające zgoła kolonii i ubogie w nadbrzeża morskie, a przytém w rozwoju swym przemysłowym paraliżowane ku Wschodowi prohibicyą celną, ku Zachodowi zaś narażone na konkurencyą i wytrawniejszą i w kapitały możniejszą, szukać przecież winno punktu oparcia pod każdym względem przeważnie w rolnictwie; zważywszy, że inaugurowany znaném orędziem pana kanclerza Rzeszy do rady związkowej z dnia 15 grudnia r. z. zwrot w polityce celnej, każe nam się niewątpliwie spodziewać podrożenia znacznego wszelkich za potrzebowań rolnika, za które to oczekiwane obciążenie przynależy się rolnictwu przecież odpowiednia kompensata; zważywszy dalej, że kompensaty téj szukać tylko należy:

1) W zaprowadzeniu dosadnych ceł wchodowych na zagraniczne płody rolnicze, celem: *a*) wyrównania częściowego warunków produkcyjnych kraju a zagranicy; *b*) sprowadzenia krajowi cen stosunkom zachodzącym odpowiedniejszych; *c*) stawienia odnośnych rządów krajowych w możność ulżenia skutecznego ciężarów wiszącemu nad przepaścią rolnictwu, i

2) W zniesieniu taryf różniczkowych na kolejach dla płodów surowych i półfabrykatów rolniczych zagranicznych istniejących, które to taryfy stanowiąc dla zagranicy poniekąd premie importowe, nie tylko są absolutnie szkodliwe dla krajowego rolnictwa, ale poprostu przy obecnym stanie rzeczy przeciwne są zgoła wszelkiej sprawiedliwości.

Zważywszy nareszcie, że w przywróceniu wyższych, dawniej za normalne uważanych cen płodów rolniczych, nie można bynajmniej upatrywać niewłaściwego podrożenia ich, zwłaszcza, że cena towaru normować się przecież winna przeważnie wedle kosztów wytworzenia go i że dobro powszechne polega zaiste, nie tyle na nienaturalnem zdusze-

niu cen żywności, ile na podniesieniu powszechnéj siły spożywczej; wszystko to należycie uwzględniwszy, uważa Centralne Towarzystwo gospodarcze, jako reprezentant przeważnéj większości rolników Wielkiego Księstwa Poznańskiego, nie tylko za prawo, ale oraz za obowiązek swój domagać się stanowczo u wysokiego sejmku Rzeszy, ażeby przy nowém uporządkowaniu prawodawstwa celnego i stosunków taryfowych:

1. Zaprowadzono *skuteczne* cła wchodowe od zboża, chociażby ze „skalą ruchomą” odnośnych pozycji celnych, stosownie do obfitości żniw i wynikających ztąd cen, na wzór prawodawstwa angielskiego, do roku 1864 tamże praktykowanego, oraz od wszelkich innych produktów surowych, tudzież półfabrykatów rolniczych z zagranicy przychodzących;

2. Zniesiono wszelkie taryfy różniczkowe niemieckich kolei dla tychże produktów i półfabrykatów z zagranicy przychodzących.

O B R A Z Y Z Z A M I E R Z C H Ł Y C H D Z I E J Ó W.

ODCZYT NA RZECZ OSAD ROLNYCH, W WIELKIEJ ALEKSANDROWSKIEJ SALI
RATUSZOWEJ W WARSZAWIE.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

I.

Umysł ludzki w miarę rozwoju nauk, dąży coraz usilniej do zbadania przeszłości, poznania dziejów własnych. O ile człowiek w ciemności pogrążony, nie troszczy się o ścieżki, któremi chodził przed laty tysiącem i dwoma tysiącami, o tyle oświecając się, bada, docieka, łoży pracę pokoleń, byle w popiołach minionych tysiącleci, wydmuchać iskierkę prawdy dla nauki, wykryć światełko dla wiedzy i dodać nowe słowo do wielkiej księgi dziejów człowieka i téj jego ziemi, której płody codziennie spożywane, krążą w krwi jego.

Owo ważne psychologiczne i fizyologiczne zadanie: „poznaj siebie,” w zastosowaniu do ludzkości, we wszechstronném znaczeniu, otwiera badawczemu umysłowi człowieka na ścięzaj wrota w świat przeszłości, przeszłości, która jest wszystkiego kolébką: terażniejszości macierzą i przyszłości zadatkim.

Był czas, w którym dzieje zamykano w ciasnych ramach kronik, a historyk poprzestawał na notach latopisów. Lecz z rozkwitem umiejętności, ściany gmachu dziejowego jęto rozszerzać dla pomieszczenia nowych źródeł, nowych nauk pomocniczych dla historii, których doniosłość wzrasta odtąd z dniem każdym. I przyszła chwila, w której, jak ów malarz, co żeby odzwierciedlił prawdę natury i ciepło kolorytu, winien czerpać tony z farb różnych; tak i dziejopis czerpać musi obok kronik ze źródeł etnologii, lingwistyki porównawczej, ziemioznawstwa i całej grupy nauk starożytniczych, którym posługują nieraz nauki przyrodzone.

Ża pomocą tych wszystkich umiejętności, badacz, niby przez szkła teleskopów, zagłębia wzrok swój w ten przestwór; w miarę oddalenia coraz mglistszy i więcej zagadkowy, ginący wreszcie wśród nocy tajemniczej. Wykrywa nieznane, ciekawe, stare drogi postępu i rozwoju cywilizacyi, a gdy ani potęgą geniuszu, ani śmiałością pomysłów mglistej zasłony znad kolébki pachołęctwa zedrzyć nie zdolen; to pracowicie zapisuje, zbiera do skarbicy nauki najdrobniejsze szczegóły z życia praocjów, wydmuchuje z pyłu zapomnienia pomniki, wynurza z prochów ziemi szczęty narzędzi, sprzętów, starych świętości i ozdób, które zdziałane ręką istoty myślącej, zawsze zawierają w sobie ukrytą iskierkę jęj ducha, wierzeń, pojęć, skłonności, obyczajów lub ślad potrzeb powszednich.

Tam, gdzie o pisaniu dziejów nikt jeszcze nie marzył lub kronikarz niepewne podaje mniemania, przybywa antropolog i lingwista, by chwycić prastarych dziejów wątek, przybywa starożytnik, by ze szczątków zamierchłego bytu, z martwój pleśni grobów, wysnuć obraz życia pokoleń, wyświetlić rozwój postępu i przemysłu, stare drogi handlu i cywilizacyi.

Archeologia nie jest już rozrywką amatorską, ale nauką dziejową i prawie ścisłą. Nie jest téż tak nową i młodocianą, za jaką ogół ją poczytuje. Wprawdzie niéma kolébki w średnich wiekach, bo gdy jeszcze król Władysław Jagiełło powodowany ciekawością, w towa zystwie arcyksięcia Ernesta kazał wydobywać przy sobie popielnice około Śremu w Wielkopolsce; to Długosz w naiwnym podziwieniu naczynia te, twardniejące po wyjęciu z wilgotnej ziemi, uważa za garnki samordne. W sto lat później kronikarce niemieccy przypisują jeszcze naturze siłę produkowania takich garnków. Tak sądzi Matesius, a za Długoszem powtarza Miechowita i Kromer. Uczeni Zachodu w owych czasach podobny początek przypisują nawet piramidom egipskim.

Lecz już w XVII wieku, za Ludwika XIV powstaje Akademia napisów; Francya zdobywa się niebawem na niedorównanej wspaniałości

dzieło Montfaucona *O starożytnościach rzymskich*. Jakób z Mellen, Lubeczanin, pierwszy wydaje rozprawę o popielnicach lechickich w r. 1656, odkrytych pod Śmigłem. Nasz Rzeczyński wspomina o interesowaniu się wykopaliskami w Polsce na początku XVIII wieku. Za Stanisława Augusta zajmowanie się starożytnościami, wchodzi w modę u ludzi możnych i światłych. Gabinet króla posiada piękną kolekcją wykopalisk rzymskich, a biskup Jan Albertrandy przedmiot ten traktuje naukowo. Jan Potocki i Kołłątaj usiłują wyjaśnić początek Słowiańszczyzny. Czacki bada numizmatykę polską, a wielu współczesnych miłośników zbiera stare monety i medale. Wacław Seweryn Rzewuski, żeby ożywić badania zamierzchłej przeszłości, wydaje w Krzemieńcu *Pytania do rozwiązania*, w których rzuca rękawicę archeologii. Podniósł ją znany pod przezwiskiem Chodakowskiego Adam Czarnocki i wskazał nauce nowe tory.

Człowiek jest bardzo starym mieszkańcem téj ziemi; kości jego wykryto w stanie kopalnym epoki czwartorzędowej; żył przed potopem w Europie, jednocześnie z mamutem, nosorożcem, lwem jaskiniowym i hieną. Tę starożytność jego wykryto we Francyi, Belgii, Niemczech, w pokładach miocenu we Włoszech, wykryto i na Ukrainie, czego dowodził p. Kamiński w Kijowie.

Była to epoka dziwów wielkich, przewrotów natury strasznych, panowanie potworów olbrzymich, których nawet martwe szczątki przejmują nas dreszczem, grozą. Królował słoń pierwotny, dwa razy większy od dzisiejszego. Zwierz ten nazywany teraz mamutem, miał olbrzymie kły na kark zakrzywione. Zrodzony do klimatu chłodnego, pokryty był gęstym kędzierzawym włosem i grzywą. W odwiecznych lodach Syberyi znaleziono okazy jego zamrożone, w zupełnej świeżości dochowane.

Do potworów należał nosorożec, a dalej niedźwiedź jaskiniowy, którego czaszka dłuższą jest 14 centymetrów od głowy największych niedźwiedzi litewskich.

Tu, gdzie dziś Melpomena i Harmonia, mają swoje ołtarze; tu, gdzieśmy się zebrali słuchać powieści starych czasów, szumiąca dziewicza, pełna tajemnych gąszczów i olbrzymich łomów, majestatyczna puszcza. Ryk potwornych jej mieszkańców zapewne nieraz rozdzierał powietrze mazowieckich okolic i wstrząsał falami Wisły. Pod ciężkimi stopami olbrzymów łamały się krzaki, a ziemia wydawała jęk głuchy.

Już Rzeczyński prawi, że w jaskiniach znachodzą się kości niezwykłego kształtu, uważane za resztki smoków, które powódź Noego wymuliła. To mniemanie jest źródłem podań i bajek o smokach fantastycznych, które miały niegdyś w pieczarach zamieszkiwać.

Przed pół wiekiem zaczęto na Zachodzie badać jaskinie, a pan Ebery w sławnej grocie w Kent koło Torquay, znalazł narzędzie krzemienne razem z kośćmi zaginionych zwierząt. Zaczęto się więc spie-

rać, czy to były narzędzia współczesne z temi zwierzętami, czy późniejsze; dopóki przed laty dwudziestu świat uczony nie uznał za pewnik, że człowiek mieszkał tam przed potopem.

Ludy pierwotne szukały przytułku w przyrodzonych wyżłobieniach skał, przez archaiczne działanie wód utworzonych. W warstwach nagromadzonych przez lat tysiące na dnie tych pieczar, wykryto ciekawe skarby, które dały nam poznać sposób życia troglodytów. Pan Berthet pokusił się nawet osnuć na tym wątku „romans przedhistoryczny,” lecz dla wypełnienia obrazów swjej powieści, musiał wiele dodać z bujnej wyobraźni własnej.

Nasze jaskinie w okolicy uroczego Ojcowa, okazały się tak bogatą skarbnicą dla nauki, jak najciekawsze na Zachodzie. Król Stanisław August, który tyle łożył na wyszukanie źródeł dziejowych swego kraju, nie domyślał się, zwiedzając groty Ojcowskie, że depcze po prochach przedpotopowego ludu Lechii. Dopiero bowiem w naszych czasach zaczęto kości kopalnych zwierząt czerpać z tych jaskiń do zbiorów. Gdy zwiedzałem przed dziesięciu laty Ojców, zdobyłem bez trudu piękną szczękę niedźwiedzia jaskiniowego i kręgi kości pacierzowej, znalezione w stalagmicie.

Dopiero atoli pierwszy pan Jan Zawisza, w roku 1871 rozpoczął poszukiwania wyczerpujące w tych grotach. Jego ważne odkrycia, dają nam obraz starożytnego świata zwierząt w naszym kraju. Oprócz olbrzymiego słonia i niedźwiedzia, żył na podgórzu karpaciem: nosorożec, renifer, hiena, żubr, lis północny, dziki koń wielki, znalazł się róg antylopy i kostki pardwy. Renifer był u nas bardzo pospolitym. Pan Zawisza znalazł rogi od 80 jego egzemplarzy.

Ursus spelaeus miał ulubione siedlisko w jaskini, która później, ponieważ za schronienie Łokietkowi służyć miała, więc Łokietkową nazwana. Nadzwyczajne nagromadzenie kości niedźwiedzia, każe wnosić, że był on tu nader liczny w swoim czasie, lub przez lat tysiące miał swoje siedlisko. Niedźwiedź jaskiniowy podobnych był z dzisiejszym obyczajów. Obaj nie przynoszą zdobyczy do legowisk swoich, ale pożerają na miejscu lub zakopują w pobliżu; ztąd w grotach przez niedźwiedzia zamieszkałych, mało bywa kości innych zwierząt.

Kości pardwy, lisa północnego i rena znalezione w ojcowskiej jaskini, są jednym więcej dowodem, że klimat polskich troglodytów był zimniejszy niż dzisiaj.

A jednak pod tém mroźnem niebem, w otoczeniu srogich drapieżnych bestyi, żył człowiek nieznający ani rolnictwa, ani metalów, nieopatrzony z natury żadną bronią, zmuszony zdobywać krwawo: odzież, pokarm, nawet spokój. Ale człowiek ten, choć tak biedny pozornie, był posiadaczem skarbu, który go panem świata miał uczynić. Człowiek, jak mówi nasz książę biskup warmiński:

wziąwszy rozum w podział....

.....,siadł na słoniu, lwia się skórą odział.”

Człowiek miał broń potężniejszą, niż rogi, kły lub szpony. Troglodyta miał już czaszkę mózgową, fizyologicznie tak rozwiniętą jak dzisiejsza. Jest to kwestya zbyt ważna, iżbym śmiał moje zdanie w tej mierze wygłaszać. Bijąc czołem przed powagą nauki, winienem tu oddać głos Virchowowi, który wyrzekł, że „najdawniejsze czaszki z Engis, Olmo i Cro-Magnon, wcale nie mają cech rasy niższej, a jedynie czaszka z Neanderthalu nosi to znamie; ale też czaszka owa, powiada Virchow, okazała się egzemplarzem patologicznym”, chorobliwym, co wszyscy uznali antropologdy.

Ciekawe odkrycia pana Zawiszy w jaskini mamuta, wykazały: że człowiek zamieszkiwał tę pieczarę przed potopem, w stanie pierwotnej dzikości, nie znając jeszcze nawet ani naczyń glinianych, ani zwierząt domowych. Nie przyswoił sobie psa, bo na kościach upolowanej zwierzyny, niemasz śladów ogryzienia. Dolna szczeka wielkiego niedźwiedzia z potężnym kłem, służyła za broń, bo nosi na sobie zwykle ślady uszkodzenia i zużycia. Narzędzia robił człowiek z kości i krzemienia, którego ostrym odłamem kość obrabiał. Z kości mamuta, z zeber i rogów innych zwierząt, robiono włócznie i szydła, iglice i narzędzia do gładzenia czegoś i odzierania skór zwierzęcych. Pierwotne narzędzia krzemienne, wielkie, niekształtne, nieogładzone, znalazły się w niezmierniej obfitości. Porównane z narzędziami troglodytów zachodniej Europy, wykazują dziwne podobieństwo. Siedm warstw ognisk, w pokładzie grubym parę metrów, nagromadzonym w pieczarze Ojcowskiej, dowodzi, że siedm razy człowiek zamieszkiwał jaskinię w epoce przedpotopowej, która trwała niezmierny przestwór czasu.

Sztuka kuchenna troglodytów z doliny Prądnika różniła się bardzo od 365 naszych *obiadów*. Gdy w tysiące lat później Strabon mówi o ludożerczych Antrofagach i Melanchlenach wśród Scytyi; gdy dziś jeszcze żyją ludy dzikie, u których synowie pozerają zgrzybiałych ojców, któż wie, azali uczyty podobne nie odbywały się w malowniczej dolinie Ojcowa? Ale nie idzie zatém, żeby nasi troglodyci mieli inne nerwy podniebienne od dzisiejszych; owszem, wszystkie grubsze kości zwierząt znalazł pan Zawisza rozłupane dla wydostania szpiku. Szpik więc jest najdawniejszym przysmakiem człowieka.

Mamutowy mieszkaniec ciemnych i dymnych pieczar, miał nawet skłonności te same, co strojniś naszych salonów. Troglodyta nie znając złota i klejnotów, przedziurawiał kły wilcze i niedźwiedzie, by je zawieszać na sobie jako ozdoby i amulety. Znalazł się nawet zagadkowy, zręcznie z kości mamuta oszlifowany brelok, który należy zapewne do tych czasów, z których pan Zawisza odkrył narzędzia także kościane, podobnie kształtem do ryby, uznane przez badaczy w Paryżu za wrzeciona.

Wogóle mieszkańców naszych jaskiń i wszystkie szczątki ich bytu, podzielić można na dwie odrębne epoki: pierwsza mamuta,

przedpotopowa, bardzo odległa; druga znacznie późniejsza, względnie wielki postęp przedstawiająca, tak zwana epoka kamienia szlifowanego. W pierwszej żył u nas jeszcze ren, a człowiek żywił się głównie koniem i żubrem. W drugiej lepił już i ozdabiał naczynia gliniane, ogładzał narzędzia kamienne, w toporkach drylował otwory, a przyswoiwszy sobie psa i konia, brzydził się już mięsem tych swoich sług i przyjaciół. Charakterystyczną rzeczą jest, że gdy w epoce pierwszej był jawnym gospodarzem pieczary, rozpałał ogniska na jej środku w pobliżu wejścia; to w epoce późniejszej, krył się z ogniem w dwu bocznych korytarzach, lękał się być wytropionym w swój kryjówce. Występuje tu owa walka o byt, która w miarę wzrostu zaludnienia przechodzi w walkę plenion.

Dwie powyższe epoki przedzielone były wielkim, groźnym i podobno bardzo długim kataklizmem. Większa część ziemi pokryła się wodą i lodami pędzonymi wiatrem północnym. Ponad olbrzymie bałwany wód, wystawały tylko góry i wyżyny szczęśliwe. Na nizinach ginęły pierwotne ludy i zwierzęta. Długowieczna powódź uwarstwiała tak zwane pokłady czwartorzędowe, w których przechowały się pamiątki zaginionego świata, a między nimi pierwotne narzędzia krzemienne człowieka.

Zpod opadających fal powierzchnia ziemi ukazywała się dzisiejsza. Była tylko dzika i pusta, bezleśna i bezludna, zasiana od północy przyniesionymi na lodach ze Skandynawii głazami. Klimat chłodny i wilgotny zaczął się zwolna ocieplać. Potwrcy giną niepowrotnie, człowiek wytępie ich resztę. Ren, lis północny i pardwa ustępują ku północy, hiena na południe, świszc i koziół dziki z wiecznymi śniegami na szczyty gór. Ren rzadkim gościem zabłąkał się czasem do środka Europy, koń dziki przetrwał długo, tur oswojony przerodził się na liczne rasy bydła, żubr nie zdalny do tego, przetrwał w stanie pierwotnym jako osobliwość na Litwie i Kaukazie.

Ile tysięcy lat dzieli nas od epoki lodowej, tego nauka dotąd nie wykryła. Braun i Adhemar koniec jej obliczają na 9,000 do 10,000 lat przed naszą erą, ale Virchow odpowiada: „Któż to może wiedzieć?”

Po owym kataklizmie, prawdopodobnie resztki troglodytów i plemiona turańskie zaludniały zrzadka Europę. Nieznając rolnictwa i pasterstwa, żywiły się zwierzyną, rybą i dzikim owocem, nad morzem skorupiakami a zwłaszcza ulubioną ostrygą, zostawiając dla dzisiejszych starożytników całe góry wypróżnionych konch. Postęp, przy nieznanomości kruszców, mógłże istnieć w tej epoce, która jest dla nas bardzo ciemną, bo owoce badań fizyologicznych sprzeczne są z lingwistycznymi.

Wśród tej nocy turańskiego barbarzyństwa błysnął dla Europy przedświt nowej cywilizacji, która w rozwoju swoim wydała kulturę dzisiejszą, czyniąc najmizerniejszą z pięciu części świata, panią kuli ziemskiej. Oto z Azji, gdzie jaśniały najstarsze cywilizacje: indyjska i chińska, z Azji będącej kolebką wszystkich emigracji ludów, zaczęły

się wędrowki Aryów na Zachód. Plemiona te postępując brzegami morza Śródziemnego, opanowały Południe i dały początek dwom najstarszym cywilizacyom w Europie: greckiej i etruskiej. Postępując w górę Dunaju, Dniestru i Dniepru, zajęły środek i zachód Europy. Aryowie prowadzili z sobą zwierzęta domowe, nieśli pług, ziarna zbożowe i znajomość kruszcu. W Azji użytek kruszcu był prastarym, w Indyach z miedzi i cyny od wieków robiono bronz. W Etrurji powstały czasem największe w Europie wyrobnie przedmiotów i ozdób bronzowych, do których cynę miano sprowadzać z Cornwallis, na wyspach Brytanii.

Ryczałtowego wytopienia Turanów być nie mogło, tylko wynarodowienie takie, jakiemu ulegli nad Rodanem Ligurowie. Nastąpiło zwycięstwo rasy z wyższą cywilizacją. Turanie topnieli, wsiąkali w ludność aryjską, potężniejszą. Co dziwna, że ten proces trwa jeszcze dotąd na dwu krańcach Europy. Baskowie pierwotny lud iberyjski i Finnowie zachowali swoją odrębność fizyologiczną i językową, ale każde pokolenie Basków daje pewien procent dla narodowości francuzkiej, a w Rosyji dzieje się podobnie z Finnami na rzecz Słowian.

Przybycie Słowian do Europy, tonie w grubiej mgłę niepewności, równie jak innych ludów aryjskich. Pisarze starożytni podają zbyt ciemne i powikłane wiadomości o Słowiańszczyźnie. I nic dziwnego. Jeżeli dziś jeszcze, nawet autorowie nie znają często geografii, historii i etnologii swych sąsiadów, cóż się dziwić niedokładności opisów, w czasach, gdy plemiona żyły bez nazwisk, do których tylko wyrobione narody przywiązują się; gdy w krainach mało zaludnionych, granic nie mających, wędrowki i wciskanie się plemion jednych między drugie, było łatwem.

Sarmaci i wojujący z nimi Skitowie, nazywani już przez Herodota oraczami, byli zapewne tak dobrzy Słowianie jak Wendowie, których Tacyt zalicza do świata germańskiego, mającego rozciągać się aż po Wisłę. Uczeni niemieccy są z tego zaboru bardzo radzi i nawet Virchow sądzi, że dopiero w VI wieku naszej ery, Słowianie przybyli nad Odrę i Elbę. Tylko archeologia, na ten raz dostarczyła dowodów pozytywnych, że cmentarze Słowian zachodnich sięgają czasów Tyberysza.

Znamienity antropolog doktor Izydor Kopernicki, jest zdania, że czaszki z naszych starych grobów są odmienne od dzisiejszych słowiańskich, a wielce podobne do znajdujących w grobach na Zachodzie i w Skandynawii. Wyprowadza ztąd wniosek, że na ziemiach naszych mieszkali w ostatniej epoce przedhistorycznej ludy aryjskie, niestowiańskiego szczeptu.

Co do mnie, to jestem zdania razem z Michałem Grabowskim, że na dziedzinie słowiańskiej, już od bardzo dawna, lud jakiś wielki stanowił masę tubylców, przez którą płynęły inne wędrowne plemiona, ale wyprzeć jęj z posad nie mogły. Był to rozrodzony nad Wisłą i Dnieprem lud Słowian, który pod osłoną gęstych puszczy i nieprzebytych trzęsawisk, przywiązany do rodzinnych gniazd, kniei i kryjówek,

przetwał huragany orężnych Gotów, Hunnów, Wołgarów, Pieczyngów, Połowców, Chazarów czy Kozarów, Jazygów czy Jadźwingów i Awarów czy Obrów, które to ludy należąc powiększej części do późniejszych, niż aryjska, emigracyi azyatyckich, parte na Zachód, rozciągały zbójcką, czasową przemoc nad osiedlonymi już Słowianami. Jedni tylko Madziarowie dotąd zachowali swój byt i język, ale okupili to przyjęciem aryjskiej kultury w Europie.

Najstarsze tradycje przechowały nam pamięć pierwotnego użytku kamienia. Rytuły niektórych dawnych ludów, np. księgi Mojżeszowe, nakazywały przy pewnych obrzędach używanie narzędzi kamiennych. Egipcyanie przy balsamowaniu używali takich nożów. Thor w mitologii północnej przedstawiony jest z młotem kamiennym, u Ekwów ofiary zabijano tylko narzędziem z kamienia.

Narzędzia krzemienne są pierwszym na ziemi śladem sztuki rękodzielniczej człowieka. Sztuka ta przedstawia plastycznie swój rozwój od bryłowych narzędzi troglodytów do misternych pięknego rysunku strzał mazowieckich.

Narzędzia krzemienne znajdujemy od lodów Północy, do krain zwrotnikowych. Zittel napotkał je w pustyni Libijskiej. Co dziwniejsza: strzały i noże patagońskie nie różnią się od skandynawskich a siekiarki Eskimosów lub dzikich w Zelandyi, są podobne jak z wyspy Rugii. Owoc to jednakowych potrzeb człowieka i jednakowego materiału.

Niektóre odkrycia ujawniły dotykalnie dawny użytek krzemienia. Pan Baye w jaskini nad Marną, znalazł mnóstwo strzał krzemiennych, pomieszanych z kośćmi zwierząt i ludzi, bo służyły na łowach i w boju. W kości pacierzowej ludzkiej tkwiła jeszcze jedna strzała, co dowodzi wydoskonalenia sztuki strzelania z łuków. W Żurownikach około Wiślicy, odkryto w grobie szkielet z czaszką, w której tkwiła siekiera krzemienista. W Danii znaleziono w kości ramieniowej ołtam podobnej siekiery.

Narzędziem krzemieniom można zaostrzać drzewo i kość, krajać skórę i mięso, zabijać ludzi i zwierzęta. Ścinanie grubego drzewa jest już prawie niemożliwem, skuteczniano to więc za pomocą ognia przez opalanie pnia, czego dowody widziałem na olchach, które się pod torfem przechowały. Indianie północnej Ameryki mają dotąd używać narzędzi kamiennych do uprawy roli. Dało to zapewne powód np. panu Tranlée, do uważania wielkich, kamiennych klinów za zęby starożytniej brony. Dowodzi to jednak, że pan Tranlée nie zastanowił się tylko nad fizycznym ruchem brony, której zęby tylko drewniane i metalowe a nigdy kamienne, mogą wytrzymać siłę bocznych uderzeń.

Narzędzia kamienne osadzano w drzewie lub rogu. Tak oprawione znajdowano w torfach i na dnie jezior, gdzie drzewo zwęglone lub zbutwiałe przechowuje się lat tysiące. Dla umocnienia obsady zaczęto świdrować otwory w toporkach, a ciekawa sztuka tego drylowania, niezupełnie dotąd wyjaśniona, dziwnie udoskonalona przez starożytnych, jest wskazówką postępu. Otwór w narzędziu zawsze jest

prostopadły, wybornie okrągły i zwykle szerszy od góry dla lepszego zaklinowania. Przystępowano do wyrobienia go na ostatku, to jest po dokonaniem oszlifowaniu toporka. Do drylowania miano przyrząd tokarski, za pomocą którego dryl szybko obiegający obwód otworu, zapuszczał się coraz głębiej, pozostawiając w środku czopek, który później wypadał. Z czego robiono sam dryl, jest zagadką dotąd nierozwiązaną. Jedni przypuszczają, że ze stali, ale trudno w to uwierzyć. To pewna, że profesor Keller, pp. Forel i inni, za pomocą szybkich obrotów wydrążonej cylindrycznie kości lub kawałka drzewa, przy pomocy ostrego piasku i wody, przewiercali dyoryt i serpentyn. Z drugiej strony pewnym jest, że wiele narzędzi kamiennych pochodzi już z epoki znajomości kruszców, bo nosi wyraźne ślady jakby formy odlewu, co ztąd pochodzi, że były robione na wzór narzędzi bronzowych. Uprzywilejowanym materiałem, do wyrobu toporków był dyoryt, syenit i serpentyn. Materiał ten mógł być przedmiotem handlu zamiennego. Dyoryt znajduje się w Finlandyi, we Węgrzech i Korsyce, serpentyn w Niemczech i Szląsku, syenit w Saksonii, Morawii, zatoce Fińskiej i na Wołyniu, gdzie podług pana Ossowskiego wyrabiano toporki nad rzeką Szesteń, a krążki z motuńskiego łupku czerwonego, koło wsi Nagórzan i Kamieńszczyzny. W Moszczanicy na Wołyniu była przedhistoryczna wyrobnia narzędzi na wielką skalę, jak to można sądzić z mnóstwa znalezionych tam czopków i przedmiotów niedokończonych. Krzemień mamy rozsiany po całym kraju: na polach, w pokładach kredy lub korytach rzek, z głębszych warstw wymulony. Ale znaleziono także narzędzia z minerałów, które w stanie rodzimym, tylko w Azji odkryto.

Gubernie zachodnie Cesarstwa, ubogie w broń brązową, mają bogatą grotę kamienia. Kraszewski pisząc *O sztuce u Słowian*, korzystał ze zbioru Ludwika Pawłowskiego, który na gruntach dwu wołyńskich wiosek: Moszczanicy wielkiej i małej, zgromadził kolekcją mogącą ozdobić każde muzeum w Europie.

Zbadanie siedliska tego starożytnego ludu wołyńskiego, który tyle pięknych wyrobów pozostawił, mogłoby nam coś więcej o nim powiedzieć. Jakoż robiąc poszukiwania z panem Radziwińskim, o mil sześć od Moszczanicy, szczęśliwie natrafiłem około Siwek na przastare sadyby.

W głębokiej, zarostów grabowym lasem pięknej dolinie, nad brzegiem małego ruczaju, płynącego do Horynia, znaleźliśmy w niewielkiej głębokości, wśród czarnoziemiu, całą warstwę przepelnioną pamiątkami przeddziejowego bytu mieszkańców. Były to krzemienne narzędzia lub ich odłamki, niezmierna ilość okrzosków, czerepy z glinianych naczyń rozmaitego kształtu, gliniane krążki, kości upolowanych zwierząt i przepalona ziemia ognisk. Gdziekolwiek wzdłuż doliny zapuszczaliśmy łopatę, wszędzie napotykała krzemień gwałupany przez starożytnych mieszkańców. Wszystko dowodziło, że lud ten

długie wieki przemieszkał na jednym miejscu, nieznając użytku kruszców, których nie udało nam się nigdzie wykryć śladu.

Od starych sadyb udaliśmy się do mogił tego ludu, rozsianych po czarnoziemnych wzgórzach okolicznych. Nie zakopywał on zmarłych swoich w głębi ziemi, ale złożywszy zwłoki na powierzchni, stawiał przy głowie naczynie z pokarmem, kładł po drugiej stronie broń kamienną i przysypywał kurhanem. Znalezione szkielety świadczą, że było lud długogłowy, wzrostu dobrego, budowy silnej; miał tę fizyologiczną szczególność, że na kościach ramieniowych posiadał przedziurawione nawskroś dołki łokciowe, co dziś spotykamy tylko u Hottentotów i Murzynów, a co nadaje im większą siłę w ciskaniu, przez możność nieco dalszego odginania wstecz ręki ¹⁾.

Byłże to lud epoki kamiennój? Można by go zaiste tak nazwać, gdyby wprowadzony przez Thomson'a podział na trzy epoki: kamienną, bronzową i żelazną, miał chronologiczną podstawę; podział ten jednak nie utrzymał się. Wogóle metale były z początku i przez długi czas jeszcze tak rzadkie, że dla potrzeb ogółu wystarczyć nie mogły, a złąd istniały dwie epoki obok siebie, bo gdy jedni używali kruszcu, to ci co go nie posiadali, posługiwali się kamieniem. U plemion, które nie miały rudy lub przemysłu odpowiedniego i dróg handlu, epoka kamienna trwała jeszcze wtedy, gdy w innych krajach już nawet tradycya jęj zaginęła. Są poszlaki, że niektórzy Litwini w bitwie pod Grunwaldem uzbrojeni byli jeszcze w młoty kamienne. U Lapończyków epoka kamienna trwała do początku bieżącego stulecia; u Eskimosów trwa dotąd prawie.

Starożytni nasi poprzednicy potrzebowali dużo różnych drobnych narzędzi, wśród których najliczniejsze są strzały (t. j. *belty* czyli ostrza osadzone na drewnianym pręcie, który po polsku *brzechwą* się zowie); dalej skrobacze i płaskie, ostre, z dziwną umiętnością łupane drzazgi krzemienne, które służyły do wszystkiego, do czego nóż może się nadać. Największy ze znanych mi takich nożów krzemiennych, znaleziony w Strzegocinie pod Kutnem, ma 23 centymetrów długości. Nasze strzały miewają kształt podobny do drobnego listka, serca lub trójkąta, niekiedy bardzo małeńkie, bywają ząbkowane i tak arcymisterniej roboty, że wywołują podziw starożytników zagranicznych. Nad Bugiem najwięcej strzał z trzonkami; na Mazowszu upodobano kształt sercowaty. Ale napotkałem miejscowości, gdzie z kilkudziesięciu znalezionych beltów, każdy był inny.

Wogóle kraj nasz pokazał się najbogatszym w Europie w takie misterne strzały. Ale znajduwane obok krzemiennych tegoż kształtu bronzowe i żelazne, niewątpliwie współczesne, nie pozwalają wszystkiego odnosić do zbyt odległych epok.

¹⁾ O tych szkieletach przesłanych do Krakowa, dr. Izidor Kopernicki pisał sprawozdanie w I tomie *Materyałów archeologicznych*.

Niektóre miejscowości starych osad, czyli tak zwane „stacye krzemienne” dostarczają samych narzędzi wyborowych: większych lub mniejszych. A wszystko robiono u nas na miejscu, bo wszędzie znajdujemy przedmioty niedokończone, drobne okrzeski i tak zwane „rdzenie,” czyli ośrodki krzemienia odrzucone. Wszystkie te pamiątki stariej pracy zagadkowych ludów, wiatr wywiewa dziś z piasku ze szczątkami urn, które z popiołami ojców swoich, zakopywano w pobliżu ognisk domowych, nie osłaniając głazami.

Osady z czasów użytku krzemienia, pokazały się u nas bardzo liczne. Są strony na prawym brzegu Wisły w Mazowszu, gdzie na gruntach każdej prawie wioski, istniały już w owych czasach siedliska. Profesor Przyborowski z zamiłowaniem bada stacye krzemienne w Mazowszu i Lubelskiem. Co do mnie, wyszukałem ich około setkę w okolicach Niemna, Narwi, Buga, Wisły, Biebrzy, w Krakowskiem i Galicyi.

Z topograficznego położenia tych osad i cmentarzysk, w miejscach często mało górujących nad poziom dzisiejszych wiosennych rzecznych wylewów, mamy dowód jasny, że powódzie te w owej epoce nie wznosiły się wyżej niż dzisiaj i klęsk podobnych, jak np. tegoroczna, nie czyniły. Owszem, w kraju zacienionym gęstą, nieprzejrzaną puszczą, śniegi topniały wolniej niż dziś na polach, na działania słońca wystawionych. Było więc więcej wilgoci latem, a mniej powodzi na wiosnę. Tam też, gdzie w bezpiecznych miejscach składano w ziemi popielnice, np. pod Ośnicą nad Wisłą, pod Łęgonicami nad Pilicą, w tysiąc lat później wezbrane fale odkryły wnętrza grobów.

W okolicy grodu, gdzie trzystotysięczna dziś ludność napełnia gwarem i zgiełkiem wspaniałe mury, piętrzące się w miejscu stariej mazowieckiej sadyby Warcisława czyli Warsza, już w czasach przedziejowego okresu, były liczne siedliska pierwotnych Mazowszan, posługujących się krzemieniem. W półmilowym promieniu Pragi odróżniono siedm starych osad. Warszawa była otoczona ich wieńcem, począwszy od Bórakowa do Willanowa i Wierzbna. W Grochowie, Targówku, Belwederze i dziesięciu może innych miejscach, znaleziono urny i prześliczne wyroby z krzemienia. A ileż ich zniszczało bez śladu w ciągu wieków? Przed lat tysiącem nie było tu pustkowia, ale rojna ludem mazowieckim okolica. Można było już przewidzieć, że wyrosnąć z tego musi kiedyś miasto.

Wykrycie, zbadanie i ułożenie mapy starych siedlisk naszych, pozwoli wnioskować o dawnym zaludnieniu i sposobie życia plemion, które dały początek dziejom stariej Lechii.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Pisma Franciszka Wężyka. Poezye z pośmiertnych rękopisów. Tom I. Tłómaczenie klasyków: Wergilego Marona, Enejda. Kraków; nakładem rodziny autora. Skład główny w księgarni Gebethnera i spółki, 1878 r.

Enejda. Kiedy przed laty dwudziestu ukazał się arcy-klasyczny poemat K. Koźmiana: *Stefan Czarniecki*, zewsząd słyszeliśmy głosy: „Wergiliusz, reminiscencye, Enejda!” Niepodobna tu zaprzeczyć rzeczywistości analogii. Ale czémże jest ona w porównaniu ze stosunkiem Wergiliusza do Homera.

Wśród *naszych* wyobrażeń o zasługach literackich i opartém na nich prawie nietykalności cudzego pomysłu, nie jesteśmy w stanie wytłómaczyć sobie cynizmu, z jakim poeci rzymscy rzecz cudzą jawnie, bez ważnych przeróbek, przywłaszczali sobie i to z przekonaniem, że im zjedna uznanie współczesnych i nieśmiertelność u potomnych. Jeżeli jaki poemat, tedy Enejda wydatnie pokazuje, jak pobłażliwém być musiało u Rzymian sumienie wobec słabostek ambicyi autorskiej. Wziąć zamysł i pomysł obcej inteligencji, przerysować cudzy plan ze wszystkimi jego przecięciami, przepisać niekiedy dosłownie całe dzienne akcyi głównej, powtórzyć systematycznie obraz za obrazem, tętno za tętnem: oto porządek dzienny w literaturze rzymskiej złotego wieku. I jak tu się nie zdumiewać człowiekowi nowego czasu, zwłaszcza na myśl, że przed utworem *Augustowego Wergiliusza*, przodem kroczy herold z okrzykiem: „ustąpcie... bo się rodzi coś większego nad *liadę*.”

A jednakże Wergiliuszowi zdolności, geniuszu nawet odmówić niemożna. Wsłuchując się w majestatyczny prąd jego sześcioramiu, w królewską obrazów, w wielką grę efektów dźwiękowych, w jego Homerowską łzę nad upadającymi, nadziwić się niemożna, przebaczyć niepodobna postawy kłęczącego mistrzowi, który stać był powinien i „górne oblicze podnosić ku gwiazdom.” Wolał być naśladowcą—rzecz szczególna! Może w ubóstwianiu tradycyi rzymskich był nieszczerym. Zamach na Enejdę, którą chciał spalić, powinienby krytyce dać do myślenia o czémś więcej, jak o zwykłym niezadowolnieniu autorskiém. Przypomnijmy sobie wiersz Oktawiana: „Więc ostatni głos w życiu (głos Wergiliusza przed zgonem) mógł zalecać tak dziką zbrodnię?

więc pójdzie na ogień i umrze wielka Muza miodoustego Marona?" „Ależ zachować należy wiarę praw, należy być posłusznym zleceniu ostatniej woli?.. O nie! raczej niech złamaną będzie czcigodna moc praw, niżby jeden dzień miał pochłonąć tyle trudów, nagromadzonych przez dnie i noc.”

Cesarski hegzametrami jasno wypowiada, jak oceniał *Enejdę* Rzymianin; inaczej jednak oceniał ją sam twórca i prawdopodobnie w poczuciu grzechu, że pośpieszył się z wniebowzięciem Augusta, nie zapytawszy arcopagu świata, czy zaszczyci domniemanego boga listem żelaznym; że w VI-ém księdze, wyprowadzając z chaosu wielkości prawdziwe (np. Marcella), tylnymi drzwiami chaosu wyprowadza na scenę Juliuszów i t. p.

Potomność jednak, złudzona niezaprzeconemi zaletami wielkiego naśladowcy, zapomniała mu naiwne zagrabienie typów, podtoczenie kadłuba rzymskiego pod biusty Hektora i Achillea, gdyż biusty pięknymi są, bez względu na stronę formalną, na skrupuły prawa własności. Wergiliusz przytęm dojrzałością obrobienia bliżej przypada do pióra nowożytnego i dlatego przekłady *Enejdy* są dawniejszemi od przekładów epepej greckiej. Piękność artykularna, grecka, nie jest tak przystępną, jak piękność rzymska—oparta na krasomówstwie i dworskiej wytworności. *Iliada* to przestwór; *Enejda* to salon, zaciekawia, podrażnia, a kroczy w pozach obliczonych. Jedynem w niej znamieniem wyższego porządku jest heroizm, ale pojęty w typie rzymskim i wielmożność dykei, wskazująca wyższą dojrzałość państwową. I dlatego kronikarz Bolesława Chrobrego, kładzie w jego usta wyrazy z *Enejdy*, z Homera: „wspomną mię kiedyś synowie i synowie synów” (*Et nati natorum et qui nascentur ab illis*).

Panegiryzm i sielankowość wieku XVI skłaniały też więcej ku *Enejdzie*. Tylko Jan Kochanowski mógł być mężem Iliady, ale ubiegły ją *Psalmę*.

Jako utwór wykończenia formy, jako dzieło nawskroś technące karnością estetyczną ze względu na ścisłość linii i czerstwość kolorytu, na ustrój męzki i wymykające się chwilami myśli wysokiej powagi moralnej (w księdze VI-ém), *Enejda* nowszego przekładu, z natury rzeczy, domyślną była w szeregu postulatów naszej ery klasycznej. Na zasadzie też i w duchu owych warunków, przekład Wężyka oceniać nam wypada.

Tak pojmowana praca jego, nie wątpimy, że zyska uznanie i do wieńca grobowego nowy kwiat przyczyni. Niepodobna zaprzeczyć dostojnemu pracownikowi, że się wczuł i wmyślił w swojego mistrza.

Co do współbrzmienności z pierwtworem, przekład jego postawić się daje prawie na równi z tłumaczeniem Dmóchowskiego; pomimo (rzadkich wprawdzie) zwrotów mniej swojskich, przewyższa go czystopolską dosadnością. Równość wymiaru w obrazach pojedynczych, stała, nurząca niekiedy jednostajność rytmu, są to już wady nie tłumacza, lecz mistrza samego. Czego możnaby było i należało uniknąć, to prze-

kładni łacińskiej ¹⁾, na której tyle traci np. Naruszewicz, nie mogąc się z nią rozstać nawet w sielance.

Do poważniejszych zarzutów, jakieby naszemu tłumaczowi zrobić wypadało, należy ten, iż przy ścisłości wyrazowej niezawsze uwzględnił ścisłość *pojęciową*, na której wszakże istotowa wierność przekładu głównie zawisa. Aby wyjaśnić czytelnikowi, jak rozumiemy pod tym względem nasze wymagania, pozwalamy sobie krótkiego odstępu.

Jak wyraz pojedynczy zamyka w sobie pewien cykl wewnętrzny znaczeń i odcieni, tak znowu pojedyncze wyobrażenie obstawione jest szeregiem wyrazów mniej lub więcej blizkoznacznym z nim i to stanowi skalę jego zewnętrzną. Tę właśnie ostatnią mamy tym razem na oku.

Otóż w każdej grupie blizkoznaczników jest jeden wyraz, stanowiący pojęciowy środek, siłę wypadkową tej grupy i ten jedynie wyraz danemu nastrojowi myśli autora odpowiadać może. W przekładzie tedy, jeśli ma być wiernym *pojęciowo*, owę właśnie arterię uchwycić należy wśród grupy. Z przekładu dostojnego pracownika wybieramy miejsce podrzędne, aby pokazać czytelnikowi, ile to tracić mogą miejsca ważniejsze na podobnej niedowadze. W księdze IX np. mamy jeden z owych obrazków cudowności, któremi klasycy rzymscy tak sobie zwykli ułatwiać rozmotywanie węzła, ile razy przez nieoględność powikłały się im w rękach sprężyny. Turnus, korzystając z nieobecności Eneasza, zamierza uderzyć na obwarowanych Trojan, a okręta ich spalić i tym sposobem przeciąć im drogę do odwrotu. Jakoż młodzież rulska gorąco zabiera się do dzieła.

„Ognia! woła na rzeszę swych ziomków radosną
I sam zbroi swe ramię gorejącą sosną.
Lecą; Turna obecność zapal w nich podwaja,
Wnet się w czarne pochodnie cała młodź uzbraja:
Z smolnej strawy ogniście buchają potoki,
A wulkan dym z popiołem ciska pod obłoki.”

(Obraz przełożony wybornie, a obok tego w pewnych miejscach prawie dosłownie).

Nie spłonęły jednak okręta Eneasza, a nie spłonęły dlatego: Niedyś, kiedy Eneasze budował je z sosen indyjskich, Cybele ujęta pobożnością Trojan, wymogła na Jowiszowi obietnicę, że będą nienaruszonymi. Otóż, dotrzymując słowa, Jowisz odwraca pożogę: okręta same odrywają kępujące je liny, same odbijają od brzegu i przemieniają się w nimfy morskie. Zjawisku temu towarzyszyły przytém cudowne krzyki z nieba, dające otuchę Trojanom (naturalnie było głos spełniający dawną prośbę Cybeli): „Nie rwiście się z trwogą do obrony *moich* okrętów, rąk nie uzbrajajcie; pierwój uda się Turnowi wypalić morza, niżli święte sosny.”

¹⁾ Uciekają i w zamku kryją się Pallady... by wołu w ofierze, wielkiego, przed Neptuna powalił oltarze (księga II).

Nasz tłumacz powiada:

„Nie kwapcie się o Teukrzy! ku naw mych obronie:
Wprzód Turn niż te łodzie, morskie spali tonie!”

Ale tu szło nie o *łodzię*, szło o konkretną rzecz, o własność (*sacrum*) Cybela, tą zaś własnością były *sosny*. Nad tą rzeczą konkretną, Cybela wypraszała sobie opiekę: „Synu, mówiła, mam ja las sosnowy na szczycie Idy... gaj o czarniawym świerku i belkach klonowych; *te ja* darowałam błagającemu młodzieńcowi dardanidzkiemu: nie daj ich złamać żadnym wiatrom; niechże im wyjdzie na szczęście to, że się zrodziły na moich górach.”

Otóż wśród grupy wyrazów otaczających pojęcie okrętu (okręt, łódź, sosna, nawa), tym razem jedynie charakterystycznym był wyraz *sosna*. Niedokładnością pojęciową, na mniejszą skalę, jesttu np. wyraz spalić, zamiast *wypalić* (z gruntu); *morskie tonie* zamiast *morza*. Kiedy bowiem idzie o przeciwstawienie, wybierać należy podobnież wyraz, górujący wśród swojej skali (takim jest wyraz *morza* naprzeciw świętych i nietykalnych sosen bogini-matki), albo téż i formę górującą, wśród innych (wypalić). Przypomnijmy sobie, jak ważnym był pociąg pędzła w sonecie krymskim: *Zastrzelony piorunem*.

Zauważać się téż daje niekiedy zacieranie znamion dramatycznych tam, gdzie Wergiliusz głównie liczył na nie. Jedno szczęśliwe odwrócenie ryłca mogłoby przywrócić charakter pierwotny. W księdze II np. Eneaszowi ukazuje się Wenus, aby powściągnąć owę znaną nam, bo ciągle o niej sam mówi, gorączkę śmierci i żądzę pomśzczenia się na Helenie.

„Nie twarz nienawistna Spartanki, nie występny Parys, *bogów nielaska, bogów*, wywraca te dostatki i od szczytu łamie Troję.”

Otóż cały fakt świetnie oddanym został w przekładzie, tylko w początku obstawienie *bogów* przymiotami i to oderwanemi, a przytém niefortunny spójnik powstrzymują ogólny prąd myśli:

„Ani twarz ci obmierzła Heleny Spartanki,
Ani Parys przez mylne oskarżany *wzmianki*;
Lecz gniew bogów, władających na ziemi i niebie,
Troję z szczytu potęgi w rozwalinach grzebie.
...Gdzie z gmachów nie pozostał kamień na kamieniu,
Gdzie dym z kurzem w okropném widzisz połączeniu;
Tam Neptun pod trójzębem mury nadwątłał
Burzy i z samych zasad wzrusza miasto całe.
...Pallas czelnie zajmwszy zamku stanowiska,
Łbem Meduzy przeraża i obłokiem błyska.”

(Księga II od wiersza 601).

Wiersz wspaniały, godny dramaturga. Wyrażenie: „łeb Meduzy,” jest właśnie owym górującym punktem, o którym wyżej nadmieniliśmy.

Wyrazy a szczególnie ugrupowania abstrakcyjne, podobno po wszystkie czasy razić będą w poezji, gdyż oderwanie jest typem prozy, rozumowania; poezya żyje konkretnością, barwami, wcieleniem. W przytoczonym też przed chwilą ustępie ckliwo wyglądają wyrazy: „Widzisz dym z kurzem w dziwném połączeniu.” Podobnyż zarzut stosuje się do wierszy niżej następujących, w porównaniu ginącej Troi z podciętym jaworem, który po długim oporze:

„Zwalczony ran mnogich liczném zadawaniem:
Jęknął, padł i wstrząsł góry okropném skonaniem.”

„Jawor, zwalony liczném zadawaniem mnogich ran,” jestto wyrażenie, niewytrzymałające naprzód krytyki mowniczój, bo tu w przekładzie, zdaje się, jak gdyby jawor zadawał mnogie rany—gdy tymczasem natura rzeczy każe się domyślać odbierania ran (objektywnie); tém bardziej jeszcze nagromadzono tu abstrakcyę na abstrakcyę, co się wbrew sprzeciwia duchowi prawa estetycznego. Naddatek wyrazów czysto liczebny nie wynagradza ślicznego rysu, jaki się wymknął z rąk tłómacza; u Wergiliusza podcięty jawor wydał dech ostatni (*ingemuit supremum*).

W rzewnym i przyznać potrzeba, pięknie przetłómaczonym głósie ojca Anchizesa, który pomimo prośb syna, synowój i wnuka, nie chce dzielić z nimi uciezki, tłómacz w niektórych pociągach pióra przesięgnął nawet pierwowzór: „Ratujcie się uciezką, mówi, ja sam zostanę lub sam sobie śmierć pewną znajdę bez odwłoki.” Ale tłómacz ujął farby od pierwowzoru kładąc w usta żałośnika te słowa:

„Lub wróg zgładzi przez litość i obedrze zwłoki.”

Wergiliusz powiedział tu więcj, bo mniej powiedział: „Sam ręką odszukam śmierci, zlituje się wróg i sięgnie po łupy.” Również na usunięciu konkretności stracił głos rozpaczy starca, który w oryginale mówi: „Wy, w których (jeszcze) *cala krew* wieku i nietknięte w swój mocy stoją siły;” a w przekładzie: „Wy, rzekł, których wiek darzy w siły niezachwiane.” Starzec na dowód, że i sami bogowie wyrzekli się go, powiada: „Jużci przedtém ja bogom nienawistny, nieprzydatny, ciągnę lata, od chwili, jak bogów ojciec i król ludzi wionął na mnie wiatrami i piorunem i dotknął mnie ogniem.” W przekładzie zostało tylko kilka kropli wrzących rysów oryginału, choć zresztą wcale energiczne: „Wszak ja bogom obmierzłe, próżne wiodę życie, odkąd gromem Jowisza zostałem rażony.”

Nawiasowo zwracamy uwagę na pewne zboczenia składniowe, jak np.:

„Nie chcę po zgonie Troi wieść *wygnanieze życie* i mocno przekonani jesteśmy, że czytelnik uwagi tej nie nazwie pedantyczną, bo przypadek drugi należy do rodowych znamion ducha naszój składni.

W księdze IX znouwu czytamy:

„Tak *widząc* mur i obóz, *serce* Rutalczyka
Wro gniewem, a ból srogi kości mu przenika.”

Podobnież w księdze IV:

„To rzekłszy, już nieszczęsną sroga żąda miota,
By rychłej obmierzłego pozbyć się żywota.”

W ogólnym poglądzie na pracę Wężyka nasuwa się jeszcze pewne stanowisko, łatwe do sformułowania, ale pomimo zewnętrzności swojej określające wydatnie naturę przekładów owej epoki, której dotykamy. Zwyczajem, że już nie powiemy: wadą tłumaczeń, nawet pierwszego rzędu, do jakich, obok Dmochowskiego i niniejszy zaliczyć można, jest zamknięcie się w zbyt ograniczanej liczbie wyrazów. Zwyczaj taki mimowolnie przypomina ubogość kostiumów w teatrze, w skutek której nieraz przychodzi spotkać się po kilka razy z formą już znaną, a niekiedy podanemu charakterowi nie odpowiednią.

Kierunek ten winniśmy przede wszystkim tak zwanym złotym wiekom, a mianowicie francuzkiemu.

Wyrazy Iliady i Odyssei tworzą dwa obszerne słowniki; słowniki ich tłumaczeń, nie wiem czy ówierć tamtej całości utworzyćby mogły. O ileż wyżej, nowocześniejszą pod tym względem przedstawia się np. *Odyssea* Siemieńskiego. Tłumacze poprzedni, nie wyłączając najwytworniejszego, przypominają nam jeszcze czasy *pisownictwa* po łacinie w świecie uczonym. Ponieważ zaś świat ten z natury rzeczy nieustannie rozszerzał się, przedłużał i pogłębiał, a łacina tymczasem była formą raz na zawsze nieruchomą, skryzalizowaną; więc trudno pojąć, do jakiego stopnia myśl żywa, postępową, żarząca się, dorosła, kurczy się musiała i garbić w sukni po drobniejszych braciach, jeszcze za życia ich nie bardzo rozciągliwej i mało przydatnej do wygięć cudownej dyalektyki Greków.

Ogłada i dworność mają swoje zasługi historyczne, rozpoczęły uprawą gustu drogą językową, ale cóż zrobiły z samym językiem! wytworzyły jakoby mowę ogrodową, inspektową, wiele rzeczy rdzennych, silnych i rumianych wyrzucili za płot, jako *profanum vulgus*. Zapytajmy czytelnika, czy podobna, aby przystały do siebie dwa pół-kola tak nierównym nakreślone promieniem, jak np. epos greckie-świat o wszech możliwych stronach życia społeczności dawniej, jędrnie-pierwotnej, a przekład jój w języku oazy, wyosobniającej całość, ale nie ogół? w języku, uznającym tylko wyrazy *wyzwolone*, nieliczną melodyą o parze oktaw?...

Jednakże niesprawiedliwością byłoby nie przyznać Wężykowi, iż chwilami wydziera się zagranicę oazy, iż chwilami nabiera i zwrotów i wyrazów z dalszych warstw, nie gardząc samą nawet szorstkością, jeżeli dana subtelność (w oryginalu) do użycia jój upoważnia. Na okaz przytoczyćby można np. porównanie księgi XII, gdzie parą świeżych farb odmalowaną jest pogoń Eneasza za Turnusem (od w. 749—755):

„Jak ogar, gdy jelenia zoczy, co go rzeka
Zawarła a straszyla migają zdaleka,
Naszczekuje i goni: ten zdradnemi znaki
I stromym strwożon brzegiem, w różne zmyka szlaki,
Dyzy nad nim umbryjczyk, i już, już go łapie,
Lecz zwiedzion czczym zakąsem, zębami zakłapie.”

Najszcześliwiej powiodła się tłumaczowi księga IV, czyli Dydo, jedyne malowidło, w którym Wergiliusz podźwignął w części imię swoje, gdzie w części przynajmniej jest poeta na własną rękę. Dramatyczność przedmiotu najlepiej nadała się tłumaczowi, ponieważ sam był może przedewszystkiem: talentem scenicznym. Gdyby nie pociąg do abstrakcyi, gdyby szerszego rozmiaru repertoar wyrazowy, moglibyśmy wyżej jeszcze podnieść znaczenie przekładu *Eneidy* w ogóle, a Dydony w szczególności.

Zdaje się nam, że nie pobłądzimy w wyborze, podając czytelnikowi zakończenie tej pieśni, w której znać przeczuł tłumacz, że poeta przebiega po za siebie samego, stanawszy raz przecię na gruncie neutralnym, w wyzwoleniu od natchnień skarbowych i fałszerskiej estetyki.

Na krzyk służebnic, zwiastujący o samobójstwie Dydony, wbiega siostra jej Anna i rzuca się na stopnie stosu:

„Rzekłszy, wbiega na stopnie najwyżej wzniesione,
I tuli wpółumarłą do serca Dydonę;
I krew czarną z jej czoła własną szatą zmywa.
Ta chce podnieść wzrok ciężki i znowu omdlewa;
Zbyt głęboko jej rana pod sercem zasiadła:
Trzykroć podnieść się chciała i trzykroć upadła.
Błędnem okiem po niebach szuka światła chciwie,
A znalazłszy szukane, jękła przeraźliwie.
Gdy się tak w długich mękach ze zgonem dręczyła,
Juno do niej Irydę z górnych niebios zsyła
Któręj roszak litością przejętą wydała,
By walczącą w niej duszę odłączyć od ciała.
Bo nie skończyła życia zgonem przyrodzonym,
Lecz szła ją srogi zgubił przed dniem oznaczonym.
Ani włos jej był ścięty ręką Prozerpiny,
Ani ją na stygijskie wskazała dziedziny.”

Na przykładzie tym czytelnik dostrzeże w streszczeniu tak dodatne, jak ujemne strony tłumaczenia. Węzyk pomimo słów uwielbienia wyrzeczonych w przedmowie, musiał przecież rozumieć zaprawdę, że Eneida tylko majestatem formy, draperyami, zasnuć może tę próżnię w pomysłach, na jakie los dziejowy skazuje nikiędy stalecia, a co większa: geniuszów nawet, za karę, że podnosili lutnię tam, gdzie tylko milczeć się jej godziło. Lecz usuwamy na ten raz ogólniejszą stronę przedmiotu; hołdowanie pewnym bóstwom, jako rzecz wiary, obiektywnej krytyce nie ulega. Co się dało wysnuć z *Eneidy*, uważa-

nój tak, jak gdyby *nie było* epopei greckich, dostojny pracownik wysnuł to niezaprzeczenie i obok odrzeźbionego „łabędzia mantuańskiego,” niniejszą rzeźbę, można — należy postawić w świątyni słowa.

Edyp Król. Tragedya Sofoklesa. Z greckiego przekład dokonany 1 lipca 1804, przejrzany 7 grudnia 1856 r. w Krakowie.

Przechodząc od Eneidy do Edypu, od Wergiliusza do Sofoklesa, nietylko odwracamy kartę w książce; odwracamy tu kartę w *duchu* poezyi. Za pasem granicznym subtelnośtek technicznych, wyciągniętych pod sznurem, wielmożnych ale nie wielkich, stajemy na ziemi natchnienia, czerstwości, majestatu, przed którym mimowolnie zgina się kolano.

Pomijamy na ten raz szerszy wywód filozofii piękna, a zwracamy się do ostatecznej wykonawczynie, jakiej duch powierza siebie, oblekając się w kształty, do dykcyi dramatu greckiego. Na czém polega istotowa potęga mowy stylu greckiego? Polega na owém, trudném do określenia znamieniu ducha mowy Greków, które nazwaćby można nieskończoną *podzielnością* myśli. Tém znamieniem zyskali oni raz na zawsze nadbieg i przewagę nad poetami rzymskimi, a to skutkiem filozoficznej uprawy myślenia. Szybko wzrosły, szybko też skryształizowany język Rzymian, u pnia samego znieudolniał do wyższych posług w sprawie poezyi. Niedosć było mieć pod ręką farby główne, mieć wyrazy na łyzy lub uśmiech, na zemstę lub miłość; poezya prawdziwa, a więc grecka, posiadać winna jakąś tajemniczą wnikliwość, którąby w najdrobniejsze podziały uczucia wcisnąć się mogła. Komu znaną jest budowa mowy greckiej, ten przyznać jój musi dopiero co wspomnianą własność.

Po takim zaznaczeniu łatwo zrozumieć, jakie to wymogi ma przed sobą tłumacz poety greckiego. Nie może, nie powinien ograniczać się na przedstawieniu pierwtworu jedynie w zarysach rodzajowych, powinien rozestąpić, artykułować jego myśli, wypatrzeć piękności gatunkowe: powinien wyrazić nietylko to samo, ale i tak samo, aby pierwtwór, drugie *ja* swoje upatrzył w przekładzie.

Posiadaż język nasz owę nieskończoną *podzielność* myśli w zarysach swoich? Ani na chwilę wątpić się o tём nie godzi. Posiada ją i w jój kierunku rozwija się. Z tego też względu przekłady wzorów greckich nietylko z bogacają nas literacko, ale z bogacają przytém w *natcheniu* artystycznym, w zdobywaniu się na odszukanie i wyprowadzenie na jaw owęj *podzielności*.

Owóz na takim stanowisku wytłómaczyć sobie można tę okoliczność, że dane przekłady mają swój okres i na ten jedynie okres wystarczają.

Czcigodny tłumacz, którego pracę w tój chwili ocenić mamy, rozumiał to stanowisko. „Przekład niniejszy, powiada on (str. 340) jest i stary i świeży.” Przeleżał pół-wieku, po którym sam pracownik nasz dojrzał na nim warstwę „pyłu.” Gdybyśmy w niniejszém wydaniu mieli warianty, pokazałyby one niewątpliwie, że tłumacz poprawki

swoje skierował właśnie na owe tony chromatyczne, których brakło poprzednio, a w których właśnie tkwi rdzeń charakterystyki stylowej Sofoklesa.

O zaletach przekładu przeświadczy się czytelnik z podanych niżej wyjątków, zaś o naturze naszego poglądu na zadanie przekładu utworów greckich w ogóle, najlepiej powiadomi go zestawienie pracy Wężyka, z jednym z przekładów nowszych. Prawie jednocześnie z chwilą, kiedy Wężyk przykładał *ostatnią rękę* do swojego Edypa, ukazało się w *Bibliotece Warszawskiej* tłumaczenie téjże tragedyi, dokonane przez Kazimierza Kaszewskiego, gorącego miłośnika koturnu greckiego, i zaprawdę temu zamiłowaniu zawdzięczającego zwyciężkie podotkanie zadaniu. Zadanie przekładu *artystycznego* (bo o takim tylko mowa tu być może), Kaszewski sprowadza do formuły prostej napozór, ale tak ogarniającej, że wszelkie pojedyncze wymagania domyślnie są w niej objęte. „Przekład (mówi on w rozprawie wstępnej), ma odtworzyć wrażenie wywołane przez pierwtwór.” Wiadomo czytelnikowi, w jak wysokim stopniu Kaszewski uszanował orzeczone przez siebie wymaganie. Wyjątki z jego Edypa, tu przytoczone równoległe z przekładem Wężyka, przypomną to nam ponownie. Zachodzi tu jednak pewien wzgląd teoretyczny, z którym dla usprawiedliwienia naszego poglądu, załatwić się musimy poprzednio, bo na nim zawisła cała modła do oceny niniejszój pracy Wężyka i w ogóle prac przekładowych. W przedmowie do *Antygony*¹⁾, Kaszewski utrzymuje, że „dramat grecki... o ile odznacza się prostotą, prawdą i pierwotną siłą, o tyle zbywa mu na cieniowaniu i wielostronnych objawach uczuć,” (na to zgadzamy się w zupełności), „jak w ogóle sztuka grecka nie wdaje się w *mozajkowanie*, ale więcej kreśli rysy *całkowite* od jednego pociągu.” Wszystko to podzielamy z autorem, dopóki jest mowa o intrydze, efektach i niespodziewanych cięciach (*coups de théâtre*). Ale w żadnym razie nie stosujemy tego, i sam autor zapewne nie stosuje, do tych ostatecznych wcieleń dramatu, które nazywamy dykcją. „Odtworzyć wrażenia” jakie wywoływał Sofokles, biorąc praktycznie, znaczy to, że w przekładzie czytelnik powinien *mieć* je sobie odtworzone, nie potrzebując dośpiewywać ich w swój duszy: powinien widzieć je, czuć i słyszeć w wykończonój na stopę oryginału dykcji.

Tu dopiero wyjaśni nam się tajemnica słabych stron, jakie Kaszewski upatruje w przekładach Dmochowskiego i t. p. Gdyby Vossowi nie było się zdawało, że spełnił już swoje, skoro przetoczył Homera *dosłownie*, nie powiedziałoby mu że „idzie tuż w ślady Homera, ale w drewnianych trepkach“ (*Rozprawa Wstępna*, str. 4). Będzie to podobno główne źródło wad i w przekładzie Wężyka, obok wielu niezaprzeczonych jego zalet. Albowiem jednostką logiczną jest coś innego, jak słowo (wyraz), słowo jest *grupą*, i tylko zrzeczne zużytkowanie po-

¹⁾ *Antygona*, tragedia Sofoklesa, tłumaczył z greckiego Kazimierz Kaszewski. Warszawa 1853 r.

dzielności tej grupy do odtworzenia wrażeń oryginału, to jest do prawdziwego przekładu doprowadzić może.

Z tą tedy modłą zwracamy się do naszego zadania, do oceny przekładu Wężyka; wybierając *Wstęp*, pewne chóry niektóre z dalszych scen tragedyi.

Król Edyp spostrzega przed ołtarzem swego pałacu zgromadzone tłumy, starców, młódz i kapłanów w religijném ukorzeniu, z błagalnymi różczkami w rękach, a dym kadzideł snuje się po mieście. Zapytuje więc kapłana, czyto ma być objaw trwogi, czy prósy. W odpowiedzi kapłan zabiera głos w imieniu ludu.

„Oto, Edypie, władny nad moją ziemią, widzisz, ilu nas i iloletnich zasiadło przy twoich ołtarzach: ci, jeszcze nie zdolni *odlecieć daleko*; tamci, starością obarczeni kapłani; ja ofiarnik Zeua; owi znów, to młodzież wybrana, a reszta rzeszy z gałązkami w rękach rozsiadła się na rynku i przy dwu świątyniach Pallady. Gród bowiem, jak widzisz sam, już zabardzo się pochwiaił i nie mocen podnieść głowy z głębi krwawej otchłani; zamiera on w owocnych pąkowiach ziemi, zamiera w stadach pastewnych, w niedonoszonych (nieporodzonych) płodach matek; a tu bóg ognisty, pomór najstraszniejszy ściga miasto: pustoszeje dom kadmejski, a Hades czarny jękami, płaczem się wzbogaca.”

Takie mniéjwięcej jest malowidło klęski w pierwowzorze. Przypatrzmy się teraz odbiciu obrazu w przekładzie Wężyka i obliczmy, o ile dochowały się tam rysy główne i pojedyncze nitki tej koronkowej roboty.

Wężyk mówi:

„Patrz, nasz władoo, Edypie, jak nas niemoc pęta
U twych ołtarzy zacisza;
Tam, niezdolne biedz dalej, leżą niemowlęta,
A tu z starcami, ja kapłan Jowisza;
Dalej, czystej młodzieży liczny poczet stoi,
Reszta z wieńcami ofiar, ma swe legowisko
Wśród rynku u świątyni Pallady podwoi.
Niszczy, jak wiész, to miasto *potwór moru krwawy*,
Żadne środki głów ludzkich przed zgonem nie chronią;
Upadło bydło, nikną zboża, trawy
I niewiasty wraz z życiem plód niewczesny ronią.
Grodu Kadma w pustynią *zmienia się budowa*,
Bo z jędz najsroźsza, zaraza morowa
Śmierci pochodnię wstrząsa ręką wścickłą,
A płaczem i jękami bogaci się piekło.”

Już na powyższym ustępie prawie całą charakterystykę owoczesnych przekładów uchwycićby można. Wyrażenia takie, jak np.: „*potwór moru krwawy*,” uważane pod względem poetyckim, jest nowożytnie, a co najmniej łacińskie, nie Sofoklesowskie. Typy natury jaskra-

wój, Grecy, jako prawdziwi artyści, przedstawiać zwykli celnie, wyrazisto, nie przez pełnomocnictwo. Tam, gdzie jest *bóg* ognionośny, niosący gorączkę (*pyrforos*), gdzie pomór, wróg najstraszniejszy, tam *potwór* nic nie dodaje, równie jak nic nie dodaje cenna oprawa brylantowi. Owszem zmniejsza on obiektywną spokojność dramatu greckiego, a podstawia osobisty nastrój poety, rzucony z boku głos potępienia, w którym osłabia się jarzące światło samego faktu.

„Żadne środki głów ludzkich przed zgonem nie schronią.“ Na-przód, jak czytelnik przeświadczy się odczytując tekst wyżej przytoczony, Sofokles mówi tu o samym grodzie, zazbyt już pochwianym, tak że z tej krwawej otchłani głowy już podnieść nie może. Powtóre: „żadne środki” przerzucają nas w dziedzinę abstraktu, z zasady omijaną przez dramat grecki (wyłączając chyba Eurypidesa). Podobny odskok ku abstrakcyi, pokazują wyrazy: „Budowa domu Kadma zamienia się w pustynią.”

Wskazując królowi, wśród zgromadzonych, różne wieki, kapłan rozpoczyna od wzmianki o niemowlętach, coto jak świeże pisklątka ptasie, jeszcze nie zdolają pofrunąć daleko (*ptestai*); to nie marna subtelność, lecz rys owego typu: przedstawiania ducha ludzkiego w braterstwie z naturą.

Tenże sam typ braterstwa z naturą wypowiada się w ustępie o zamieraniu niedonoszonych (nieporodzonych) płodów w żywocie matek, w *sympatyi* z listkami ziemi; w tych bowiem klęskach *natury*, *miasto* samo (człowiek) umiera; sama składnia tekstu greckiego na taki plan psychologiczny była obliczoną.

Ale zrozumiał, odczuł i wypowiedział Węzyk z należyłą siłą myśl Sofoklesa w tych wierszach:

„Reszta z wieńcami ofiar ma swe legowisko
Wśród rynku, u świątyni Pallady podwoi,
...A płaczem i jękami bogaci się piekło!”

Obok przytoczonego wyjątku, przedstawiamy czytelnikowi ten sam głos kapłana w przekładzie Kazimierza Kaszewskiego. Z porównania nasunie się tu przed oczy czytelnika owa objemcza natura poematu greckiego, która tłumacza danej epoki zawsze pobudzać będzie do zużytkowania całej dojrzałości i całego rozrostu pojęciowego, do jakiego doszła w jego epoce mowa narodu.

W tłumaczeniu Kaszewskiego, kapłan Zeusa tak odpowiada Edypowi na zapytanie:

„Edypie, władcó mój rodzinnéj ziemi,
Patrz na te tłumy przed progi twojemi:
Tu słaba dziatwa, tu starość schyłona,
Tu kapłan Zeusa, tam młodzieży grona;
A reszta ludu i kto jedno żywy,
Biegna po rynkach z gałęzmi oliwy,

To ku Pallady obu chramom kroczy,
 To znów przed ołtarz Ismenu proroczy.
 Ojczyzna nasza w tój straszliwej porze,
 W odmęcie nieszczęść, jako widzisz, tonie
 I nad żar krwawy głowy wzniesć nie może:
 Śmierć zgładza dzieci w macierzyńskim łonie,
 Pod żarem śmierci upadają trzody
 I niedojrzałe pełzną ziemi płody!
 Zaraza, przebóg! ta straszna bogini
 Okropną pustkę w domu Kadma czyni;
 Czarny się Hades na tebańskiej ziemi,
 Bogaci łzami i jęki naszemi."

Gdybyśmy więc poprzednio przytoczony ustęp (Wężyka) oceniali, jako utwór jego własny, niewątpliwie nie odmówilibyśmy mu uznania, bo i myśli piękne zawiera i mile wpada w ucho; ale ograniczy się to wrażenie, jeżeli zwrócimy się do inicjatywy greckiej, do słów Sofoklesa. Uczujemy, że nie wszędzie zachowanym został *podział pojęciowy* pierwotworu.

Zobaczmy teraz, ile to piękności analitycznych ocalonych zostało w przekładzie Kaszewskiego.

Rozpoczyna on (dosłownie za oryginałem) od wykrzyku boleści:

„Edypie, władco *mój* rodzinnej ziemi” (*choras emes*).

Któżto więc przemawia? Przemawia ojciec ludu, pełnomocnik wszystkich serc jego. Wobec takiego orzeczenia się kapłana, jakże wielką ma doniosłość to jego słowo (wiersz oryginału 31 i dalej):

„Stoję więc z dziećmi u twojego progu,
 Wzywając ciebie...” (Kaszewski).

Tak więc na tój marnój z pozoru sylabie (*mój* ziemi), leży ton główny, cała homeryczność postawy kapłana wobec ludu i władcy. Przeto pominąć się nie należało. Podług Wężyka kapłan przemawia jedynie z pośrodku ludu:

„Patrz, nasz władco Edypie, jak nas niemoc pęta.”

U Kaszewskiego przemawia on za ludem, działwą swoją—to właśnie miał w sercu Sofokles. Dlatego też i niżej znamię ojcostwa przemilczano (w przekładzie Wężyka), już nie ojciec z dziećmi staje u progu królewskiego, lecz tylko:

„My u wrót twoich stoim przytuleni.”

Zwróćmy się do miejsca arcydramatycznego; następuje ono po skończeniu pierwszego chóru (od wiersza 211—270). Edyp dowiedziawszy się o zabiciu Laiosa króla, swego poprzednika, wzywa lud, aby odkrył zabójcę, błogosławiąc posłusznych, a miotając przekleństwo na tego, któryby poważył się dać mu gościnność i schronienie. Obraz to nadzwyczaj lirycznością przypominający i grzmot psalmów i pro-

mienistość psalmów. Tu Wężyk staje na swoim osobowym poziomie i przyznajemy stanowczo, rzadko kiedy chwieje się. Oto jego wyrazy:

„Lecz, jeśli zbójcy zataicie miano,
Z trwogi o siebie lub o lubych głowy
Usłyszcie z moich ust wyrok surowy:
Niech żaden z zbójcą mieszkaniec téj ziemi,
Nad którą ninie berło moje włada,
Nie zespoli się obrzędy świętymi,
Ani w dom przyjmie, ani téż zagada,
Nikt nie pokropi wodą poświęconą.”

Następnie rzuca przekleństwo na tego, kto by się ważył nie posłuchać rozkazu (str. 264—267).

„A kto mych zaklęć nie wypełni *wolę*,
Niech mu jałowe nie nie rodzą role;
Niech dom bezdzietny razem z nim upada:
Niech srozsza naszéj dotknie go zagłada.”

Nie bez celu wybieramy ten ustęp; już Scholiasta zauważył, że ta mowa Edypa budzi w słuchaczu wielkie współubolewanie, albowiem Edyp bezwiednie orzeka wyrok nad sobą. Jako wyraz majestatu boleści, ustęp ten kroczy liniami prostemi, wolnemi od wszelkich dysonansów i efektów retorycznych. Wężyk zrozumiał to i odtworzył głos bezwiednego potępienia losów. Ale Kaszewski przewyższa Wężyka panowaniem nad sobą, powstrzymaniem zamachu tam, gdzieby ten zamach zachwiać mógł równowagę, spokój obiektywny. Wyrazy Wężyka: „Usłyszcie z moich ust *wyrok surowy*,” są nietylko naddanemi, ale i niepożądanemi. Edyp wydaje rozkaz z wysokości władzy swojej i to jeszcze pod powagą wyroczni Boga; orzekać stopień surowości rozkazu, to rzecz nie jego. Zamiast straszyć wyrokiem, Edyp ogłasza go, jako dogmat ku spełnieniu; widocznie więc braknie tu jakiegoś wstępnego hasła, jakiegoś wstępnego odezwania się: „bacność! słuchajcie!” i t. p. Tak téż rozpoczyna się rzecz w pierwotworze, tak i u Kaszewskiego.

„Lecz jeśli który dla próżnej bojaźni,
Czy gwoli swojej, czy gwoli przyjaźni;
Gwałcąc mój rozkaz, trwa w niecnym oporze,
Słuchaj narodził czém takiemu grozę:
Rozkaz wszem wobec, na całą krainę,
Gdzie tron mój stoi, gdzie prawo me włada;
Tego człowieka nikt ani w gościnę
Przyjmie do siebie, ani doń zagada
I do rąk wody dać mu się nie waży.”

U Wężyka druga część ustępu, wyżej przytoczonego, zdaje się nam chybioną z tego względu, że zaciera ślady analizy pojęciowej; Edyp nieposłusznego rozkazowi tak przeklina: „A na niespełniających wypraszam

u bogów, aby im ani z ziemi płód jaki, ani z żoń dzieci nie wyrosły." Mamy więc znowu odwołanie się do bratniej spójności człowieka z przyrodą. Pamiętał o tém Kaszewski, skoro mówi za Sofoklesem:

„A kto rozkazów moich nie wykona,
Przewielkie bogi! *bezpłodną* mu żona,
Bezpłodną ziemia... Ten niech śmiercią zginie
Śród moru, który wre w naszej krainie.”

Niesłychanie ważnym członkiem dramatu greckiego, jak wiadomo są chóry, ten jedynie uprawniony grunt, na którym autorowi odetchnąć się godzi, gdzie subiektywność przypuszczoną zostaje do głosu. Na hasło wyrazu *choros*, cała istność w słuchaczu nastrojała się ku wrażeniom zupełnie odmiennego porządku; hasło to czuć było w samym rytmie, w samym nawet kroju języka. W przykładzie chórów u Wężyka, niepozobawionym zalet, mało się czuje zmianę atmosfery. Są przytém jeszcze inne ujemności. W pierwszym np. chórze (strofa 1), gdzie zapowiedzianym być ma dreszcz świętej trwogi przed odślanianjącymi się tajnikami wyroczeni, tłumacz peryfrazuje ogólnikowo, opuszczając rysy najwydatniejsze:

„*Dźwięku* Jowisza wysoki,
A straszny ziemi i niebom,
Jakież z Delf możnych wyroki
Obwieścisz Tebom?
Trwożę się o to straszliwie,
Czy dziś dla naszej korzyści,
Czy po lat wielu upływie
Wyrok się ziści.”

Kaszewski dotrzymuje pola i tu, chociaż wyznajemy że znamionami Apollina, w początku tego chóru trudno podołać.

„O słodkie, słodkie słowo Zeusowe,
Coś z Delf złocistej wyszła *chrannicy* (?).
Jakież wyroki obwieścisz nowe
Dla téj przesławnej Teban ziemicy?
Umysł mój trwożny, strach sercem miota:
Febie, lekarzu, deloski boże (raczej delijski),
Ja twych wyroków czekam w pokorze;
Ocal nas, wieczny, wyroczy Febie,
Synu nadziei, prosimy ciebie.”

Podkreślamy wyrazy *ocal* nas, gdzie chór powiedział: *powiedz mi* (co nas czeka). Po tém uwzględnieniu myśli pierwotworu, końcowe wiersze zaliczamy do rzędu najpiękniejszych, prawdziwie chórowych akordów w przykładzie Kaszewskiego.

W antystrofie i u Wężyka budzi się dźwięk metaliczny, żałujemy jednak, że tłumacz i tu odbiega od tekstu, jedynie główny ton jego zostawiając.

„O! nieszczęście! (Chór, wiersz 167—174), wszak cierpię bezmiar boleści, wszystek lud mi w niemocy leży, a rady niema, którąby się ulżyło, bo ani płody sławnej ziemi dojrzewają, ani boleściom porodów niewiasty podołać nie mogą.”

Wężyk zaś mówi:

„Przebóg! cierpię niesłuchanie,
Lud mój od doby do doby
Dręczą choroby,
I lekarstwa niema na nie.
W niedojrzałych ziemi płodach,
Jałowieją bujne role,
A niewiasty przy porodach
Dobijają ciężkie bole.”

Jeszcze lepiej powiódł się tłumaczowi chór przed Jokastą (wiersz 900—910), żalący się na lekceważenie głosu wyroczni, i raźnie wpada w ucho. Sofokles mówi: „lecz, o władny Ceusie, jeśli słusznie zwiesz się wszech panem, niech to nie utai się przed tobą i na zawsze nieśmiertelną władzą twoją; wszak oto dane Lajusowi wróżby zamierają i giną, Apollo nigdzie czci już nie odbiera, i zanikają rzeczy boskie”... U tłumacza zaś czytamy:

„Lecz, Jowiszu, władzco, panie,
Jeśli berłem niepodzielnem
Dzierżysz świata panowanie;
Okaż, żeś jest nieśmiertelnym.
Bo świat pogardzać zaczyna
Wyrocznią Lajowi daną:
Gaśnie cześć dla Apollina
I co dotąd, boskiem zwano.”

W miarę posuwania się dramatu przybywa energii, i po odrzuceniu ponawiających się chwilami ogólników kroju nowożytnego, jako to: „niech *dni twoich osnowie* będą chętniwi, niżli mnie, bogowie” i t. p. Otrzymujemy nie jedną, prawdziwie sofoklesowską, myśl sytuacji. Zwracamy uwagę czytelnika na głos Edypa, już ociemniałego, kiedy zapytuje o córki, wzywa je i błaga Kreona o opiekę nad swoimi córkami... siostrami (wiersz 1,445—1,480; albo podług drugiej numeryacji 1,478—1,514).

W ogóle przekład Wężyka, pod względem filologicznym nie wszędzie pewny, często zakrawający na naśladowanie, nie jest jednak bez poważnych zalet, jako rzecz pióra, świadcząca o poczuciu piękności ogólnie ludzkiej, gładkim, poprawnym stylem przeprowadzona. Jeżeli nie wytrzyma porównania z przekładem Kaszewskiego, to jednak dotrzymuje wagi obowiązującego w swoim czasie poziomu wyobrażeń, a więc i wyobrażeń, estetycznych.

Rozstając się na ten raz z czcigodnym imieniem twórcy Barbary i Glińskiego, nie możemy pominąć utworu, już nie warunkowo, podług

skali czasu, lecz bezwzględnie, arcydziełowo pięknego. Zamiast wstępu, poważamy się z ust, które już przemawiać nie będą, przywołać wyrazy zagajenia utworu. Na str. 340 i dalej, autor mówi:

Gdy według wszelkiego podobieństwa, praca niniejsza będzie ostatnią pracą mojego żywota; niechaj tu znajdzie miejsce z powodu tego skreślony wiersz na zamknięcie pisarskiego zawodu:

Drugie półwiku wotchłań czasu spływa,
A do grobowej przyciśnion krawędzi,
Jeszcze się starzec na pieśń nową zrywa?
Już to dźwięk pieśni ostatni—łabędzi

I on z nią skona.

Czemuż z weselem dzień ten zapowiadam
I szukam w wiekach źródła takiej wieści?
Bo tam Jan Paweł, Kajetan i Adam ¹⁾,
Brzmią Panu dźwiękiem nieśmiertelnej części
I tworzą przed Nim spółkę wiekuiścą,
Z naszym psalmistą ²⁾.

Pójdę ich słuchać w skrusze i pokorze.
Dość już nędz świata wżyciu mém doznałem;
Nim przebrnąć zdołam najburzliwsze morze,
Nim ducha mego Pan rozbrata z ciałem:
Niech mi się stanie ostatnią pociechą

Ich pieśni echo.

Ty, której w niebach hołdują Anieli,
Co brzmisz hymnami u Pańskich ołtarzy;
Sponiewierana przez błędnych czcicieli
I potępiona na pastwę kramarzy:
Roztocz, poczyto, na szczere obrońce

Twych wdzięków słońce!

Nie wziąłem z nieba wyższego natchnienia,
Lecz przy miłości potężnym zasobie,
Tobie od dziecka wszystkie moje tchnienia
I dni i noce poświęciłem tobie!
Dziś zbiegłą z ziemi dojrzawszy oię w niebie,

Wzdycham do ciebie!

O! ileż razy, gdy niezbędne troski
Przyczepiały się do mego żywota,
Dźwięk twoich tonów i twój uśmiech boski,
Świątyni pociech otwierał mi wrota,
Gdzie wnijśó nieśmiałybm, czciał wyższą przejęty
Bez twój zachęty.

1) Jan Paweł Woronicz, Kajetan Koźmian, Adam Mickiewicz, którego chooiaz nie znał osobiście Wężyk, ale był wielkim wielbicielem.

2) Janem Kochanowskim.

A gdy z jędz, która w nastawione siła
 Chciała mię mową przynęcić zdradziecką,
 Tyś mię pod swoje przytulała skrzydła,
 Jak ptaszka pisklę, jak Anioł stróż—dziecko.
 Dziś, gdy czas dni me w noc pogrąża ciemną,
 Tyś znowu ze mną.

Cóż na to rzeknie twych wdzięków potwarca?
 Czyż mnie lub tobie poczyna za zbrodnię,
 Żeś pocieszała młodzieńca i starca?
 Że mi brzmisz niosąc grobową pochodnię:
 „Tędy, od wiernych droga wydeptana,
 Wiedzie do Pana.”

Pójdę nią, pójdę i prosto i śmieje:
 W duchu tym dni mych dokonam osnowę;
 Wielem zniósł, przemógł, wycierpiałem wiele:
 A w ciężkim trudzie skolataną głowę,
 Ufając szczerze w miłosierdzie Boże,
 Spokojnie złożę.

1856 r.

F. Jezierski.

Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik pierwszy. Toruń, nakładem Towarzystwa Naukowego, 1878 r. (w 8-ce, druk J. Buszczyńskiego w Toruniu, str. 98 i trzy tablic litografowanych).

Ze szczerą radością witamy jako miłego gościa, organ Towarzystwa Naukowego, które na kresach Rzeczypospolitej rozpoczyna prace użyteczne.

Zajmującym na czele jest przegląd historyczny powstania i czynności pomienionego Towarzystwa; podamy go tu w streszczeniu.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu rozciągało się i na ziemię pruskie. Odległość wszelako Poznania, nadto potrzeba łączenia się ściślejszego inteligencji polskiej na kresach najdawniej i najwięcej zagrożonych, wywołały myśl założenia odrębnego Towarzystwa Naukowego w Toruniu.

Pierwszą myśl ku temu podał ś. p. Zygmunt Działowski z Mgowy, zawiązano więc z Dr. Donimirskim z Torunia i z M. Szczanieckim z Nawry, komitet urządzający, wygotowano projekt ustawy i rozesłano zaproszenia na zebranie w d. 16 grudnia 1875 r. w Toruniu, celem przyjęcia ustawy i zorganizowania Towarzystwa.

Myśl szczęśliwa, widać że trafiła do przekonania i potrzeb tamecznej społeczności, gdyż zebranie było liczne: przyjęto wnioski

i nazwę *Towarzystwa naukowego w Toruniu*. Przedyskutowano całą ustawę i przystąpiono do wyborów: z urny wyszedł większością głosów Ignacy Łyskowski z Mieleszew, prezesem; ksiądz dziekan Połomski z Wąbrzeźna wiceprezesem; dr. Kąsinowski z Torunia sekretarzem, Michał Szczaniecki z Nawry kassyerem.

Obrany zarząd zabrał się energicznie do urzeczywistnienia podanej myśli; zajął się najęciem lokalu dla Towarzystwa, uporządkowaniem zbiorów do mającego założyć się muzeum, i wyznaczył walne zebranie na dzień 21 lutego 1876 r., celem ukonstytuowania się wydziałów.

Towarzystwo podzieliło się na trzy wydziały: 1) historyczny i archeologiczny, 2) teologiczny, 3) lekarski i przyrodniczy.

Wydział historyczny i archeologiczny najliczniej reprezentowany, ukonstytuował się w tym samym dniu i obrał prezesem Zygmunta Działowskiego z Mgowy, tego samego młodego ziemianina, który pierwszy powziął myśl założenia Towarzystwa Naukowego w Toruniu i z zamiar ten energią i poświęceniem doprowadził do skutku. Niestety! zbyt krótko cieszył się znanym swoim dziełem, umarł bowiem w samym kwiecie męskiego wieku licząc rok 35 życia w Berlinie, gdzie jako poseł ziemi Kaszubskiej przemieszkiwał.

I oto w pierwszym *Roczniku* Towarzystwa znajdujemy jego pośmiertne wspomnienie.

Urodzony w Mgowie w dawnych Prusach królewskich, 1843 r., ukończył nauki w Metz 1863. Miłośnik sztuki i piękna, zgromadził piękną bibliotekę, i bogaty zbiór pamiątek i dzieł sztuki. W roku 1873 przyjął jako delegat Towarzystwa Przyjaciół Nauk, udział w archeologicznym kongresie słowiańskim w Kijowie, gdzie miał sposobność świetnego się odznaczenia.

Kiedy w Toruniu powzięto zamiar wystawy rolniczej i przemysłowej, w urządzającym Komitecie wziął także chętny udział i pawilon swój z wytwornym smakiem urządziwszy, do świetności nie mało się przyłożył całej pomienionej wystawy. Umarł przytomnie, otrzymawszy błogosławieństwo papieża Piusa IX, ze szczerym załam współobywateli, którzy należycie oceniali zarówno wysokie zdolności, jak prace i poświęcenie dla kraju młodego ziemianina.

W Ustawie którą sobie przepisało Towarzystwo Naukowe w Toruniu, czytamy, że celem jego jest zbieranie i przechowywanie pamiątek i zabytków krajowych, mianowicie do przeszłości ziem Pruskich się odnoszących i przedmiotów naukowych, oraz pielęgnowanie nauk i umiejętności w języku polskim.

Przewodniczącą więc tu widzimy myśl, postawienia oporu na drodze legalnej, przeciw naciskowi germanizacji. Dary jakie Towarzystwo mogło otrzymać, Ustawa, w przewidywaniu smutnych następstw uważa tylko jako *depozyt* do przechowania, i zastrzega, że wrazie „rozwiązania w jakibądź sposób Towarzystwa, powierzone mu przedmioty, wracają do depozytariuszów lub ich następców,

Zarząd Towarzystwa zajął się uporządkowaniem Muzeum, przejrzeniem katalogów sekcyjnych i całego inwentarza, oraz spisaniem depozytów celem publikacji: nareszcie rozesłał listy zawiadamiające o istnieniu polskiego Towarzystwa Naukowego w Toruniu, dla zawiązania stosunków z innymi instytucjami naukowymi.

Wydział historyczny i archeologiczny, najliczniejszy poczet, bo sto osób odrazu przedstawił, pod prezesostwem Z. Działowskiego, który przy pierwszym zagajeniu poświęciwszy kilka słów pamięci zgasłego Lucyana Siemieńskiego, złożył deklarację, że własnym kosztem zamówił tablicę marmurową, mającą być umieszczoną w lokalu Towarzystwa, ku uczczeniu pamięci tłumacza *Rękopismu krółodworskiego i Odysei* Homera.

Dnia 20 listopada 1876 roku, na posiedzeniu, przy otwarciu Muzeum Towarzystwa, Zygmunt Działowski wypowiedział mowę, która się mieści na czele tego *Rocznika*.

„Jeden z najsmutniejszych okresów dziejowych (słowa Z. Działowskiego), jaki przeszedł ponad starych Prusaków siedzibami, był okres rzekomego krzewienia Chrześcijaństwa przez Krzyżaków. W imię cywilizacji wypisaną na czołe a w imię chciwości wyrzytą w sercu, wzmocniano tutaj wiarę miłości, co sama dla odkupienia świata zawisała na krzyżu, nie łagodnym słowem i zbawiennym przykładem, ale postrachem, pożogą i mordem. Brzemię żelaznego krzyża ciążyło coraz bardziej i bardziej, a w obawie czatującego wroga, nieśmiano wymówić imienia dawnych bogów, nieśmiano wspomnieć swych bohaterów, zanuć ich pieśni, ani powtórzyć legendy. I starto nieomal cechę pierwotną ziemi naszój. Tylko imiona Świętopełków i Jagiellonów błyskały raz poraz nad ziemią łez i cierpień, a wtenczas swobodniej oddychała pierś ludzka, niestety, tylko na chwilę. Kraj żyzny i bogaty, lubujący się w pokoju, nieknujący zdrad i podbojów, a dający chętnie posłuch zapewnieniom i przysięgom przyjaźni; znów niebacznie zapraszający na własny tron, szczep wrogi, stanął otworem na wewnątrz dla zepsucia i gnuśności, na zewnątrz dla najazdu. Upadek polityczny złamał nakoniec razem z mieczem i nadzieję. Rozpacz kazała opuścić ręce... a przybysz z krajem przywłaszczał sobie i przeszłość.

„Gorycz ciało leczy, a duszę boleść. Ona to każe szukać wokoło nas środków ocalenia, ona wskazuje nam pracę i naukę jako duchowe środki lecznicze. Więc powołaliśmy co dopióro do życia nasze Towarzystwo naukowe.

„Dziś powstające Muzeum ma być przedewszystkiem miejscem, dokąd znosić i składać będziemy wszystkie przedmioty, które się do zbadania ziem przez nas zamieszkałych przyczynić mogą.”

Mowę swoją, po wykazaniu już zasobów zgromadzonych w Muzeum, zamknął w tych słowach:

„Widzicie, panowie, że zbieramy w naszym Muzeum wszystko, co dla nauki jest pożytecznym i co dla nas jako pamiątka naukowa jest drogiem. Nie skąpcie dobrej chęci swój dla tego Muzeum, które za

waszym współdziałaniem swój początek bierze; wzbogacajmy je wspólnie, aby ztąd krzewić i rozrastać się mogła, ku chwale narodowej—nauka polska!"

Zakończył zaś przemówienie swoje, pięknym wierszem J. I. Kraśzewskiego:

Dlaczego duchem, po rodzinnej ziemi
Błądę ja zawsze rozkopując groby,
I szukam życia zgasłego pod niemi,
Życia wśród prochów, śmierci, wśród żałoby?

Dlaczego duch mój nie pójdzie z żywemi,
Życiem dzisiejszym serca rozweselać,
I bujać z niemi, i rozśmiać się z niemi,
I ich rozkosze i radość dzielić?

Dlaczego w górę zwracam tęskne oczy
I szukam duchów, co w niebo wleciały,
W kraj nieśmiertelny, smutny a uroczy:
Dlaczego z niemi, i w nim żyję cały?

Czemu?... nie powiem i wy nie powiecie,
Bo nikt z was nie wie słowa tej zagadki;
Z piastunki ręki, czemu drobne dziecię
Płacząc, się ciągnie do grobu swęj matki?
Matką mi przeszłość, a piastunką życie.

W dalszym ciągu znajdujemy w tym roczniku rozprawę: *O pomnikach przedhistorycznych Prus królewskich*, przez G. Ossowskiego, członka komisji archeologicznej Akademii umiejętności w Krakowie.

Autor opisuje tu: 1) Okopy pierwotne; 2) Mogiły kamienne; 3) Groby kamienne skrzynkowe; 4) Urny grobowe odosobnione; 5) Kamienie ustawiane; 6) Groby ciał niepalonych; 7) Kiöckenmöddingi (śmieciiska przedhistoryczne, w których spotykamy skorupy stłuczonych naczyń, ułamki naczyń kuchennych, szczątki przedmiotów codziennego użytku i t. p.), wskazawszy miejscowości, w których się znajdują i jakie przy nich odnaleziono. Zabytki objaśnia załączonymi rysunkami.

Przedmiot dla badań archeologicznych niezmiernie ważny i pocuczający. Ks. Stanisław Kujot podał monografią historyczną wielce zajmującą, a opartą na źródłach dziejowych p. n. *Margrabiowie Brandeburscy w dziejach Pomorza za księcia Mestwina II*, w której, w nowym świetle wystawia tego księcia, co się opierał naciskowi Germanizmu tak przez margrabiów brandeburskich, jak i samych Krzyżaków, osiedlonych przez Konrada księcia mazowieckiego. Dzieje te sięgające lat 1266—1294, okresu Przemysława i króla Łokietka, z tego względu uważać możemy powyższą monografię, za ważny przyczynek do dziejów polskich. Ks. Gapiński w rozprawie: „o *Wyszogrodzie Pomorskim i jego położeniu*,” stara się oznaczyć właściwą miejscowość, gdzie ten gród historyczny leżał,

który w dziejach Pomorza nie małe zajmuje wspomnienia. Załączona mapka objaśnia sam wykład badacza.

To są główne rozprawy stanowiące treść naukową *Rocznika*. Ustęp p. n. *Nekrologia* obejmuje smutne wspomnienia po zgastych obywatelach i pracownikach pióra, którzy mogli jeszcze niemałe usługi oddać sprawom krajowym. Tu znajdujemy zmarłych: ks. Augustyna Wika Czarnowskiego. Wzorowy kapłan, który wielu z młodzieży polskiej utrzymywał w gimnazjum, i na uniwersytecie wspierając swoim wdowim groszem; Hyacyntego Nostic Jackowskiego posła pokilkakroć na sejm pruski, gorącego zwolennika narodowości, którego staraniom zawdzięczyć należy, że Polakom w Prusiech wolno na publicznych zebraniach używać języka polskiego; księdza Józefa Mazurowskiego nauczyciela śpiewu i muzyki kościelnej wyższych klas w gimnazjum Chojnickim, który położył nie małe zasługi w podniesieniu muzyki kościelnej, budząc zamiłowanie do dawnych wzorów, jakie wyrosły z ducha Gregoryńskiego. Był przez lat wiele wice prezesem *Towarzystwa Sw. Cecylii* w diecezji Chełmińskiej; polski śpiew zawdzięcza mu wiele, umiał on cenić melode polskie i wszelkich dokładał starań, aby je od szpecących zwrotów i dodatków oczyścić. Wydał w r. 1870 *Melodye* pieśni kościelnych, zawartych w wielkim *Zbiorze pieśni* ks. Kellera.

Wspomnienia te pośmiertne obejmują jeszcze: doktora Emila Winkela, Wilhelma Łyskowskiego, znakomitego ziemianina, Zygmunta Działowskiego, o którym już wyżej wspomnieliśmy, wreszcie Karola Beyera znanego fotografa i archeologa, który w czynnościach *Towarzystwa Naukowego* w Toruniu brał czynny udział.

Ustawy tegoż *Towarzystwa* objaśniają nas z celem jego i dążnością: Lista imienna członków wykazuje 120 osób, którzy stanęli na pierwsze zawezwanie do pracy naukowej. Zamyka ten *Rocznik: Spis Depozytów, Wykaz Statystyczny zbiorów Towarzystwa* i *Sprawozdanie* kassowe za lata 1876 i 1877.

Wydanie pod względem typograficznym nietylko staranne ale ozdobne, a jeżeli treścią swą co do rozmiarów, *Rocznik* ten szczupły i skromny, miejmy nadzieję, że w następnych tomach rozszerzy swe ramy, i obfitszy plon nauce przyniesie. Dobry początek daje nam tę otuchę, bacząc na gorliwą gotowość obywatelstwa Prus królewskich, w których tradycya Jagiellonów na nowo odżywiać się zaczyna.

W.

Teatra w Polsce, przez Estrejchera. Tom III, w Krakowie, czcionkami drukarni *Czasu*, 1879: (W 8-ce, str. 741).

Teatr w Polsce stały, powstał pierwszy w Warszawie, w początkach panowania Stanisława Augusta, a podniesienie sceny narodowej i świetny jej rozwój są zasługą niespożytej Wojciecha Bogusławskiego,

twórcy opery *Krakowiaczy i Górale*. Bogusławski przyciśniony wiekiem, opuszczając scenę, na której tyle grzmiących oklasków zyskiwał, przy dziełach swoich dramatycznych, które wydał w XII tomach, dał nam zarazem i zarys dziejów teatru narodowego.

Zamiłowanie do sceny, które sam zaszczerpił, przybierało coraz szersze rozmiary. Oprócz stałej trupy aktorów w Warszawie, znalazły się i wędrujące, które to zamiłowanie rozszerzały po całym kraju. Te rozstrzelone wiadomości, o pojawiających się scenach polskich w rozmaitych miastach, Karol Estrejcher, pierwszy z bibliografów naszych, zebrał starannie, ułożył afabetycznie i w trzech tomach wydał.

Tom pierwszy i trzeci w ten sposób jest zredagowany; tom drugi wyłącznie poświęcony scenie krakowskiej, z której wyszli najznakomitsi artyści dramatyczni, jak Jan Królikowski, Józef Rychter, starszy Chomiński i w. i. Pod dyrekcją Meciszewskiego, wykształconego naukowo, kochającego sztukę i znawcy, scena krakowska znakomicie się podniosła, młodzi aktorzy wykształcili się na artystów, i w gronie ich obudził się szlachetny zapał dla sztuki dramatycznej.

W tomie trzecim, oprócz miast pomniejszych od litery P. do L. autor, obszerniejsze podaje wiadomości o dziejach sceny w Lublinie, a największą część tego tomu zajmują ze szczególną starannością skreślone dzieje teatru Lwowskiego, pod dyrekcją J. N. Kamińskiego, hr. Skarbka, Miłaszewskiego, aż do obecnej chwili. Dzieje te obejmują $\frac{3}{4}$ całego tomu (od str. 90 do 741). Autor oprócz wiernej kroniki rozwoju sceny lwowskiej, dotyka zajmująco i scen zakulisowych, które mają z teatrem i jego powodzeniem ścisły związek. Obszerny ustęp poświęca wspomnieniu Bogumiłowi Dawizonowi, którego zazdrość, podła obmowa i złość zdradziecka zmusiły do opuszczenia własnego kraju, i zawodu, a poświęcenia się scenie niemieckiej, na której pozyskał i sławę i majątek. Niedobrowolnie opuścił Dawizon teatr polski, i szczegóły podane przez p. K. Estrejchera w tym tomie, przekonywają, że nieszczęśliwy artysta, zgnębiony potwarzą i nikczemnymi podstępami, niemiał innej drogi, jak wyrzec się ojczyzny, i szukać w pośród Niemców chleba i przytuliska. Ustęp, jaki autor poświęca Dawizonowi w swém dziele, jest cennym przyczynkiem do życiorysu tego znakomitego artysty dramatycznego. W końcu tego tomu, autor dołącza dwa sprawozdania komisji konkursowej co do nagród za utwory sceniczne z lat 1876 i 1877.

W ogóle monografia w tak obszernych ramach podjęta, jak ją wykonywa p. K. Estrejcher w trzech tomach, a doszedł dopiero do litery L., gdy obejmie w dalszym ciągu teatr Wileński, w Odessie i innych miastach aż do końca alfabetu, da nam obraz najdokładniejszy dziejów sceny polskiej, która już to stale osiedlona w niektórych miejscowościach, albo wędrowna i czasowo przebywająca, szerzyła zamiłowanie dla sztuki dramatycznej i przenosiła mowę polską w dalekie strony, bo za kresy nawet dawniej Rzeczypospolitej. W.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Marzee 1879 r.— Dnia 5 marca r. b. w resursie kupieckiej, o godzinie 6 wieczorem, dany był obiad, dla uczczenia pięćdziesięcioletniej pracy, w zawodzie obrońcy Wincentego Majewskiego. Imię uczonogo prawnika, sumiennego doradcy, który nietylko umiał godzić zwaśnione strony, ale wymowną i uzasadnioną obroną wygrywał zawile sprawy, znane jest całemu naszemu miastu od pół wieku przeszło. Ale nietylko na tém polu Majewski położył zasługi, z chlubą dla swego imienia i stanowiska, badał on pilnie potrzeby społeczne we wszystkich kierunkach: czy ekonomicznych, czy finansowych, czy literackich i wszędzie śpieszył z pomocą i zdrową radą.

Kiedy pomiędzy r. 1832 a 1840, głucha cisza zalegając niwę literacką wskazywała potrzebę nagłącą w utworzeniu poważnego organu literacko-naukowego, Wincenty Majewski stanął w pierwszym rzędzie grona gorliwych, którzy założyli *Bibliotekę Warszawską*. Odtąd prawie przez lat 40, był jednym z najgorliwszych jój współredaktorów i dwukrotnie organ ten uchronił od zupełnego upadku własnem staraniem, a nieraz i własną ofiarą.

Na biesiadzie, jaką koledzy Majewskiego uczcili jego pięćdziesięcioletnią działalność, zgromadzili się licznie, oprócz ciała obrończego, obywatele miasta, przedstawiciele instytucji publicznych i prywatnych i mnóstwo tych, których bliższe lub dalsze stosunki łączyły z szanownym jubilatem.

Po wypowiedzianych mowach, pomiędzy któremi odznaczała się świetnie mecenasa Edwarda Grabowskiego, jubilat w wymownych słowach, odpowiadając na te wszystkie dowody czci i uznania, wspomniął zarazem o rzadkim fakcie, iż on pięćdziesięcioletni mecenas, doczekał szczęścia ujrzenia na swoim obchodzie jubileuszowym profesora swego, który kształcił pierwsze jego kroki na polu naukowem stawiane.

Tym zasłużonym przewodnikiem siedmdeściatkilkoletniego prawnika, był dostojny ksiądz Adam Jakubowski, administrator parafii Ś-go Krzyża, a niegdyś profesor szkoły księży Pijarów na Żoliborzu.

Z pomiędzy obchodów jubileuszowych, ten do rzadszych należał, albowiem prawie od pół wieku nie było powodu do podobnej uroczystości. W on czas dla mecenasa Chudzyńskiego zebrali się koledzy dla uczczenia jego jubileuszu. Sędziwy starzec jeszcze w kontuszu i żupanie, przy słuckim pasie, tych samych, w których stawał jako palestrant w trybunalach: lubelskim i piotrzkowskim, za czasów Rzeczypospolitej, stawiał się na wezwanie swoich przyjaciół i towarzyszków, dziękując im w serdecznych słowach za uczczenie jego siwizny.

— Michał Glücksberg ukończył już swoje wydawnictwo: *Galerye włoskie*, 141 obrazów w kopiach na stali, z dodaniem rysu dziejów sztuki włoskiej w trzech tomach.

— Są ciche zasługi, które poświęceniem, pracą i staraniem oddają niemało użytecznej pomocy naszej społeczności, a głównie też podupadłym rodzinom w ubóstwo i nędzę. Do takich policzyć możemy: „Towarzystwo pań miłosierdzia Św. Wincentego á Paulo w Warszawie.” W r. b. ćwierć wieku działalności swęj użytecznej Towarzystwo pomienione skończyło, i z tego powodu zarząd główny w pismach codziennych ogłosił sprawozdanie z działalności swojej. Miło nam jest takowe powtórzyć.

„Lat temu 25, kilka pań przekonawszy się o nędzy, w jakiej pozostaje znaczna liczba rodzin w Warszawie, mianowicie skoro albo wiek podeszły, albo ciężka choroba, albo brak ojca lub matki pozbawia one możności zarobkowania, umyśliły założyć Towarzystwo, mające na celu dostarczać im środków pożywienia, ubiorów i wszelkiej moralnej i materyalnej pomocy, połączonej z osobistemi odwiedzinami tych rodzin w ich własnych mieszkaniach. Towarzystwo urządzone na wzór tego, jakie założył św. Wincenty á Paulo we Francyi, pod tytułem: *Oeuvre des pauvres malades*, uzyskało zatwierdzenie rządu w dniu 8 (20) lutego 1857 r. i od tój pory stara się przynosić ulgę i pociechę najbiedniejszym rodzinom. Wdowy kilkoro dzieci mające, chorzy chroniczni dla niewyleczonych chorób w szpitalach miejsca mieć nie mogący, starcy zgrzybiali i sieroty bez żadnej opieki zostające, są przedmiotem szczególnej opieki Towarzystwa.

Towarzystwo składa się obecnie z 68 pań, odwiedzających ubogich lub opłacających stałe składki. Zarząd Towarzystwa sprawują: prezesowa, wice-prezesowa, sekretarka i kasyerka, oraz kilku radców do załatwiania interesów prawnych Towarzystwa. Pomoc w odwiedzaniu ubogich, mianowicie chorobą złożonych, udzielają czcigodne Siostry Miłosierdzia, na ten cel wyznaczone.

Ponieważ w lutym r. b. upłynęło 25 lat od czasu zasażenia Towarzystwa, nie od rzeczy będzie dać krótki obraz dochodów otrzymanych i wsparć udzielonych w tym przeciągu czasu.

Dochody były następujące:

Składki miesięczne pań należących do Towarzystwa	rs.	24,511	k.	66
Dary jednorazowe dobroczynnych osób	„	38,964	„	65
Kwesty zwyczajne kościelne	„	27,669	„	92 ¹ / ₂
Kwesty wielkotygodniowe. „	„	12,915	„	31
Koncerty	„	13,599	„	48
Procenta od sum legowanych Towarzystwa	„	2,749	„	72
Razem rs.		120,410	k.	74 ¹ / ₂

Wydatki:

Wydano na żywność: chleb, kaszę, sól i wszelkie wi- ktuały, rozdane ubogim w ciągu lat 25. . . . rs.	75,385 k. 83 1/2
Na ubranie "	2,992 " 30
Lekarstwa, komorne i inne potrzeby ubogich. . . . "	13,178 " 71 1/2
Na przytułek dzieci . . . "	5,371 " 71 1/2
Na zupełną rozdawaną ubo- gim w ciągu kilku zim i drzewo "	3,487 " 7
Gotówką rozdano ubogim. "	18,959 " 73 1/2
Razem rs. 120,375 k. 37	

Pozostało rewanentu na rok 1879 rs. 35 kop. 37 1/2. Największy dochód był w roku 1876, wynosił bowiem rs. 7,467 kop. 71 1/2, naj-
mniejszy w roku 1865 rs. 2,580 kop. 33. Największe wydatki były
w roku 1876 rs. 7,360 kop. 53, najmniejsze w roku 1854 wynosiły tyl-
ko rs. 2,343 kop. 80 1/2.

Oprócz tego umieszczono w służbie, terminach rzemieślniczych
lub zakładach dobroczynnych osób 1,149. Udzielono za staraniem
Siostr Miłosierdzia i pań odwiedzających ubogich bezpłatnej pomocy
lekarskiej 11,332 razy. Rodzin odwiedzanych i wspieranych, Towa-
rzystwo miało w swój opiece ogółem 8,398.

Sprawozdanie powyższe podpisały: prezydująca Paulina z Kra-
sińskich Górka, wice-prezydująca Hortensya z Małachowskich Mała-
chowska i sekretarka Klementyna Żubieńska.

— Od 1 lutego r. b. ukazało się nowe czasopismo p. t. *Inżynier-
rya i Budownictwo* cywilne i przemysłowe i rolnicze dla inżynierów,
właścicieli fabryk, przemysłowców, górników, budowniczych, przedsię-
biorców, obywateli ziemskich." Wychodzi zeszytami dwa razy na mie-
siąc 1 i 15, pod redakcją St. Grzywińskiego budowniczego. W przed-
mowie *do czytelników* na czele pierwszego zeszytu, znajdujemy nastę-
pne przedstawienie treści tej oddawna pożądanej publikacji:

„Zamiarem naszym jest dać w rękę technikowi dwutygodnik, bę-
dący echem ruchu robót praktycznych i nowo wykonywających się na
całym świecie, aby mu dał w języku polskim wiadomości o nowych wy-
nalazkach, zastosowaniach praktycznych, detalach i t. p.; chcemy go
utrzymać w świadomości ruchu inżynierskiego, budowlanego i fabrycz-
no-przemysłowego, i co powinno mu zastąpić posiadanie różnych pism
technicznych, zewszęch stron świata i w rozmaitych językach się uka-
zujących.”

„Kraj nasz jest przedewszystkiem rolniczo-gospodarczym, liczyć
się przeto należy z jego potrzebami, poświęcić z tego powodu zamie-
rzamy obszerny dział inżynierii rolniczej, przemysłowej i budownictwu
wiejskiemu..” Musimy temu zamiarowi przyklasnąć: redakcyja dalej

przyrzeka pomieszczać w szpaltach swego pisma kursa popularne z dziedziny inżynierji rolniczej, fabrycznej i budownictwa wiejskiego, które mają na celu, aby każdy ziemianin był w stanie skontrolować roboty u niego na czasie, i by w wielu razach sam sobie mógł wystarczyć.

Jestto dążność prawdziwie obywatelska. Cztery zeszyty drukowane starannie w formacie arkuszowym już wyszły z rycinami litografowanymi i drzeworytami w tekście: z nich nabieramy przekonania, że redakcyja sumiennie, a gruntownie pragnie wypełnić swój program.

Życzymy szczerze powodzenia tak szacownemu organowi naszej prasy, i nie powątpiewamy o poparciu go przez inteligentnych naszych ziemian, i przemysłowców. Cena roczna rs. sześć, jest nadzwyczaj umiarkowana, bacząc na koszta druku, papieru, drzeworytów i rycin litografowanych.

— Wyszedł z pod prasy tom IV *Zbioru Praw*, który ma zastępować dalszy ciąg dawnego „Dziennika praw Królestwa Polskiego.” Wydane poprzednio trzy tomy, obejmowały wszystkie obowiązujące w Królestwie Polskiem, przepisy i rozporządzenia rządu, ogłoszone we właściwej prawodawczej drodze w ciągu lat 1872—1873. Obecny tom IV zawiera prawodawstwo za pierwsze półrocze 1873 r. Tom V ma się ukazać niebawem.

— Ukazał się tom VIII z wydania jubileuszowego „Wybór pism J. I. Kraszewskiego.” Obejmuje powieść *Chata za wsią*. Trzy dawne tomy obecnie w jednym. Całość wydawnictwa ma objąć XV tomów, brakuje więc siedm tomów, które wyjść mają do końca września r. b.

— P. Justyn Wojewódzki wydał obszerną monografią p. t. *Stanisław Wawrzyniec Staszic*, jako założyciel Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego i jako autor „Ziemiarództwa,” założyciel górnictwa krajowego, wraz z krótkim zarysem życia i zasług ogólnych dla kraju. (Z drzeworytami testamentowych podpisów, i pieczętki, oraz laski podróźnej składanej Staszica. Warszawa, w drukarni J. Bergera, 1879. W wielkiej 8-ce, na dwie szpalty podzielone, str. 119. Wydanie typograficzne okazałe i ozdobne). O tej szacownej pracy, we właściwym dziale *Biblioteki Warszawskiej* obszerniejsze złożymy sprawozdanie.

— Czytamy w nr. 58 *Gazety Warszawskiej*. Wzmiankowana przez nas książeczka o *papieżach*, której istnienia szczerze czy nieszczerze zaprzeczają, leży przed naszymi oczyma, i pewno dotąd znajduje się w księgarniach warszawskich. Tytuł jej: *Swiadectwa najdawniejszego kościoła katolickiego*; zadanie zaś polega na nakręcaniu i przeistaczaniu cytat z Ojców kościoła, ażeby udowodnić, że papieztwo nie jest papieżstwem, lecz przywłaszczytelstwem zwierzchnictwa duchownego nad wiernymi. Książeczka przetłómaczona z niemieckiego, podobnie jak inne broszurki propagandy protestanckiej w Warszawie, ma upoważnienie cenzury z 3 (15) kwietnia 1874, na tytule nosi rok 1875, a na okładce 1874; wyszła więc wtedy, kiedy „walka kultury”

w Niemczech wydana katolikom, stała u szczytu roznamiętienia. Objętość książeczki (31 stron), oraz pożyczana firma (skład główny w księgarni E. Wendego i Sp.), wskazują, iż broszuryna była zwiastunem szeregu późniejszych takich samych książeczek, opatrywanych tą samą firmą pożyczaną, dla ukrycia rzeczywiście: warszawskiego przyszkółka Towarzystwa Missyjnego w Londynie. Zresztą ani kierunkiem, ani zacięciem książeczka ta wcale się nie różni od innych późniejszych, np. od noszącej tytuł: *Dwie Zakonnice*, w której mniszka katolicka wykłada drugiej mniszce wierzącej po katolicku protestancką naukę o Łasce, nawraca ją na protestanckie pojmowanie tego artykułu wiary, uspakaja tym sposobem rozpaczającą o zbawieniu, i gładko już jak po lodzie wyprawia do nieba. Ale najlepszym bez wątpienia specymentem jest w tym zbiorze książeczka wydana z firmą E. Wendego et Comp. w r. 1877, pod wielce powabnym tytułem: *Pogadanka o oświacie ludowej*. Tytuł ten to wierutne mamidło; zadaniem bowiem książeczki jest wywyższenie protestantyzmu, a poniżenie katolicyzmu, jego nauki i hierarchii.

Podług autora, protestantyzm w wieku XVI stanął względem katolicyzmu w takim stosunku, w jakim Jezus Chrystus stał w Judei względem arcykapłanów i faryzeuszów. „Chrześcijaństwo a papizim to są dwie różne rzeczy,“ powiada autor, i tłumaczy to tćm, że po przyjęciu nauki Chrystusa przez Konstantyna W. „wkradły się w serce Chrześcijaństwa zabobony, przesady i inne fałszywe nauki żydowskie i pogańskie,“ dalej tćm, że wtedy „i do steru Kościoła (na Stolicę Apostolską) wkradali się *niewierni*,“ wreszcie tćm, że i dzisiaj „do steru Kościoła (katolickiego) dostają się w większości ci, co sprzyjają *naukom ludzkim* i kładą obok Pisma Św. tradycję fałszywą, niezgodną z Pismem Św.“ Podług autora uznawanie „wielkiej mocy papieża,“ szukanie „ratunku w odpustach, cudownych miejscach i poświęconych przez księży przedmiotach,“ uznawanie „doskonałości życia zakonnego,“ to wszystko „nadużycia i zabobony,“ którym „położyła tamę reformacya.“ W innem znów miejscu powiada: „Gdyby w istniejącej *kiedyś* (miało być *niegdyś*) Polsce, nie przytłumili księza i Jezuici (a Jezuici według autora to chyba *nie księza!*) prądu ewangelickiego wyznania, to dziś i tutaj tak samo byłby lud oświecenijszy i *szczęśliwszy*, jakim jest w Prusiech i Austrii lud polski ewangelicki.“ Pomijamy niezdarność redakcyi i błąd myśli tego twierdzenia, bo któż nie wie, jaka oświata i jakie szczęście króluje między biednymi Mazurami na Prusiech? ale czy przyjdzie komukolwiek do głowy, że w końcu książeczki, z której to wypisano, znajdzie twierdzenie: iż broszury, do których szeregu ta książeczka integralnie należy, „są takićj treści, że może je tak katolik jak i ewangelik czytać, gdyż są oparte na nauce Jezusa Chrystusa!“ (str. 27). Wypierać się więc propagandy protestanckiej między katolikami za pomocą tych książeczek jest przytrudno, a nawet nie bardzo chwalebnie. Czy nie lepiejby było przenieść tego zapału missyjnego z nad Wisły do Afryki, do Polinezyi, do Ziemi Ognistej? rozstrzygać nie możemy. Uwzględnić należy okoliczność, że

tam można umrzeć ze zgnitłej febry, z przepalenia głowy, a nawet być upieczonym i zjedzonym przez dzikich braci; tutaj zaś w Warszawie można się zajmować nawracaniem w szlafroku, w pantoflach i przy filiżance czekolady ze smacznymi biszkoptami przywiezionymi z Londynu lub Moskwy. Niech i tak będzie, nie przeciw temu nie mamy; ale trzeba zdjąć nareszcie z wydawnictwa maskę obłudy i podstęp, o co jedynie nam chodzi.

— Wyszły z druku: *Notatki dotyczące się Hygieny pokarmowej*, studia fizyologiczne na podstawie doświadczeń oparte, a do pojęć ogółu zastosowane. Przez Władysława Kleczkowskiego (fabrykanta konserwów). Warszawa 1879 r. (w 16 ce, str. 32, i 14). Autor na poparcie wyższości swego bulionu, podaje następną wiadomość na str. 19:

„Pozwalam sobie przytoczyć doświadczenie, zrobione w Petersburgu, przez miłośnika nauk przyrodzonych, oficera technicznego komitetu głównej intendentury, p. Linkę. Chcąc zasięgnąć zdania tych, coby zupełnie obcy byli wszelkim przedsięwziętym teoryom w kwestyi bulionu i ekstraktu mięsnego, wezwał na sędziego, zupełnie bezstronną, a kompetentną figurę. Postawiwszy obok trzy talerze, nalał do jednego mleka, do drugiego ekstraktu Liebiega, a do trzeciego mięsnego bulionu z moich tabliczek przyrządzonego i wypuścił z drugiego pokój faworyta kota, przyzwyczajonego do rozmaitych łakoci. Kot wybrał bulion, i zjadł cały talerz.”

— Nakładca J. Kaufman ogłosił prospekt na dalsze wydawnictwo *Biblioteki romansów, powieści, podróży i utworów poetycznych* i na nową publikacją w 20 tomach: *Powieści Aleksandra Dumasa* (ojca). Tomy ukazywać się mają w przerwach 2—3 tygodniowych, kwartalnie tomów pięć.

— Wyszła broszura p. n.: *Bohater wieku* (Lord Beaconsfield). Szkic z życia społeczno-politycznego Anglii. Przez J. J. Finkelhaus. Warszawa 1879 r. (w 12-ce, str. 140).

— *Kuryer Codzienny*, podając statystykę ludności Królestwa Polskiego, wykazuje, że we wszystkich guberniach, z wyjątkiem kaliskiej i piotrkowskiej, ludność żydowska znacznie przewyższa katolicką. Wogóle na 696,662 mieszkańców stałych miast prowincjonalnych (oprócz innych wyznań): na ludność katolicką 294,244, przypada na żydowską 402,418. Przerazająca cyfra!

— Wydział filozoficzno-historyczny Akademii umięjtn. w Krakowie, na posiedzeniu swém d. 13 marca r. b. zatwierdził wybór doktora Józefa Rolle na członka komisji historycznej. Zasłużył on sobie dobrze na ten zaszczyt: *Opowiadaniem historycznemi*, w dwu serjach, o których sprawozdanie już daliśmy w naszym piśmie, zaraz po zjawieniu się tych zajmujących prac i pełnych wartości.

— Zakład Imienia Ossolińskich, wiedziony czcią dla swego fundatora i jego rodu, postanowił w *Zbiorze materyałów do historii polskiej* ogłosić zalegające w rękopismach prace Ossolińskich. W tym kierunku po autobiografii Jerzego Ossolińskiego, kanclerza wielkiego

koronnego i jego *Dyaryuszu*, wzorowo wydanym przez dr. Hirschberga, wyszły świeżo *Pamiętniki Zbigniewa Ossolińskiego*, wojewody sandomierskiego, wydane przez dr. Kętrzyńskiego. Zbigniew Ossoliński, jako senator i obywatel, biorący czynny udział w polityce i wypadkach współczesnych, do tego człowiek nienależący do żadnej partii, nie będący ani zwolennikiem dworu, ani Żółkiewskiego, mógł zostawić ciekawe i ważne dla historii pamiętniki; oczekiwań tych jednak nie ziszcili. *Pamiętniki Zbigniewa* nie dorównują współczesnym pamiętnikom, a różnią się o całe niebo od autobiografii jego syna Jerzego, odznaczając się bogactwem treści i pięknnością formy.

— W Poznaniu wyszła komedia w 3-ach aktach wierszem, przez Aniełę Milewską (Poznań, w 8-ce, str. 66).

— Wielce zasłużony dla literatury ojczystej Jan Konstanty Żupański księgarz i nakładca, wydał dzieło ważne p. n.: *Infanty Polskie*, ogólnym rzutem oka na siedmiowiekową przeszłość całych Infantów, skreślił Gustaw baron Manteuffel, przedmowę napisał J. I. Kraszewski. Pyszne to wydanie, oprócz treści, pod względem typograficznym z drzeworytami w pokroju wielkiej ósemki, drukowane nader starannie i ozdobił drukiem J. I. Kraszewskiego (drukarnia W. Łębińskiego w Poznaniu, 1879 r.), obejmuje str. 135 ścisłego druku, oprócz dodatków. W końcu dodane są mapy wybrzeży Bałtyku i Infantów Polskich.

— Nakładem tegoż J. K. Żupańskiego wyszły dwa tomy: *Roczników Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu za lata 1873—1878* (Poznań, 1878 r.). Tom pierwszy obejmuje: *Króla Stanisława Augusta ostatni pobyt w Grodnie*, przez Eustachego Tyszkiewicza. *Wspomnienia zmarłych generałów Ludwika Kickiego i hr. Paca*, oraz *księdza Hieronima Kajsiewicza* (w 8-ce, str. 419). Tom drugi: *Pamiętniki Michała Zaleskiego wojskiego w. ks. litewskiego, posła na sejm czteroletni*, ciągnące się do r. 1813 (w 8-ce, str. 458).

— Liszt napisał wspaniałe oratorium pod tytułem *Św. Stanisław*, z kolorytem polskich motywów, do którego tekst włoski jest utworem Lenartowicza. W tych dniach pomienione dzieło wykonane będzie po raz pierwszy w Rzymie.

— *Katedry historii i literatury polskiej* mają być zaprowadzone na niektórych uniwersytetach włoskich. Inicyatywę w tym kierunku dał, jak piszą gazety zagraniczne, uniwersytet w Bononii, gdzie dnia 18 z. m. odbyło się zebranie reprezentantów wszechnic włoskich. Zebranie miało na celu utworzenie Towarzystwa, któreby się zajęło wprowadzeniem w życie projektu.

— Artur Peterson uczony angielski wydał rozprawę, „o pierwotnych stosunkach Słowian z królestwem Węgierskiem,” przedmiot oparty na historycznych źródłach, i dla nas obojętnym być nie może, gdyż autor czerpie swe wiadomości i z kronik polskich.

† Dnia 26 Lutego r. b. w Petersburgu umarł **Edward Kotłubaj** znany z prac historycznych. Ogłosił drukiem *Galerya Nieświeżska portretów Radziwiłłowskich*, do której czerpał wiadomości z zamożnego archiwum Radziwiłłów w Nieświeżu, ztąd dzieło to ma niemałą wartość. „*Życie Janusza Radziwiłła*” w tej monografii, zapragnął najnikczemniejszego zdracę daremnie rehabilitować. Kotłubaj był inżynierem przy kolei, pozostawił wiele prac z gałęzi studyów historycznych.

— Dnia 27 Lutego r. b. w Warszawie umarł **Józef Wojciechowski**, znany w piśmiennictwie pod pseudonimem *Józefa z Mazowsza*, urodzony w Warszawie 1840 r.; w témże mieście wykształcił się naukowo. Brał udział w współpracownictwie pism wychodzących, głównie zaś w *Tygodniku Ilustrowanym*. Ogłosił drukiem *Judyta* poemat biblijny 1863, powieść *Kobiety i Mężczyźni* w r. 1871, oraz *Gero Margraf* dramat z czasów pogańskich Słowiańszczyzny w r. 1873. Ostatnią jego pracą poetyczną jest przekład *Królowej Maryi Tennyson'a* dla *Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej*, wychodzącej przy czasopiśmie *Ilustrowanym Kłosy*. Jako człowiek należał do grona ludzi prawych i szlachetnych.

— Dnia 28 Lutego r. b. zakończył w Paryżu życie słynny rytownik ś. p. **Antoni Oleszczyński**, urodzony 1794 r. w województwie Lubelskiem. W akademii Petersburskiej wykształcił się na znakomitego sztycharza. Osiadłszy stale w Paryżu, zyskał sobie w stolicy Francyi chlubny rozgłos i uznanie. Wiele akademii sztuk pięknych uczciło go tytułem swego członka; pomiędzy pracami większego rozmiaru na szczególną uwagę zasługują portrety T. Kościuszki, oraz wielkie staloryty Kopernika i Jana Zamoyskiego, obadwa otoczone odpowiednimi emblematami. *Album Wileńskie Wilczyńskiego* posiada wiele sztychów Oleszczyńskiego, między temi rytymi na miedzi portret *Jana Śniadeckiego*. Do wielu dzieł polskich wydanych w Paryżu, mamy Oleszczyńskiego sztychy: katalog ich ogromny, Zebrał znakomity zbiór pamiątek ojczystych, z nich część ogłosił w swęj pięknej publikacji p. n. *Rozmaitości*. Do ostatnich chwil życia pracował w swoim zawodzie.

— Dnia 11 marca r. b. w Warszawie zakończył życie **Ludwik Golebiowski**, syn najstarszy zasłużonego badacza dziejów ojczystych *Lukasza Golebiowskiego*; sam wysoko wykształcony, miłośnik i znawca sztuk pięknych i zabytków starożytności, zajął się zbieraniem wyrobów ceramicznych krajowych i już piękny ich zbiór zgromadził. Z nich przez niego *odkryty* serwis, który ofiarował król Stanisław August współczesnemu sobie sułtanowi, z napisami tureckimi, w naszym piśmie w r. 1878 wydrukował, zebrawszy skrzętnie do tego opisu odpowiednie materyały.

Na list **Bezimiennego** z żądaniem przedłużenia konkursu z roku 1878, przez redakcyą **Biblioteki Warszawskiej** podanego, redakcyą tegoż pisma ma zaszczyt odpowiedzieć, że dopiero w dniu 1 maja r. b. jako terminie oznaczonym, stanowczo będzie mogła objawić swe postanowienie.

Redakcyą Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójoicki.**

Wydawca *Józef Berger.*